bezele / raekwon / red / boty / mos def / sidney polak / fu

czerwiec
06/114

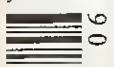
płyta cd gratis

ślizg

hip-hop/extreme mag

bezele
foto story

raekwon
mos def
sidney polak
barcelona




numer 06/114
czerwiec 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6,90 PLN
(w tym 7% VAT)

ISSN 1425-1760

www.slizg.com.pl








SPRING/SUMMER COLLECTION 2005

za trzy

moral i gano



Gano

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Religia, za zawoalowany przymus i matematyka, za nauczycieli, którzy zabijają ten przedmiot. Trzeciego chyba nie było.

trzy postacie – bohaterowie:
Alvin Straight za to, że był w stanie się przemóc, będąc już całkowicie ukształtowanym i dobre wbity, Garfield za styl bycia i Dilbert - za to, że pokazuje to, co widuję obok siebie.

trzy antypatie – leszcze:
Pierwszy wie, drugi chyba nigdy nie zrozumie, a na trzeciego czekam.

trzy napoje:
Coca-Cola, MarWit marchewkowy i gorąca czekolada z łyżeczką kawy rozpuszczalnej.

trzy potrawy:
Omlet Zuzy, Lasagne w Dominium i kebaby w Amaderze.

trzy programy tv:
Wszelkie informacyjne, wszelkie transmisje z ważnych meczy piłkarskich i 2 Stupid Dogs, stacje Discovery Channel, Cartoon Network i MTV Base, kiedy miałem.

trzy płyty:
Dr. Dre – „The Chronic", Scarface – „The Untouchable", Nas – „Illmatic" – kolejność naprawdę dowolna... a poza tym pominąłem jeszcze tuzin równie ważnych...

trzy filmy:
„Prosta Historia", „Między Słowami", „Wiosna, Lato, Jesień, Zima... i Wiosna", do tego filmy u Tashy i u nas jako zjawisko.

trzy książki:
„Neuromancer" Gibsona, wszystkie tomy „Diuny", a ostatnio „Kod Leonarda Da Vinci", bo myślałem, że się zawiodę, a tu proszę, wręcz przeciwnie. Chętnie pożyczę „Władcę Ocean Park" i „Życie Pi", ma ktoś?:-)

trzy kolory:
Czarny, beżowy, niebieski

trzy cyfry:
5, 19 i 99

trzy imiona:
Klaudiusz, bo dzięki TVP nim nie jestem, Rafał, bo tak i Zuzanka, bo jest tak słodkie, jak brzmi.

trzy napisy na murach:
„Zanim wysiądziesz, sprawdź, czy za drzwiami znajduje się korytarz" – z własnej wlepki dedykowanej wnętrzom wind, „Napis ćwiczebny" i „Jebie mnie opinia prostaków".

trzy dziewczyny:
Moja mama, moja dziewczyna i niech będzie, Yoda (niezupełnie z „Gwiezdnych Wojen"). A teraz wersja bez cenzury: Sandra Bullock, Cameron Diaz (szkoda, że bez mózgu, jak twierdzi Sofia Coppola) i „ta z Ali G In Da House" (oczywiście TA, a nie tamta).

trzy miejsca:
ogródek na Brzo, La Defense i studio nagrań, a „na czwartego" jeszcze mój pokój na W28

trzy zainteresowania:
„Magic: the Gathering" Lobo Team reprezentant, Japonia i jej język, niestety biernie – ach, ten wieczny brak czasu... no i nowe technologie ze wskazaniem na urządzenia przenośne...

trzy gadżety:
Rower, pendrive i palmtop, to wystarczy, żeby być mobilnym. Tylko po co to komu?

trzy ulubione słowa:
„generalnie", „pozdor" i sentencja „... być może te zależności są dla Pani/Pana nieco zbyt subtelne..."

trzy sukcesy:
Miejsce w życiu, w którym właśnie jestem, rodzina, muzyka wbrew przeciwnościom

trzy porażki:
Pułapka PLN, brak wpływu na niektóre sprawy i niestety coś jeszcze...

trzy plany na przyszłość:
Dom, drzewo i syn. Długo mi zajęło zrozumienie, że to tylko pozornie trywialne.

trzy rzeczy ode mnie:
Po pierwsze: naucz się rozmawiać, po drugie: słysz, a nie tylko słuchaj i po trzecie: pozostań sobą, być może jeszcze nie wiesz, jakie to czasami trudne.

Gorący rookie z kozackim flow i spokojny weteran sceny przedkładający treść nad formę. „Nienagannie niemoralna propozycja", wspólna płyta Morala i Gano, była pewną niespodzianką i jednym z nielicznych oficjalnych debiutów ze Śląska w (szeroko rozumianym) ostatnim czasie. Przed wakacjami ukaże się epka Morala – może być grubo, bo beaty robi 600V, Patr00 i sam artysta, a gościnnie występują m.in. Jimson, Pierrot i Reno. Do tego czasu fanom takiego stylu pozostaje uczyć się na pamięć poniższych odpowiedzi



Moral

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Matematyka, CNC, fizyka.
trzy postacie – bohaterowie:
Mama za wytrwałość i nierzadko bardzo trudne dni – jest dla mnie największym wzorem, Jan Paweł II – człowiek zdecydowanie natchniony przez „Górę". Więcej nie posiadam.
trzy antypatie – leszcze:
Zdrada, fałsz, chciwość.
trzy napoje:
Mountain Dew, Danmleko, piwo.
trzy potrawy:
Mięso duszone z czosnkiem, pizza, różnego rodzaju sałatki.
trzy programy tv:
Kuba Wojewódzki, Megazin, Discovery.
trzy płyty:
Looptroop – „Fort Europa", 600V – „Szejsetkilovolt", Dr. Dre – „Chronic 2001".
trzy filmy:
„Wzgórze Nadziei", „Nic śmiesznego", rzadko urwany.
trzy książki:
Nie czytam dużo książek. Z tych, które czytałem: P. Coelho „Weronika postanawia umrzeć", G. Herling Grudziński „Inny świat".
trzy kolory:
Biały, czarny, czerwony.
trzy cyfry:
5, 10, 27.
trzy imiona:
Roman, Marian, Roksana;)
trzy napisy na murach:
Żaden nie zwrócił mojej uwagi.
trzy dziewczyny:
Moja, muzyka, mama.
trzy miejsca:
Własny pokój, Hawaje, polskie góry.
trzy zainteresowania:
Oprócz muzyki: Xbox, grillowanie poza miastem, sporty walki i jeszcze wiele innych.
trzy gadżety:
Telefon, szkła kontaktowe, odtwarzacz mp3.
trzy ulubione słowa:
Chopie, ziomuś, spoko.
trzy sukcesy:
Płyta, trzeźwy umysł, strata przed laty 20 kilo;)
trzy porażki:
Niczego w życiu nie żałuję.
trzy plany na przyszłość:
Robić muzykę na światowym poziomie, żyć pełną parą i być szczęśliwym, przewakacje 2005.
trzy rzeczy ode mnie:
Życie/Czas pędzi, jak nocny pociąg w kawałku Looptroop z nowej płyty. Nie bójmy sie korzystać z życia, lecz róbmy to z rozwagą, by nie stanąć kiedyś przed lustrem i nie powiedzieć, że czegoś żałujemy. Sprawdźcie „Zamach" EP. PozdOR.

W numerze 06/114

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl), Grabiszczy (grabiszczy@slizg.com.pl)
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki
Foto okładka: marszull.com
Zespół: Fala, CNE, DJ Spox, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz, Kada

Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: ELANDERS
Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48 (prefix) 22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl



bazaar
gadżety



kurtki STOPROCENT

Nowa wiosenno-letnia kolekcja kurtek od StoProcent powinna zadowolić wszystkich, którzy chcą wyróżniać się w tłumie. Jaskrawe barwy, fajny krój, dużo logówek – takie elementy na pewno sprawią, że będziecie zauważeni w szarej masie, która na co dzień przelewa się po naszych ulicach. Oczywiście kurteczki są wygodne i dobrze chronią przed wiatrem i deszczem.



akcesoria MASS

MASS coraz częściej dostarcza nam ciekawe i bardzo użyteczne akcesoria użytku codziennego. Frotka MASS powinna wylądować na ręce każdego, kto aktywnie spędza czas w mieście. Portfel MASS jest wykonany z mocnego materiału, ilość różnych przegródek daje możliwość schowania w nim dokumentów, gotówki i innych wartościowych fantów.



czapki MC

Słoneczko świeci, wiosna nadeszła, robi się coraz cieplej, ale trzeba uważać na przegrzanie głowy. Skutecznie ochroni Was przed tym czapeczka z nowej kolekcji MC – duży wybór wzorów i kolorów, każdy znajdzie tu coś dla siebie.

kurtka ETYLINA

Nowy model kurtki od Etyliny to kozackie okrycie na niepogodę. Wiadomo, nawet wiosną i latem czasami powieje mocniej, a i deszcz lubi sobie padać. Ta kurtka na pewno uchroni Was przed wszystkimi niedogodnościami. Chroni przed wiatrem, jest nieprzemakalna, z pewnością przyda się na nadchodzące wakacje...





FLINTESENSCJA
podziemie w kilku kadrach

Kadr pierwszy. Siedzę w redakcji w gabinecie redaktora naczelnego. Rozmawiamy o piśmie. Naczelny patrzy na mnie spode łba, przeglądając ostatni numer. Wyraźnie nie może zrozumieć jak to jest, że recenzja albumu Smarka zajmuje więcej miejsca niż recenzja Wojtasa. Tłumaczę, że to zupełnie inny dział, że to w ramach specjalnie wydzielonej na to strony, że nie można porównywać. Słyszę w odpowiedzi „Marcin, ale ja się zastanawiam czy w oczach czytelnika nie narażamy się na śmieszność". Słyszę, że jestem romantykiem. Jak to?! Przecież po to słucham tego wszystkiego, patrzę, o czym się dyskutuje, zasięgam opinii różnorodnych ludzi, żeby wybrać coś głośnego, coś na czasie, coś wyjątkowego. Epką Smarka jarali się naprawdę wszyscy. Wesołe piwożłopy z południowego zachodu, zagadkowi nadwrażliwcy z północy, malkontenccy dj'e z centrum. Trwała dyskusja i wymiana opinii. Dla naczelnego tym albumem nie jarał się nikt, bo ludzie z wytwórni płytowych czy raperzy z długoletnim stażem na scenie nie mają o kimś takim pojęcia. Dla niego moja definicja słowa „wszyscy", swoją drogą słowa – pułapki, którego nigdy nie należy używać, to garść ludzi z sieci, przekornych mądrali. „To dobry raper, ale to wszystko już było. Nie przebije się chociażby już ze względu na ksywkę. Pamiętasz, jak rok temu jaraliśmy się Reno na łamach? I co się z nim stało?". Rzeczywiście, nic się z nim nie stało, jakoś nie widzę go w dobrej wytwórni z solidnym budżetem na płytę. „Kiedyś te młode wilki, jak Pezet czy Eis umiały wypracować pozycję i odnaleźć się w branży. Dlaczego ci nie umieją?" – tłumaczy mniej lub bardziej cierpliwie naczelny, którego zdążyłem już wkurzyć zarzutem o to, że dla niego to, co nie jest głośne, nie może być zajebiste. „Flint, a myślałeś, że czasem robisz krzywdę tym ludziom, dając im złudzenie tego, że są nie wiadomo jak dobrzy?" – kończy, zmuszając mnie do głębszej refleksji.

Kadr drugi. Wciąż Marszałkowska 3/5. Wracam wspomnieniami do przeszłości. Przypominam sobie, jak przynoszę do redakcji propozycję kawałka na cover cd. Zbiera się gremium, zapuszczam. Nasz fotoedytor, który swoją drogą nawijał w czasach, kiedy hip-hop był dla mnie czymś odbieranym zupełnie idealistycznie, powiedziałbym nawet mitycznie, a zatem w moim mocno szczeniackim okresie, podniósł głowę znad monitora kwitując krótkim „Kurwa, ale tego się nie da słuchać". Pomyślałem sobie wtedy „Flint, za dużo słuchasz tych nielegali, za bardzo obniżasz kryteria". Noon rymuje na 247, że demówek na tydzień dostaje z siedem i są „tak chujowe, że aż Flintstone o nich nie wie". Nawet ja...

Kadr trzeci. Niezbadana głębia mojego Outlook Express. Niestety, odnoszę czasem wrażenie, że mam pamięć do wszystkiego, co złe. Pisze do mnie pewien raper, mniejsza o to, kto. Przysłał do nas demówkę, taką, żeby spuścić głowę i raz na jakiś czas wybuchnąć śmiechem. Pamiętam go też z WBW. Siedem maili. Kawałek z trzeciego: „(...) jeżeli chodzi o warstwę tekstową, to tu nie masz do czego się przyczepiać. Te teksty pochodzą w 100% prosto z serca i są dobre. Na pewno lepsze od wielu polskich „wspaniałych" emcees, którzy wydają swoje płyty od jakiegoś czasu. Ale nie ma sprawy, właśnie zabieram się do nagrywania kolejnej płyty, za jakiś czas również Wam ją dostarczę". Fragment czwartego: „Moim zdaniem po prostu Ci się moja bużka nie spodobała i tyle. Jestem najprawdziwszy ze wszystkich i ty o tym wiesz. Tak tak, napisałem „ty" z małej litery, hahahahhahaah! A może to ty nie zasługujesz na to, żeby ją zrecenzować, myślałeś kiedyś o tym? A teraz napisz o tym felieton i pojedź po mnie tak, jak jeździsz co miesiąc po wszystkich, bo to lubisz chyba najbardziej robić w życiu. A, no i nie zapomnij, jak przyjdziesz do domu wreszcie wyłączyć ten nudny rap i nastawić sobie jakąś płytę punkrockową. Hahaha!". Piąty: „Dobra, rozumiem. Być może jeżeli chodzi o flow, to zgadzam się. Ale nie wiem, czy zauważyłeś, że ja piszę podwójne rymy, potrójne nawet w niektórych momentach.". Szósty: „Czy „Stracone Szanse" Miejskiego Klasyku, oraz „Plotka" zespołu Bła Bła z tej samej płyty są lepsze od mojego „Nieważne (tytuł do znajomości redakcji)"? Moim zdaniem to faworyzowanie „po znajomości"."

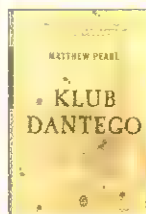
Kadr czwarty. Natolin. Siedzę na łóżku, przeglądam stare numery. Wywiad z artystką z leciutkim, wdzięcznym jazzującym stylem śpieworapu. Pytam ją „aż trudno uwierzyć mi, że współpracowałaś kiedyś z zespołem, którego najnowszy singiel nazywa się „My to przekaz, a nie kurwa rap na odpust". Buńczuczny, „hardcore'owy, kurwa!" tytuł kontrastuje strasznie z jej repertuarem na pierwszy rzut ucha. Co się okazuje – obrażony zespół nagrywa kawałek, gdzie jest poruszony temat, tego jaki jestem niedobry. Ciekawe, czy to ich ego są tak wrażliwe na coś, co nie powinno ich jakkolwiek urazić. Czy może w ich mieście stagnacja i bezrobocie jest tak duże, że aż tak bardzo im się nudzi...

Kadr piąty. I znów praca. Przeglądam strony internetowe. Dużo opinii typu „Milion tematów z dupy o Mezo i Hemp Gru, a jak ktoś pod nos podstawi ścisłą czołówkę rapu za darmo, to nie ściągają". Wyrobiła nam się część odbiorców gardząca polskim hip--hopem i absolutnie, przekornie nieraz, zapatrzona w underground. „My jesteśmy tymi lepszymi. MY WIEMY, słuchamy podziemnych asów. Są najlepsi. Sprawdź te podwójne rymy". „Wybitni znawcy" vs. ogłupiony motłoch. Robi się z tego jakaś próba sił i nerwów (tak jak z dyskusji o WBW. Przecież to ma być zabawa, a nie wojna) dodatkowo alienująca i tak diabelnie wyalienowanych twórców nielegali. Chcę dociec przyczyn takiej alienacji i nieumiejętności wywalczenia pozycji wśród szerszego grona. Rozmawiam z jedną z „nieoficjalnych rap gwiazd". Rozmowa schodzi nam z tematu, jedynym wnioskiem od strony rozmówcy jest „równie dobrze wydawcy mogliby wydawać najlepszych w podziemiu zamiast swoich znajomych". Pachnie teorią spiskową...

Tym razem będzie bez wniosków i komentarzy. Wyciągnijcie je sami na podstawie pięciu scenek. Mogłoby tu być więcej konkretnych ksywek, ale chodzi o globalne spojrzenie, nie dyskutowanie poszczególnych przypadków. Jak widać, album Smarka znalazł się u nas w całości, poparty wywiadem, ale z kolejnym dobrym nielegalnym albumem taka dyskusja znów się pojawi. W stopce jest mail, zachęcam do wyrażania opinii.

Flintstone

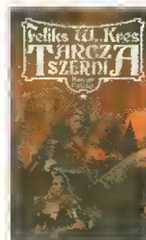
bazaar
poczytaj sobie



KLUB DANTEGO
Matthew Pearl
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Boston, druga połowa XIX wieku. Grupa wybitnych poetów z uniwersytetu harwardzkiego pracuje nad pierwszym w Stanach Zjednoczonych przekładem „Boskiej Komedii", gdy miastem wstrząsa seria ohydnych zbrodni, najwyraźniej wzorowanych na opisach piekielnych tortur, które w swoim dziele umieścił Dante. Policja jest bezradna, natomiast tłumacze – jak tylko odkrywają tę przerażającą zbieżność – postanawiają zachować to w tajemnicy, bojąc się, że doprowadzi to do zablokowania publikacji poematu. Sekretem dzielą się jedynie z powszechnie pogardzanym, pierwszym w dziejach Bostonu czarnoskórym policjantem. Czy jednak wspólnie doprowadzą do ujęcia zbrodniarza, zwłaszcza, że przeszkody na ich drodze się mnożą?

Sporo ostatni pojawiło się książek, w których historyczne postaci rozwiązują kryminalne zagadki (że choćby o „Ciemnej materii" Philipa Kerra z Isaakiem Newtonem w roli głównej wspomnę) lub przynajmniej odgrywają w nich znaczącą rolę. „Klub Dantego" zgrabnie wpisuje się też w nurt popularnej literatury o literaturze (gdzie dziełem niedoścignionym pozostaje „Imię róży" Umberto Eco). Pearl więc niby nic nowego nie odkrywa, ale też w swoim gatunku jego powieść jest świetna: głęboko erudycyjna, wymagająca od czytelnika oczytania i wiedzy, a jednocześnie bardzo sprawnie i lekko napisana. Choć akcja rozwija się raczej powoli, to książka wciąga, satysfakcjonuje zarówno jako kryminał, jak i jako przemyślany, bogaty obraz społeczności dziewiętnastowiecznego Bostonu. No i pewnie zmusi sporą część czytelników do sięgnięcia po „Boską Komedię", czym Pearl zasłuży się Dantemu bardziej niż większość nauczycieli literatury w szkołach. Autor (który notabene będzie gościem majowych Targów Książki w Warszawie) pracuje już nad nową powieścią. Zajmie się w niej tajemnicą śmierci Edgara Allana Poego. Już się nie mogę doczekać. (jd)



TARCZA SZERNI
Feliks W. Kres
MAG

Kolejny tom sztandarowego cyklu Kresa, „Księga całości". Tym razem poznamy dzieje kobiety, która odegra znaczącą rolę w dziejach Szereru. Los kraju zależy od istnienia wskrzeszonej za pomocą potężnej magii księżniczki Riolaty Ridarety... Bez wątpienia Kres należy do czołówki polskich fantastów, ma świetne pomysły, używa bardzo plastycznego języka i stara się przełamywać utarte schematy fantasy. No i ogromną zaletą jego twórczości jest to, że nie pisze „pod publiczkę" – tu może wydarzyć się naprawdę wszystko i niekoniecznie tak, jak życzyliby sobie czytelnicy, którzy mocno związują się z opisywanymi postaciami. Powieść jest niestety dość krótka, ale za to stanowi początek większej całości. Czekam niecierpliwie. [C]



WODY GŁĘBOKIE JAK NIEBO
Anna Brzezińska
RUNA

Nowa książka Anny Brzezińskiej to zbiór opowieści osadzonych w magicznych realiach zbliżonych do włoskiego Renesansu. Potężni magowie nauczyli się, jak okiełznać demony i zmusić je do posłuszeństwa. To dzięki nim powstają niezdobyte miasta, ale i wybuchają krwawe wojny i wciąż rozgrywa się walka o władzę. W cieniu tych wydarzeń toczą się zwykłe (i całkiem niezwykłe) dramaty normalnych ludzi, którzy często mają do odegrania o wiele ważniejszą rolę, niż by sobie tego życzyli... Nastrojowa, bardzo refleksyjna, pięknie i z dużą wrażliwością napisana książka. Anna Brzezińska to autorka ze ścisłej czołówki polskiego fantasy, jest laureatką dwóch „Zajdli", czyli najważniejszych nagród w rodzimej fantastyce. „Wody głębokie jak niebo" pewnie otworzą jej drogę do kolejnych wyróżnień. Z pewnością na to zasługuje. (jd)



CIEŃ ARARATU
Thomas Harlan
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Pierwsza część cyklu „Klątwa Imperium". Rok 600 n. e. Cesarstwo Rzymskie nadal istnieje, trwa krwawa wojna z Persami. Cesarz Rzymu rusza z pomocą cesarstwu wschodniemu, by z pomocą swoich legionów zakończyć oblężenie Konstantynopola. W szeregach legionów znalazł swoje miejsce również młody Irlandczyk, Dwyrin McDonald, uczeń szkoły magii w Egipcie, karnie wydalony z uczelni za nieposłuszeństwo. Nie przepadam za historiami fantasy opisującymi alternatywną historię naszego świata, ale przyznać trzeba, że Harlanowi udało się połączenie potęgi imperium rzymskiego z siłą magii. Książka jest wciągająca, sprawnie (i erudycyjnie) napisana, słowem: solidna robota. Polecam. [C]

Ślizgery 04

W poprzednim numerze Ślizgu mogliście obejrzeć relację z rozdania naszych nagród. Ślizgery 2004 to był naprawdę udany cykl imprez... Na tyle udany, że uciekły nam gdzieś fotki z samego rozdania statuetek, które odbyło się podczas koncertu w warszawskiej Stodole. No to teraz nadrabiamy: obok kilka zdjęć z tej przekozackiej imprezy.
I przy okazji jeszcze raz wielkie dzięki dla wszystkich, którzy nas supportowali, dla wykonawców, którzy zagrali na koncertach, dla nagrodzonych i przede wszystkim dla Was, drodzy czytelnicy. Dzięki za wsparcie, za Wasze głosy i obecność na koncertach!!! Do zobaczenia za rok na Ślizgerach 2005! Będzie jeszcze lepiej i jeszcze głośniej. A na górnych zdjęciach: Ostry odbiera Ślizgera w kategorii Wykonawca Roku, a obok chłopaki z Mor W.A. ze Ślizgerem od czytelników (Osobowość Roku).





NOWA KOLEKCJA SLG – Profil CD
epizod #03

Tym razem nasza ekipa odwiedziła z kamerami łódzkie Bałuty, gdzie ugościł nas **O.S.T.R.** Jak zwykle w Profilu: trzy tematy, trzy miejscówki. Zobaczycie domowe studio Adama, posłuchacie, co ma do powiedzenia o projektach muzycznych, w których ostatnio uczestniczył, dowiecie się, w czym my, Polacy, jesteśmy lepsi od Anglików... Panie i Panowie – po odpaleniu płyty – przed Wami O.S.T.R. We własnej osobie.

A poza tym na płycie klip do bardzo gorącego numeru **Maciory** „Dancehall Queen" z Mariką z BassMedium Trinity.

Dodatkowo w formie audio mamy dla Was dużo nielegali. Ale o tym Flint.

S20 – Szeroko Otwarte Oczy to rzeszowski duet w składzie Pilsz i Limit, grający bardzo dynamiczny, niegłupi i – jak pokazuje kawałek „Odmulam się" – nieraz bardzo przebojowy hardcore. Bit do numeru, który powinien sprawdzać się w każdych warunkach, zrobił WRB, m.in. autor podkładu do „Rap Biznesu" Olsena i Fu.

Eskaubei – Jeszcze jeden reprezentant Rzeszowa na płycie, weteran, znany ze wspólnych dokonań z Aspektem i przecierania szlaków poprzez gościnne występy w wielu numerach, np. na kilku pozycjach na płycie Deobe i Deny. Skubi jest miłośnikiem koszykówki, nie dziwne więc, że jego singiel nawiązuje tytułem do największej jej gwiazdy. Posłuchajcie mocnych wersów, którym muzyczną i wokalną oprawę zapewniła Kada (macie prawo znać ją choćby z Fenomenu czy Owala).

Pierwsza Flotylla – O obronę prawdziwych wartości w rapie walczą Emote i Dude, młodzi mikrofonowi gracze z trójmiejskiego kwintetu. Konwencję da się określić jako „trueschoolową", ale bit Ramzesa rozwali w cząstki wszystkich niezależnie od preferencji. Kto ma tę esencję?

Album **Smarka** (pliki audio i mp3) – O albumie Smarka (Gorzów), Kixnare'a (Częstochowa) i DJ'a Pyska mieliśmy okazję szerzej pisać w poprzednim SLG, w tym numerze zaś proponujemy wywiad, który może wyjaśnić sporo na jego temat. Zamieszczamy tę płytę nieprzypadkowo – to wzorcowy nielegal. Mocne beaty nawiązujące do dokonań najlepszych w najlepszym dla rapu okresie. Luz we flow, kąśliwe wersy, oryginalne poczucie humoru, bezkompromisowość, bezczelność, szacunek dla starej szkoły. Wszystko to na niej jest.

RED ANT przeprasza...



Chłopaki od Czerwonej Mrówki serdecznie przepraszają za brak w tym numerze opisów nowych klipów – sytuacja niezależna od nich sprawiła, że mamy małą przerwę. A korzystając z okazji redakcja prostuje informację podaną w poprzednim numerze: otóż przy opisie klipu Mor W. A. „Ciekawe czasy", napisaliśmy, że jego autorem jest Tomek Leśniak, co oczywiście jest prawdą, ale niepełną. Współautorem teledysku jest Marcin Strzałkowski. Sorry! A kadr z klipu – dla przypomnienia – obok.



NASTAW FALE
podroby na salonach

„Koniec kłamstw, koniec cynizmu, musisz to wreszcie przyznać, to straszna żenada być mężczyzną, być mężczyzną znaczy nie mieć nic realnego do roboty w życiu, oprócz ściągania z Internetu o dupie i cycach bez fabuły żadnej filmów i bez napisów, bez egzystencji ludzkiej prób zgłębienia tajemnicy, na brzegach gazet rysować hitlery, jakieś chore swastyki, zajmować się rozpoznawaniem wśród znajomych osób Żydów, Murzynów i pod rasy białej płaszczykiem utajonych Chińczyków. Ale ja dziś powiem ci przez dziecka urodzenia pryzmat, że żenada to straszna być mężczyzną – to moja dewiza koniec kłamstw i koniec cynizmu, ostatnia rzecz, którą bym chciała mieć to penisa, nigdy w życiu, dziś nad miastem widzę wielki prawdy neon: jak chujowo jest być tobą, jak dobrze jest być mną, mężczyzna tylko wciąż marnuje wodę i prąd, elo."

Spieszę donieść, że to nie jest moja spontaniczna myśl spisana pod wpływem natchnienia, jak mogło przyjść niektórym na myśl. To cytat (poznać to po cudzysłowie) z najnowszej książki Doroty Masłowskiej. I nie przytaczam go tu ku reklamie, choć treść bywa akurat celna. Przytaczam go ze względu na formę. A mianowicie: cała książka ma być rapem. Tak jest reklamowana, choć gdy typię mym krytycznym okiem na powyższy fragment – oprócz paru rymów, które daje się wyłuskać – rap zdiagnozować można właściwie jedynie poprzez użyte słowo-klucz: „elo". Ale o tym wiemy tylko my. Znamienitym krytykom literackim „elo" wystarczy, żeby w recenzji napisać o „niezwykle aktualnym portrecie współczesnej kobiety osaczonej przez masową popkulturę pokolenia MTV" czy coś równie nieadekwatnego.

Jedno jest tu ważne: prawdziwy czy podrabiany – rap wchodzi na salony. W dyskretnym powiewie awangardy staje się elementem dostępnym dla każdego. I kury domowej z aspiracjami, i naturalizowanego w wielkim mieście studenta prawa. I babci, i mamy, i córki. Unisex i analogicznie uniage. Mimo „chujów" i „pierdolenia" nad książką wzdychania roztaczać będzie nawet konserwatywna „Rzeczpospolita". Bo książka to jednak kultura przez duże „K".

Podróba na salonach literackich może nie wszystkich obchodzi. Podróba na MTV już wszystkim spowszedniała. A podróba w teatrze?

Oto spektakl roku: „12 Ławek"! Gdyby nie ochy i achy krytyków teatralnych, których autorytetowi, jak się okazuje, jednak podlegam, napisałabym z marszu, że to jakieś nieporozumienie. I to grubsze. Pojechałam na premierę do Gdyni (jednak warto było, ale ze względu na afterparty – słowo, bawiłam się jak 10 lat temu). I co widzę? Scena i kotary, jak to w teatrze. W powietrzu unosi się charakterystyczny zapach przypalonego kurzu. Gaśnie światło. Po lewej stronie graffiti na ścianie i na nim zawieszony blok, z którego po każdej „ławce" zrywana jest jak z kalendarza, kartka ujawniająca tytuł następnej muzyczno-tanecznej etiudy. Przy czym do dziś zagadką jest, co mają kolejne tematy takie jak „duma", „wolność", „impreza", „Polska", „styl", „jedzenie" czy „piękne panie" do ławek, które de facto pod żadną postacią w spektaklu (czy jak ktoś woli – happeningu) nie występują. Szczególnie, że jak czytamy na portalu cgm: „Artyści sami o sobie mówią: Nie jesteśmy blokersami". A jak ławka, to przecież tylko pod blokiem. Trudno nie mieć wrażenia, że hasło „ławka" pełni tu taką rolę jak „elo" u Masłowskiej.

I mogłabym się oczywiście wyżywać, że dlaczego Marika reprezentuje „piękne panie" w hip-hopie, skoro nie ma z nim nic wspólnego? I dlaczego ledwo znany zespół Analogia rapuje aż w dwóch tematach „rodzina" i „pieniądze" (znalazłabym lepszych kandydatów do obu – jakże nośnych – tematów)? Że musical reklamuje się Sistarsami, a w rzeczywistości pod stworzoną przez nich muzykę śpiewają dwie dziewczyny z castingu. Że w ogóle doszło do castingu, a 12 haseł (dlaczego 12? Na każdą porę roku?) wyłoniono poprzez ankietę (co za demokratyzacja hip-hopu!). Mogłabym się zachwycać scenografią i zżymać na stroje, które zaprojektował ktoś, kto widział tylko raz modę hip-hopową w teledysku TLC z 1992 (na polskim gruncie stroje nigdy nie były takie kolorowe i... obciachowe). Mogłabym dowodzić teorii, że Wielkie Joł przekupiło poczciwego Stańka, wciskając mu jako „najprawdziwszy hip-hop" to, co akurat mieli w swoim „sklepiku" na składzie. I nabijać się z Ostasza, który zaraz po pełnym luzu wystąpieniu dyrektora teatru ubranego w bluzę z kapturem wymaszerował w garniaku i wydukał wbite na pamięć podziękowania (da real hip-hop reprezent).

Ale nie o to tu chodzi. A o co? O to, że teatr w Gdyni oblegany jest od lutego do tego stopnia, że musical nie może ruszyć w dalszą trasę po Polsce. A książka Masłowskiej rozejdzie się jak świeże bułeczki. Bo ludziom się taki hip-hop w eleganckim opakowaniu książki czy spektaklu podoba. Tyle, że jest to tylko popłuczyna po hip-hopie. Takie wypatroszone i podkolorowane (może i nawet sprayem) podroby. Ja czułam się na „12 Ławkach" jak debil. Ewidentnie byłam na imprezie, ale nie mogłam ani tańczyć, ani chwycić za mikrofon, nie mówiąc już o sączeniu chłodnego browarku.

Miejsce hip-hopu jest na ulicy i w klubie. I to właśnie w nim lubię. Elo!

Fala

bazaar
w kinach w czerwcu



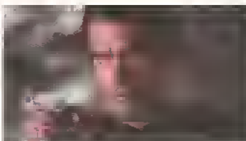
Boogeyman
reż. Stephen T. Kay
wyst. Barry Watson, Emily Deschanel, Lucy Lawless

Opowieść o młodym człowieku, którego prześladują wspomnienia strasznego dzieciństwa. Gdy powraca do rodzinnego domu, musi walczyć z lękami i demonami przeszłości, nie wiedząc czy to, co go otacza, to rzeczywistość, czy wytwór jego wyobraźni. Będzie strasznie. I ciekawie – film zbiera całkiem przyzowite recenzje. W kinach od 3. czerwca.



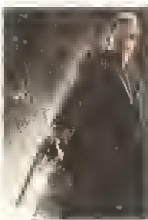
Autostopem przez galaktykę
reż. Garth Jennings
wyst. Martin Freeman, Sam Rockwell, Mos Def

Na kilka sekund przed zniszczeniem Ziemi, która – jak się okazuje – leży na trasie nowej międzygalaktycznej autostrady, dziennikarz radiowy Arthur Dent zostaje uratowany przez swego sąsiada, Forda Prefecta. Prefect jest kosmitą, który zbiera materiały do nowego przewodnika dla kosmicznych autostopowiczów. Razem na gapę zabierają się przelatującym statkiem kosmicznym. Ekranizacja kultowej książki Douglasa Adamsa. Książkę uwielbiam, mam nadzieję, że film dorówna moim oczekiwaniom. W kinach od 10. czerwca.



Atak na posterunek
reż. Jean-Francois Richet
wyst. Ethan Hawke, Laurence Fishburne, Maria Bello

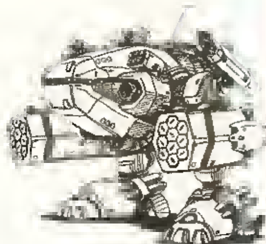
Detektyw Jake Roenick z zamykanego właśnie na dobre posterunku 13, musi stawić czoła groźnym przestępcom próbującym zamordować gangstera Mariona Bishopa. Ma mu w tym pomóc grupa, w skład której wchodzą pozostali na posterunku policjanci oraz uwięzieni tutaj aresztanci. Remake znakomitego filmu Johna Carpentera. Po co poprawiać coś, co już było dobre? Zastanawia skrócenie tytułu przez dystrybutora (oryginalny to „Atak na posterunek 13"). Czyżby polskim widzom komenda o takim numerze kojarzyła się już tylko z Cezarym Pazurą? W kinach od 10. czerwca.



Sin City – Miasto grzechu
reż: Robert Rodriguez, Frank Miller
wyst: Bruce Willis, Mickey Rourke, Jessica Alba, Clive Owen

To powinien być jeden z największych kozaków filmowych tego roku. To BĘDZIE kozak. Każdy, kto widział trailery i jara się komiksem Franka Millera już się nie może doczekać. My w redakcji SLG również. A jest na co: zajebista obsada, zajebiste zdjęcia, muzyka, klimat i na dodatek Quentin Tarantino jako „gościnny reżyser". To nie może być zły film... W kinach (dopiero!!!) od 17. czerwca.



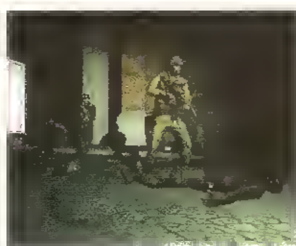


SWAT 4
(Sierra / CD Projekt)



Od ostatniej odsłony tego cyklu minęło już dobre pięć lat (jeśli weźmiemy pod uwagę SWAT 3: Elite Edition z 2000 roku), więc starzy gracze, zwolennicy raczej taktycznej strzelaniny niż mordowania hurtem, zdążyli już pewnie zapomnieć o tym zacnym tytule i przerzucili się na Rainbow Six. Tym bardziej, że premiera SWAT 4 przekładana była... wiele razy. Ale w końcu jest i... nie powiem, jest trudna. Naprawdę trudna. Jedna kulka i koniec zabawy. Pamiętacie może takie czeskie cudeńko, Operation Flashpoint? Tam też jeden fałszywy ruch i witamy w piachu, tyle że tam byli wrodzy żołnierze, a tu trzeba uważać na zakładników, ludzi z drużyny itd. Gra zaskakuje realizmem, szczególnie jeśli chodzi o zachowanie postaci (bardzo dobra sztuczna inteligencja). Misje nie składają się w jakąś szczególnie barwną historię, typu „ratujemy świat przed terrorystami" (to zostawmy choćby takiemu Samowi Fisherowi:). Po prostu, codzienność w oddziałach SWAT. Gra genialna, choć przede wszystkim dla zwolenników kombinowania niż eksterminowania.

Tom Clancy's Splinter Cell: Chaos Theory
(Ubisoft / Cenega)



Czy już ukończyliście Pandora Tomorrow? Czy macie dość, czy może jednak ponowne wcielenie się w Sama Fishera to jest to, czego potrzebujecie? Jeśli tak, to zapraszam do Teorii Chaosu... Nowa odsłona (hmm...) przygód tajnego agenta Trzeciego Eszelonu przenosi nas w świat konfliktu pomiędzy Japonią, Chinami i Koreą Północną. Zaopatrzenie Sama Fishera w nowe gadżety (m.in. nóż, z którego można bardzo udatnie korzystać) i nowe ruchy (zwis na linie już znany z wcześniejszych odsłon, ale tym razem wraz z możliwością ogłuszania przeciwnika) przenosi zabawę na zupełnie nowy poziom. Coraz większy realizm – grafika rządzi (w końcu to zmodyfikowany silnik Unreala, hehehe) – zwróćcie uwagę na cienie i na wodę, nie mówiąc już nic o samych mapach! Na uwagę zasługuje także sugestywna, acz nie rzucająca się za bardzo „w uszy" muzyka Amona Tobina. Co poza tym? Coop mode. Myślę, że już wkrótce na ustach wszystkich graczy będzie ten zwrot: coop mode, czyli tryb kooperacji. Tutaj naprawdę twórcy pokazali, na co ich stać: w trybie tym dwóch graczy może (i musi) współpracować ze sobą, by ukończyć misję.

Na sam koniec dodam, że – jeśli ktoś nie wie – Chaos Theory to składanka raczej dla wytrwałych graczy niż zwolenników szybkiej rozwałki przeciwnika. Ale co fajniejsze, załatwić wszystkich od razu z rocket launchera, tudzież innej konkretnej giwery, czy też po cichu, systematycznie brnąc do celu? Odpowiedź należy do Was.

Star Wars: Republic Commando
(Lucasarts / LEM)



Za chwilę w kinach ostatnia część pierwszej trylogii Lucasa, nic dziwnego, że i w SLG coś się musi pojawić z tej, że tak powiem, działki. Republic Commando – jak dla mnie – ma prawie same plusy: nie ma Rycerzy Jedi i ich Mocy, nie ma (prawie) mieczy świetlnych. Oczywiście dla fanatyka uniwersum Star Wars to herezja, dodam więc, że i gra nie zaczyna się od napisów niknących w głębi ekranu, a muzyka dobiegająca z głośniczków to nie stary, dobry gwiezdnowojenny motyw Williamsa. Co w takim razie jest? Przede wszystkim klony, gdyż wcielamy się w postać niejakiego Jango Fetta (znanego z filmu, to chyba tatuś Bobby?), komandosa dowodzącego oddziałem swoich klonów. Właśnie, dowodzimy oddziałem, choć powiedzieć, że mamy do czynienia z taktycznym shooterem, to za wiele. Raczej gra idzie po linii Halo czy Breed, gdzie wydawanie poleceń było raczej symboliczne (tu za wszystko odpowiada jeden klawisz! – ale działa). Jak na konwersję z konsoli przystało, to grafika jest wręcz bardzo dobra, sterowanie też w pełni przystosowano do myszki i klawiatury, sejwować możemy w zasadzie do woli. Jedyna rzecz, co do której można mieć wątpliwości, to bronie. Nie da się ukryć, że w czasach shooterków, w których jedna giwerka potrafi zajmować pół ekranu monitora komputerowego, te gwiezdnowojenne pukawki są ciut przestarzałe. Ale nic to, skoro gra się naprawdę przednio.

Project: Snowblind
(Crystal Dynamics / Cenega)



Nie! Kolejny shooter? Tak jakoś wyszło w tym odcinku Game Overloada, po prostu mamy sezon na dobre strzelanki:). Tym bardziej, że o Project: Snowblind troszkę już pisaliśmy, szczególnie, jeśli chodzi o zmiany tytułu tej pozycji (pierwotnie Deus Ex: Clan Wars). Czyli już wszystko jasne? Jeśli lubicie właśnie Deus Exa z tymi wszystkimi implantami i innymi bajerami, a narzekaliście trochę na zbytnie przekombinowanie (czytaj: mało się strzelało:)), to Snowblind jest dla Was. Wcielacie się w postać Nathana Frosta, cyborga mającego coś do zrobienia (co, to już musicie sami zobaczyć) w futurystycznym Hong Kongu. Choć to konwersja z konsoli, nie razi rozmytą, niezbyt szczegółową grafiką, wręcz przeciwnie, niektóre efekty robią ogromne wrażenie. Sterowanie również nie sprawia problemu. Coś więcej? Chyba tylko umieścić płytkę z grą w napędzie kompa...

gad

newsy

Półtorej banieczki...



...graczy już uczestniczy w wirtualnym świecie Azeroth! Półtora miliona osób przenosi się do online'owego World of Warcraft, jak podał Blizzard Entertainment, twórca gry. Wynik zaiste zacny, a gdy weźmie się pod uwagę, że sprzedaż kolejnych tzw. starter kitów jest mocno ograniczana (ze względu na ograniczoną ilość serwerów i komfort już grających), to... no cóż, można tylko pogratulować!

Kłopoty Tannhauser Gate

Jak przyznało wrocławskie studio Tannhauser Gate, nie może ono już dłużej prowadzić swego online'owego projektu rpg Mimesis Online (wystartował w okolicach stycznia 2002). Miejmy nadzieję, że nie oznacza to końca firmy, tym bardziej, że w produkcji jest wzmiankowany już w SLG The Roots, rolplej utrzymany w konwencji Final Fantasy. A więc polscy gracze, popierać polskie produkcje! Zwłaszcza, gdy wcale nie zapowiadają się najgorzej!

Lochy po raz drugi



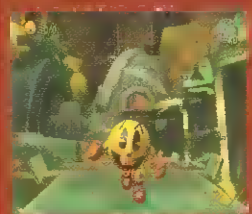
Mam na myśli oczywiście nie samice świni, a takie korytarze pod ziemią najczęściej. Otóż kontynuacja jednego z najbardziej wyczekiwanego erpega ostatnich lat ma być dostępna mniej więcej w połowie tego roku (choć różnie to bywa w branży gier). Dungeon Siege II pojawi się w czerwcu, a w nim (tj. w DS II, a nie czerwcu) nowe postaci, nowe zwierzęta, nowe kombosy, lepszy rozwój postaci. Jak to zwykle bywa z nowymi tytułami. Ale tym razem chyba można wierzyć.

Postal 3



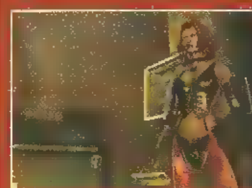
Co? Znowu Postal? Najwyraźniej firma Running with Scissors (swoją drogą, co za nazwa) zapowiedziała trzecią część swojego „hitu", która nosić będzie tytuł Postal 3: Catharsis. Hmmm, Pocztowe katharsis? Może być nieźle, może twórcy spełnią w końcu marzenia wszystkich graczy i stworzą rzeźnicki survival horror w konwencji fpp o przeżyciach listonosza? Raczej nie, jak już będzie, pogramy i zobaczymy...

Ćwiartka dla Pac-Mana



Tak, proszę szanownych graczy. Jeden z najbardziej „wpływowych" bohaterów w historii gier ma już 25 lat! Nic dziwnego, że twórcy tej postaci szykują kolejną odsłonę gry Pac-Man World 3, w której pojawi się – jakżeby inaczej – czarny charakter, super geniusz Irwin! Będzie się działo.

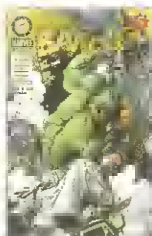
Krwawy maj...



...zapowiada się za sprawą z dawna oczekiwanej gry BloodRayne 2. Wszyscy fani jedynki (tzn. głównej bohaterki, oczywiście) mogą w maju pytać w sklepach, czy pecetowa wersja jest dostępna. Jeśli bohaterka (tj. gra) będzie tak grywalna, jak pokazują to screeny...

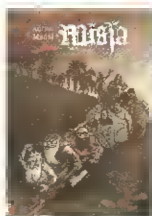
Komiks recenzje





BANNER #1
tekst: Brian Azzarello
rysunki: Richard Corben
MANDRAGORA

Bruce Banner ma poważny problem. Bardzo poważny, można powiedzieć, bo jak inaczej nazwać sytuację, w której gniew przeistacza cię w potężnego, bezmyślnego zielonego potwora, który niszczy wszystko, co znajdzie się na jego drodze? Banner jest Hulkiem i od lat walczy ze swoją drugą osobowością – bezskutecznie. Tym razem ponownie doprowadzi do zniszczenia połowy miasta, na dodatek poluje na niego elitarna jednostka pod dowództwem Doca Samsona. Czy jedynym wyjściem z takiej sytuacji jest śmierć? Po krótkim zeszycie jeszcze niewiele można powiedzieć o miniserii, w której losy Bannera opisuje Brian Azzarello (to rzadka u nas okazja, by zapoznać się z jego innym dziełem niż „100 naboi"). Szkoda tylko, że nawet dość obiecujący scenariusz zyskał słabą oprawę graficzną. Corben to jedna z legend amerykańskiego komiksu (pracował dla „Heavy Metalu", ilustrował m.in. scenariusze Ennisa, Moore'a, Moencha i Glenna Danziga), ale nic nie poradzę, że Hulk w jego wykonaniu wygląda pokracznie. Może powinien zostać przy komiksach niezależnych? Nie zmienia to jednak faktu, że ciekaw jestem, jak Azzarello poradzi sobie z opowieścią o Hulku w następnych odcinkach. (jd)



MISJA
tekst i rysunki: Adrian Madej
KULTURA GNIEWU

Trzech krasnoludów – Riandal, Edgar i Harim – ma do wykonania niezwykle delikatną misję: uratować świat przed zagładą. Żądny krwi i złota władca Sun Garath planuje wskrzesić potężną armię umarłych, by z jej pomocą podbić wszystkie kraje i stać się najpotężniejszym ze wszystkich królów świata. Najpotężniejszym, bo jedynym. Krasnoludy ruszają więc do boju nie szczędząc toporów i gardeł, obficie spłukiwanych wszelkiego rodzaju alkoholem.

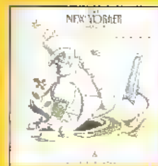
Od czasu, gdy pierwsze plansze „Misji" pojawiły się w piśmie „Nowy Talizman", minęło już ponad 8 lat. W międzyczasie sporą część albumu opublikowała „Arena Komiks", a teraz wreszcie mamy możliwość przeczytania całości. Autor poprawił niektóre plansze i rysunki oraz dodał zakończenie przygody. Niestety, nie uciekł przy tym od schematów fantasy: krasnoludy są krasnoludzkie do bólu, bohaterowie przesadnie bohaterscy i nieznośnie wzniośli, a zły władca jest odpowiednio odrażający. Jest tu kilka kapitalnych i naprawdę zabawnych pomysłów, a Madej ma charakterystyczną, fajną kreskę i ze swojego talentu potrafi zrobić dobry użytek. Cały komiks sprawia jednak wrażenie niedopracowanego, jakby kończonego w pośpiechu (co przy ośmiu latach, przez które powstawał, brzmi absurdalnie). Szkoda, bo dostaliśmy obiecujący album, a jednak zbyt mało to jak na parodię, już nie mówiąc o pełnokrwistej opowieści fantasy. (jd)

czarna lista

TOALETNICY
autorzy się ukryli
McTOMMI POLSKA

„Toaletnicy" to komiks o polskich politykach, wydrukowany na papierze toaletowym. Liderzy PO, PiS-u, LPR-u, Samoobrony, SLD i jeszcze parę innych znanych postaci bawią się na wakacjach na plaży, co jak rozumiem, ma być śmieszne. Czy jest śmieszne, nie wiem, bo przyznaję, że nie „czytałem" tego komiksu, ponieważ w sprzedaży ukaże się już po zamknięciu tego numeru SLG. Jednak forma, w jakiej został wydany, budzi mój gorący sprzeciw. Wiem, że to nie nowy pomysł, nawet na polskim rynku (pamiętam, że całe lata temu ukazał się papier z nadrukami twarzy Urbana), ale idea taka po prostu budzi moje obrzydzenie. Po pierwsze, uważam, że z politykami pokroju Leppera czy Giertycha należy walczyć innymi, cywilizowanymi metodami. Ot, choćby rzetelna dyskusja jest bardziej na miejscu. Po drugie, chociaż literatura (i komiks również) już dawno sięgnęły poziomu rynsztoka (oczywiście nie jako całość, mam na myśli wybrane przypadki), to jednak nie oznacza, że musimy wycierać nimi sobie dupę. Jak we wszystkich dziedzinach sztuki, także w komiksie pojawiają się prace wybitne, dobre, nijakie lub złe. „Toaletnicy" – bez oceny treści, choć podejrzewam, że nie będzie z nią najlepiej, skoro w dniu, w którym to piszę, autorów komiksu nie ujawnia nawet oficjalna strona internetowa produktu – są przede wszystkim żenujący. (jd)

wydarzenie



THE NEW YORKER CARTOONS NOWE TECHNOLOGIE
wybór: Robert Mankoff
WYDAWNICTWO HISTORIA I SZTUKA

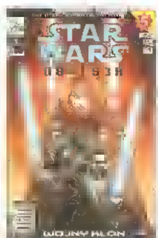
Elitarny tygodnik „The New Yorker", jedno z najciekawszych i najbardziej uznanych pism w Stanach Zjednoczonych, słynie nie tylko z celnej publicystyki, ale również z zamieszczanych na jego łamach rysunków satyrycznych. Zresztą wystarczy spojrzeć na nazwiska rysowników, którzy z magazynem współpracowali: Charles Addams, Sempe, Robert Crumb, Peter Arno, Art Spiegelman czy William Steig. Wielbicielom rysunku satyrycznego czy komiksów te nazwiska powinny służyć za wystarczającą rekomendację. „Cartoons" publikowane przez „New Yorkera" cieszą się tak ogromną popularnością, że pismo regularnie publikuje kolejne zbiory tematyczne, poświęcone przeróżnym dziedzinom życia: od medycyny po baseball.

W Polsce ukazał się właśnie pierwszy tom zebranych rysunków, poświęcony nowym technologiom. Artyści New Yorkera biorą tu pod ostrze swoich piór i ołówków internet, telefony komórkowe, komunikację satelitarną, czyli wszystko, co już na dobre wtopiło się w naszą codzienność, a mimo to pozostaje obiektem celnych spostrzeżeń i żartów. No i można się przekonać, że nowojorską inteligencję wkurzają i bawią te same rzeczy, co nas... Chociaż z drugiej strony z tego zbiorku wyłania się dość gorzki obraz naszej rzeczywistości. Portret społeczeństwa, które na dobre uzależniło się od maszyn. Może nie? To spróbujcie sobie wyobrazić własne życie w świecie bez elektryczności... Mam nadzieję, że publikacja pierwszego tomu oznacza, że seria będzie kontynuowana. Warto, bo większość rysunków to żarty wywołujące raczej uśmiech i refleksję, niż głośny rechot, a takiej rozrywki ciągle u nas za mało. Poza tym dokonania rysowników „New Yorkera" to już porządny kawałek historii gatunku i prasy w ogóle. (jd)



HITMAN / LOBO TEN GŁUPI WAŁ!
scenariusz: Garth Ennis
rysunki: Doug Mahnke
MANDRAGORA

Nazwisko Gartha Ennisa pojawia się w naszej rubryce wręcz obsesyjnie, ale co zrobić, skoro to scenarzysta bardzo płodny, a słabsze komiksy trafiają mu się naprawdę rzadko. Tym razem postanowił skonfrontować Hitmana z ulubieńcem tłumów, Lobo. Ważniak po raz kolejny trafia na Ziemię w pościgu za jednym z kosmicznych zbrodniarzy, ale na swoje nieszczęście trafia do Gotham. A tu znudzony siedzeniem w barze Hitman postanawia się rozerwać i nakopać Czarnianinowi do dupy. Lobo nie poddaje się łatwo, ale równie łatwo wpada w gniew, więc pojedynek obu panów rozniesie kawał miasta na strzępy, a Hitman przy okazji załatwi kilka starych porachunków. Kto zna przygody Lobo i komiksy o Hitmanie, ten wie, czego się spodziewać. Dużo krwi, dużo pościgów i dużo – często dość niewybrednego – humoru. Lektura leciutka, głupiutka (choć supergrupa, z której usług korzysta tu Hitman, to pomysł naprawdę zajebisty, zwłaszcza Kynospawacz, który... Zresztą zobaczycie sami), dla Ennisa pewnie odskocznia od zdecydowanie poważniejszych scenariuszy. Zresztą czytelnikom i fanom autora taki relaks też się przyda. Polecam. (jd)



STAR WARS. OBSESJA #1
scenariusz: Haden Blackman
rysunki: Brian Ching
MANDRAGORA

Wojna klonów trwa na dobre. Obi-Wan Kenobi ma do wykonania zadanie, które może wpłynąć na losy galaktyki. Podejmuje się – zresztą wbrew woli rady Jedi – odnaleźć zaginioną komador Ventress (która miała jakoby wcześniej zginąć z ręki Anakina Skywalkera) i postawić ją przed sądem, by mogła odpowiedzieć za swoje zbrodnie. „Obsesja" to jeden z wielu komiksowych łączników pomiędzy filmowym „Atakiem klonów" a „Zemstą Sithów", która już teraz gości na ekranach kin. I jak to zwykle bywa w takich przypadkach, ucieszy przede wszystkim zagorzałych fanów gwiezdnej sagi. (jd)



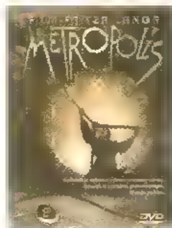
CALVIN I HOBBES tom 3 JUKON CZEKA
scenariusz i rysunki: Bill Watterson
EGMONT

Już trzecia albumowa odsłona przygód małego Calvina i jego pluszowego – ożywającego w wyobraźni – tygrysa Hobbesa. Kapitalny komiks, jeden z najlepszych w historii gazetowych stripów. Polecam więc po raz kolejny, tym bardziej, że – o czym nie wspominałem w poprzednich recenzjach – tłumaczem albumów jest Piotr Cholewa (a to jemu zawdzięczamy m.in. znakomite przekłady „Świata Dysku" Pratchetta). Poradził on sobie świetnie z niełatwym przecież językiem, jakim posługują się Calvin i Hobbes. Czytajcie! (jd)

recenzje filmowe



METROPOLIS
reż. Fritz Lang
BEST FILM



Klasyk nad klasykami, jeden z najważniejszych filmów w dziejach kina, czołowe dokonanie niemieckiego ekspresjonizmu. Metropolis to dwupoziomowe miasto, twardo rządzone przez bezwzględnego przemysłowca, Joha Fredersena. Na powierzchni mieszka opływająca w dobrobyt kasta panów, w głębokich podziemiach – pracujący na nich robotnicy. Miłość syna Fredersena i kapłanki z podziemnego świata doprowadzi do buntu robotników i krwawego starcia ludzi z robotami. Opasłe tomiska zapisano, badając znaczenie „Metropolis", jego wpływ na późniejsze kino, a także rozliczne odwołania kulturowe filmu (ot, choćby strukturę społeczeństwa zaczerpniętą z „Wojny światów" Wellsa). Nakręcony blisko 70 lat temu film do dziś zaskakuje rozmachem, niewiarygodnymi na swoje czasy rozwiązaniami technicznymi i precyzją, z jaką został nakręcony. A wszystkie te zalety pogłębia kapitalne wydanie DVD: obraz został maksymalnie odświeżony, oryginalna muzyka na nowo nagrana, a płytę wzbogacono o świetne dodatki: interesujący komentarz, znakomity dokument „Historia Metropolis" i sporo innych, równie dobrze dopracowanych drobiazgów. Pełna satysfakcja, proszę o kolejne – tak wydane – klasyki światowego kina. (jd)

SKY KAPITAN I ŚWIAT JUTRA
reż. Kerry Conran
ITI FILM STUDIO



Lata 30. ubiegłego wieku. Nowy Jork stoi w obliczu niebezpieczeństwa: złowrogi naukowiec nasyła na miasto armię robotów, by podporządkować sobie mieszkańców. NY zaś to pierwszy krok w jego planach podboju świata. Przeciwstawić złu może się tylko legendarny pilot Sky Captain (Jude Law), wspomagany przez wścibską dziennikarkę i przy okazji jego byłą narzeczoną (Gwyneth Paltrow) i dowodzącą uzbrojonym po burty okrętem kapitan Franceskę Cook (Angelina Jolie)...

Fabuła filmu, wyraźnie inspirowana tanią literaturą i komiksami z lat 30. jest tu zdecydowanie pretekstowa i wręcz archetypiczna w swojej prostocie (Zły Naukowiec, Bohaterski Pilot, Piękna Kobieta, itp.). Głównym magnesem, który ma przyciągnąć widzów przed ekrany, jest sposób, w jaki film nakręcono. A powstał on na blueboksie, zaś całą scenografię dołożyły komputery. Niby to już nic nowego, przeważająca część scen z „Matrixa" czy „Gwiezdnych Wojen" powstaje w ten sposób. Nowatorski jest jednak efekt. Spróbuję opisać go tak: gdyby w latach 30. używano technik komputerowych do tworzenia filmów akcji, to właśnie tak by wyglądały. Warstwa wizualna „Sky Kapitana..." jest rzeczywiście oszałamiająca. Zgrabnie łączy staroświeckie triki filmowe z animacją komputerową wysokiej jakości, tworząc specyficzny, niepowtarzalny klimat. Szkoda jedynie, że ten niezwykły spektakl jest przy tym tak nudny. Ile w końcu można się zachwycać pomysłowością realizatorów? Niestety, niezbyt długo. Tym bardziej, że zawiedli tu również – świetni skądinąd – aktorzy nawet Jolie, oszpecona przepaską zasłaniającą oko. „Sky Kapitana" zobaczyć jednak warto – wersję DVD wzbogacono o sporą ilość ciekawych dodatków, odsłaniających kulisy powstawania filmu. (jd)

KOMÓRKA
reż. David R. Ellis
WARNER BROS.



Czy widzieliście kiedyś reklamę trwającą półtorej godziny? Ja niedawno miałem tę wątpliwą przyjemność. Dla zmylenia przeciwnika nazwano to filmem, a opatrzono go wszystko mówiącym tytułem „Komórka". Bohaterem tego przydługiego spotu jest telefon firmy Nokia, dzięki któremu można uratować życie przykładnej, amerykańskiej rodziny, z którą to zły policjant pragnie zrobić bardzo złe rzeczy. Jednak nie to jest ważne, istotne jest to, że przenośny telefon robi zajebiste zdjęcia i filmiki, dzięki czemu można przyskrzynić złych ludzi. Co jakiś czas dowiadujemy się o nowej, wspaniałej funkcji, która pozwala krok po kroczku zbliżyć się do uwięzionych ofiar.

Film ten ma dosyć niezłe tempo akcji i to jest jego jedyny plus, wszystko inne jest poniżej poziomu, tak jak poniżej poziomu dobrego smaku został w nim zastosowany product placement. Napisy końcowe zrobione na wyświetlaczu Nokii są już niedelikatną przesadą. (Di O)

COLLEGE DROPOUT - VIDEO ANTHOLOGY
KANYE WEST
ROC-A-FELLA RECORDS



W lipcu szykujcie się na nowy album Kanye Westa, a zanim to nastąpi, możecie się nacieszyć wizualnym rozszerzeniem znakomitego debiutu młodego rapera. Teledyski promujące College... to mistrzostwo świata, zresztą docenione w branży, która obsypała Szczękę nie tylko nagrodami za muzę, ale też za promujące ją obrazki. „Through The Wire", „The New Workout Plan" w rozszerzonej wersji, a także cała trylogia klipów do „Jesus Walks" wraz z materiałami dokumentującymi powstawanie teledysków. Oczywiście fantastyczny klip do „All Falls Down", a także niepublikowane „Two Words" i „Slow Jamz", które dotąd można było znaleźć tylko w necie. Jakby tego było mało, dostajemy jeszcze drugą płytkę, tym razem zwykły cd'ek, na którym mamy aż siedem niepublikowanych dotąd tracków, w tym remiksy i featuringi zupełnie zaskakujące. Żeby podkręcić atmosferę, nie napiszę, co i jak, ale wierzcie mi, warto to coś mieć. Zajebiste wydawnictwo.

newsy

Jo! Jest git. Play-off NBA wchodzi w decydującą fazę, więc mam czym się jarać, nawet mimo tego że „moi" Orlando Magic już od miesiąca pograć sobie mogą co najwyżej na konsolach. A potem finały, draft, ligi letnie, transfery i znów będzie kolejny sezon. Jakież to optymistyczne:) A co tam w hip-hopie? Też się dzieje, chociaż tu żadnych play-offów nie da się uświadczyć, bo sezon trwa cały rok. Polsat co prawda miał ochotę urządzić jakiś czas temu coś w rodzaju draftu do „ligi" hip-hopowej, ale jakoś na szczęście minął im zapał, przynajmniej na razie. Może jednak niech poprzestaną na „Idolu" popowym, będzie bardziej w klimacie tej stacji, nieprawdaż? Ej, dobra, pora przystąpić do konkretów, zatem bądźcie poinformowani! Znów jo!.

NEWS Świetna, moim zdaniem, inicjatywa ruszyła 14.05 w Białymstoku. Odbyła się tam mianowicie pierwsza z serii sześciu imprez pod nazwą ***„And1 G-Shock Basket Music Tour 2005"***. Turnieje streetballowe połączone są z koncertami WSZ & CNE promującymi nową płytę duetu „Jeszcze Raz" oraz imprezami klubowymi prowadzonymi przez DJ'a Barta. Jako fan kosza mogę tylko przyklasnąć, przytupnąć i przybić wirtualną pionę pomysłodawcom!!! Tylko ta nazwa trochę przydługa:)

NEWS Od 14 maja powinniście już móc zakupić epkę ***Lerka*** zatytułowaną „Bo Bez Ciebie". Składa się ona z sześciu utworów oraz ich ośmiu remiksów. Bicíwa na krążku są autorstwa Cameya, Teki i Rx'a, co dobitnie świadczy o wydawcy płyty, którym jest rzecz jasna Camey Studio. Również nakładem tego labela zaledwie parę dni temu światło dzienne ujrzał singiel „Kto Dogoni Psa" Mleka, którego macie obowiązek pamiętać z prawie tak starej jak polski hip-hop ekipy Born Juices. Cały album niebawem.

NEWS W drugiej połowie czerwca spodziewać się możemy płyty ***Ciszy & Spokoju***, czyli duetu Dużego Pe z DJ'em Spoxem. Krążek wydany zostanie przez UMC, a jego tytuł jeszcze nie został oficjalnie ogłoszony. Ponoć album ma liczyć dwanaście tracków i zawierać minimalną liczbę gościnnych występów.



Największy członek D12, ***Bizarre***, zdecydował się na wydanie solówki. Doszedł do wniosku, że jest już na tyle rozpoznawalną postacią, że może zaryzykować takie posunięcie. Płyta nazywać się będzie „Hannicap Circus" i ukaże się 28 czerwca. Singiel zwiastujący ten album to produkowany przez Eminema „Rock Star", a gościnnie na krążku oprócz Ema i reszty D12 pojawią się Big Boi, Dead Prez i Raphael Saadiq.



W lipcu na sklepowe półki (przynajmniej w Stanach) trafić ma drugi album ***Killer Mike'a*** „Ghetto Extraordinary". Singiel promujący to wydawnictwo nosi tytuł „My Chrome", a Mike'a wspierać mają na płycie Big Boi, Juvenile i Bubba Sparxxx. Jak mówi raper, na krążku, którego pierwotny tytuł brzmiał „Down By Law", opisuje on swoje doświadczenia z dorastania w Atlancie. Toż to pouczające niezmiernie będzie!



Outkast i Rosa Parks wreszcie doszli do porozumienia. W procesie ciągnącym się od 1999 roku chodziło generalnie o to, że Andre i Big Boi użyli nazwiska kobiety jako tytułu do jednego z numerów z płyty „Aquemini", co starszej pani się nie spodobało. Ostatecznie Outkast, Sony BMG i reprezentanci 92-letniej babci postanowili zakończyć spór i wspólnie pracować nad uświadamianiem młodzieży na temat wpływu Rosy Parks na „uczynienie Ameryki lepszym miejscem do życia dla wszystkich ras". Tym z Was, którzy zastanawiają się, kim do cholery jest Rosa Parks, polecam dowolną lekturę dotyczącą powojennej historii USA. Teraz tłumaczyć nie będę, bo i tak już ten news się niebezpiecznie przedłuża.



14 czerwca ukazuje się nowy album ***Prasa***, członka The Fugees. Zatytułowany będzie „Win, Lose or Draw", a gościnnie wystąpią na nim Akon, Sean Paul oraz Wyclef, z którym jeszcze nie tak dawno Pras wymieniał „uprzejmości" w dissach na mixtape'ach i w wywiadach. Ciekawe jest, że pierwszym singlem z płyty będzie remake największego hiciora U2, „I Still Haven't Found What I'm Looking For". To pierwszy raz, kiedy Bono i spółka pozwolili komukolwiek oficjalnie korzystać z ich twórczości.

recenzje muzyczne



JOHN LEGEND
GET LIFTED
SONY BMG

O Johnie mogliście przeczytać w poprzednim numerze SLG, teraz kilka słów o jego płycie. Genialna! Po prostu. Dawno w świecie męskiego r'n'b nie było postaci, która z taką świeżością potrafiłaby i złożyć hołd klasyce, a niezwykle plastycznie wpisać się w nowoczesne trendy. Fantastyczna barwa głosu, świetna modulacja, umiejętność eleganckiego znalezienia się w każdej wokalnej sytuacji. Legend potrafi śpiewać i rozrywkowo, i pościelowo, momentami nawiązuje do gospel, odważnie korzysta z klasycznych rozwiązań soulowej wokalistyki. Album brzmi niezwykle świeżo – wiadomo, egzekucja produkcyjna by Kanye West. Ale nie tylko West odpowiedzialny jest za stronę muzyczną albumu. Produkuje również sam Legend, mamy jeden track will.i.ama z BEP, ciekawe produkcje skomponowali Dave Tozer i DeVon Harris. Ponad 50 minut niezwykłych wrażeń, ciekawych historii i obcowania ze znakomitym głosem. Zwróćcie uwagę na gościnne występy Snoopa i Kanye Westa – warto. Zresztą warto dobrze zapoznać się z całym albumem. Polecam.



POE
SZUM RODZI HAŁAS
ASFALT

Natłok myśli w głowie O.S.T.R.-a musi przypominać mrowisko, skoro w kawałkach jest ich po kilka na sekundę. Pikuje wokół tematu, wpada w dygresję, z niej przeskakuje w kolejną i jeszcze jedną, i jeszcze... Dobiera porównania, do których wypadałoby robić przypisy, a wszystko to w morderczym tempie. Nie jest to puste, jest w tym sens, tyle że ja za nim najczęściej nie nadążam. Dopiero po kilku przesłuchaniach da się jakoś skleić ze sobą te wersy w teoretycznie logiczną całość. Są momenty pokazujące bezsprzeczną wielkość Ostrego, jak choćby zagadkowa, mroczna opowieść z miejsca zbrodni. A jednak da się godzić hardcore z artyzmem... Odstąpmy od treści, bo warsztat na tej płycie to podręcznik dla mc's. Granie głosem – od bardziej hardcore'owego, gardłowego po nonszalancki, nosowy plus wszelakie intonowanie. Granie flow – opanowane przeciągnięcia głosek, wariackie zająknięcia, przyspieszenia. Pełna swoboda. Granie techniką – od zbitek rymów idących po sobie w wersie jak seria z karabinu, do wielokrotnych złożeń na końcach wersów. To wszystko w małym palcu.

Muzyka... Konfrontowanie organicznego ciepła i jazzowego zacięcia z zimną syntetyką wypada u młodszego z braci Waglewskich genialnie. Kompozycje są wielowarstwowe, ale zachowują swoją muzyczność. Przemyślany, bogaty i zaskakujący (np. zjawiające się nagle dęciaki, w pulsującym, agresywnym, dość plastikowym bicie) aranż nie powoduje, że

przestają płynąć. Wychodzi na jaw, jak płynnie przebiegała ewolucja Emade. „Szum rodzi hałas" brzmi, jakby każdy z etapów, na który wchodził przy okazji kolejnych płyt z Fiszem, odcisnął swoje piętno. I raper i beatmaker nagrali swoiste „best of me" i tylko dlatego mogę polecić POE wszystkim. Bo jest znakomite, ale trudne. Wciągające, nieodgadnione, wymagające wielu przesłuchań, przeznaczone raczej dla tych, którzy rozkładają „Madvillainy" na czynniki pierwsze, a nie wypatrują dup w klipach 50 Centa. Ostrożnie ze słuchaniem wieczorem. Nie wiadomo czy to jeszcze płyta, czy już sen. (flint)



BASEMENT JAXX
THE SINGLES
XL/ SONIC

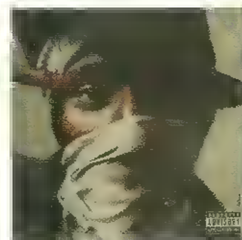
Nie uwierzę nikomu z zatwardziałych imprezowiczów, jeśli twierdzi, że nigdy nie bawił się w rytm któregoś z hitowych singli BJ. Brytyjski duet to wszak prawdziwa kopalnia nieziemskich bangerów, w których mieszają wszystko – od housu, przez punk rocka, salsę, motywy etniczne, aż do r&b i hip hopu. No i trzeba powiedzieć jasno, że czynią to błyskotliwie, brawurowo i z klasą. „The Singles" to zbiór piętnastu numerów, przy których nogi same rwą się do zabawy – od najbardziej znanych „Romeo", „Red Alert" i „Rendez-Vu", przez miażdżące „Oh My Gosh" (w tle Killa Kela), „Lucky Star" z Dizzee Rascalem, aż do „Plug It In", gdzie usłyszymy wrzask Ty'a. W zasadzie o każdym z kawałków można by pisać i pisać, ale po co, skoro można ich po prostu słuchać?! Calak



2CZTERY7
FUNK-DLA SMAKU
EMBARGO

„Funk-dla smaku" na wstępie budzi pewien niesmak, bo mało w nim funku. Mamy funkowe instrumentarium, bas chodzi, jak trzeba, ale cały czas jest to wrażenie, że biedni kuzyni z Polski nawiązują do czegoś, co może i czują, ale nie są w stanie tego podrobić. Nawet w singlu, poniekąd średnim bardzo, najwięcej wspólnego z funkiem ma cul z Warrena G. Pjus nie jest Too Shortem, to tekściarz błyskotliwy, imponujący inteligencją spostrzeżeń, ale obsesja „picia spermy" irytuje, niemal tak jak sztuczny luz we wciąż jeszcze sypiącym się flow. Mes flow ma znakomite, linijki na poziomie, pimping we krwi. Mes to Mes, ale nie cola się jego zwrotek jak kiedyś, dawna fantazja daje znać o sobie tylko momentami. Za to partii przez niego podśpiewywanych da się wreszcie słuchać. Tylko jak to jest, że najbezczelniejsze, najcelniejsze wersy albumu kradnie mu... Noon? Hało! Stasiak jest tekstowo najsłabszy z całej trójki (solidny, ale bezbarwny), za to przyjemnie trzyma się beatu i ma mistrzowski głos. Za mało nim gra, nie wykorzystuje jego miękkości, przydałoby się więcej patentów w rodzaju „mhmmm" z „Bez Przemęczenia".

I tu niespodzianka. Pomimo wielu wad, płyty dobrze się słucha i chce do niej wracać. Są pomysły na kawałki, szlubacki (używa ktoś jeszcze tego słowa?) wdzięk, humor jako hojnie dawkowana przyprawa i ta przyciągająca nutka szelmostwa. Muzycznie jest różnorodnie (Mes, Scoop, Praktik, Kociołek, Święty, Pat Patent) – niestety mało przebojowo, ale spójnie. Nie ma wpadek, może tyle, że numery w końcówce nużą, a pretensjonalność „Nie mogą nas rozdzielić" wręcz razi. „Funk dla smaku" zasługuje na „OK", ale nic więcej. Wzorcowe jest za to „Skąd mogłem widzieć?" pokazujące przyszłą drogę dla zespołu – pomysłowe storytellingi z przeplatającymi się, wchodzącymi sobie w słowo nawijkami (flint)



MOS DEF
THE NEW DANGER
GEFFEN RECORDS

Ten przedziwny album jest z pewnością dowodem na to, że hip-hop nie zna granic. W każdym razie – poszukujący hip-hopowi artyści nie znają granic. Mos Def stworzył płytę, której z pewnością nie da się łatwo sklasyfikować (zastanawiałbym się, czy w ogóle się da), nie jest też jej łatwo szukać. Ta muzyczna podróż ma w sobie coś z poszukiwań nowoczesnego funkowego brzmienia znanych z drugiego albumu Digable Planets, ostatnich płyt Commona, a także muzycznych wariacji takich ludzi, jak Madlib czy Kool Keith. Wszystko różne, ale to po prostu różne odcienie szaleństwa i geniuszu. Mos Def swoją ostatnią płytą wszedł w ten nurt. Karkołomne momentami zestawienia rapu, rocka, bluesa, soulu malują pejzaż jakiegoś przedziwnego soundtracku. „New Danger" (Nowe Niebezpieczeństwo)? Coś jest w tym tytule. Rapowi puryści będą narzekać, że w tym wszystkim za mało hip-hopu, już słyszałem takie opinie. Nie zgadzam się z nimi – wszystkiego jest tu tyle, ile być powinno. A przy samym rapie Mos zaskakuje swoimi zmianami flow – jest ten, którego już znamy; w innym miejscu czasami urywany, momentami histeryczny emcee; gdzie indziej raper nawiązujący do stylu starej szkoły; w jeszcze innym fragmencie brzmiący jak klasyczny undergroundowiec, niezwiązany z wielkim koncernem, z którym przecież jest związany. Ciężka pozycja, ale obowiązkowa dla tych, którzy potrzebują od muzyki czegoś więcej niż tatwych klasyfikacji. k.



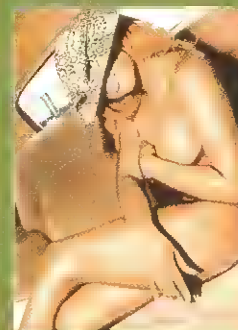
HELLOGOODBYE
HELLOGOODBYE
DRIVE-THRU RECORDS

Przy odrobinie uwagi ze strony mediów Hellogoodbye mogłoby przepędzić z list przebojów wszystkie pop punkowe boysbandy, ponieważ deklasuje je muzyczną biegłością i przebojowością. Zreszlą wszystko przed nim, bo niniejsza sześcioutworowa epka to dopiero pierwsza próbka możliwości tego młodego zespołu. Czwórka małoletnich Kalifornijczyków gra super-hiciarski, optymistyczny pop punk, naszpikowany melodiami a la Beach Boys i syntezatorowymi dźwiękami brzmiącymi jak sample ze ścieżki dźwiękowej gier z Nintendo. Swoją drogą chyba faktycznie kolesie lubią ciupać w różne gejmy, bo jedna z piosenek kończy się znajomym skądinąd okrzykiem: „Flawless victory!" (kto jest fanem „Mortal Kombat", ręka w górę!).

Lekkie pioseneczki Hellogoodbye ujmują sympatyczną smarkacizną, ale też sami członkowie grupy wyglądają na takich, którzy jeszcze nie mogą legalnie kupować napojów alkoholowych. Głos wokalisty jest bardzo „snotty", zwłaszcza kiedy wyśpiewuje teksty o wakacyjnych miłostkach i pierwszych skradzionych pocałunkach. Sercowym rozterkom poświęcony jest, bodaj najbardziej przebojowy na płycie, numer „Shimmy Shimmy Quarter Turn", podczas gdy w „Bonnie Taylor Shakedown" podmiot wykonawczy ubolewa nad tym, że jego sympatia wyprowadziła się za Ocean. Oryginalne poczucie humoru członkowie Hellogoodbye ujawniają z kolei w quasi-dyskotekowym żarcie „Jesse Buys Nothing...". Można by przyjąć, że to muzyka w sam raz na ścieżkę dźwiękową młodzieżowej komedyjki, ale jest w niej coś urzekającego – nieklamana bezpretensjonalność, która sprawia, że Hellogoodbye słucha się naprawdę świetnie. W swojej kategorii, ci weseli „kalaifornijczycy" są naprawdę bardzo dobrzy. /SBTN/



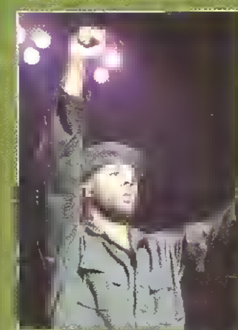
Kolejny album, który oczekiwany jest w czerwcu, to „The Cookbook" ***Missy Elliott***. Missy można chyba nazwać weteranką – to już jej szósty album. Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, artystka jest święcie przekonana, że będzie jej to najlepsza płyta, która przebije wszystkie dotychczasowe osiągnięcia. Ponoć Lil'Kim stwierdziła, że na nowym materiale nie ma słabych punktów. Nie mam nic do Missy, ale jakoś nie chce mi się wierzyć w obiektywizm Queen B., you know what I mean?!



Swoją drogą, pechowa ta ***Lil'Kim***. Jakby dziewczyna miała mało problemów prawnych (odsyłam do poprzedniego numeru), to jeszcze na dokładkę dwóch tekściarzy wytoczyło jej proces, żądając 100 tysięcy dolarów za udział w tworzeniu kawałków na płytę „La Bella Mafia". Ponoć obiecano im na początku po 15 tysięcy dolarów, potem dostali po 10 tysięcy, ale w biżuterii, a na końcu nawet i błyskotki im przemocą odebrano. Prawnicy Lil'Kim zaprzeczają zarzutom, twierdząc, że wszelkie należności zostały uregulowane. Współczuję sędziom prowadzącym tego typu sprawy, no bo komu niby wierzyć.



Lada dzień ukazuje się jego album „534" (z gościnnym udziałem m.in. Jaya-Z, M. O. P. i Young Gunz), a tymczasem ***Memphis Bleek***, bo o nim tu mowa, nie popisał się, bijąc w nocnym klubie w NY chłopaka sprzątającego z jego stołu. Ponoć Bleek wraz z ziomem, z którym balował, zaczęli lać biednego 'busera' bez jakiegokolwiek powodu, po czym zostali aresztowani. Ja natomiast mam pewne podejrzenie, że bezczelny gówniarz chciał im podkraść niedopitego Courvoisiera, stąd cała awantura:)



Płyta „Be" ***Commona*** lada dzień ujrzy oficjalnie światło dzienne, ale w Internecie można ją znaleźć już od dłuższego czasu. Raper stwierdził jednak, że nie przejmuje się tymi przeciekami, gdyż według niego fani i tak nie otrzymali przez to całego projektu. Hmm, polemizowałbym, gdyż sam widziałem już bootlegi z szesnastoma utworami, a to chyba dość dużo. Ponadto, Common zamierza jesienią wprowadzić na rynek markę Soji, pod którą produkowane będą nakrycia głowy. Ciekawa jest geneza nazwy: „Soji to imię mojego sąsiada, które bardzo mi się spodobało" – powiedział Com.

NEWS Jay-Z, Kanye West i Alicia Keys oraz wschodząca gwiazda NBA Lebron James znaleźli się na liście... stu najbardziej wpływowych osobistości na świecie według renomowanego tygodnika „Time". Wybór tej setki osób zdaje mi się w ogóle „nieco" tendencyjny na korzyść USA, zatem proponuję niniejszym nasze rodzime kandydatury: DJ..., Tede, Sistars i... Maciek Lampe, a co?!



FISZ ENVEE
FRU!
ASFALT RECORDS

Spontaniczna kooperacja Fisza i Envee'ego zaowocowała świetnym albumem. To, co robią obaj panowie, wymyka się wszelkim klasyfikacjom. Envee jest elektronicznie eklektyczny i kiedy już przyzwyczaimy się do minimalistycznego bitu opartego głównie na hi-halach, nagle pojawiają się motywy orientalne połączone z dziwnymi komputerowymi piskami. Fisz natomiast znów powrócił do rapu, a jego teksty stały się bardziej dookreślone, co nie znaczy, że banalniejsze i łatwiejsze w odbiorze. Sam album jest znacznie bardziej melodyjny i optymistyczny niż ostatnie pozycje spod znaku Tworzywa Sztucznego. Wszystkim znudzonym obecnym brzmieniem polskiego mainstreamu hip-hopowego oraz wieloletnim fanom Fisza i jego wycieczek muzycznych – gorąco polecam. **cess**



HIDDEN IN PLAIN VIEW
LIFE IN DREAMING
DRIVE-THRU RECORDS

Debiutanci, ale zaczynają od razu z wysokiego C. Pierwsza płyta młodego zespołu z New Jersey funduje słuchaczom wrażenia porównywalne z tymi, jakich doświadczają uczestnicy przejażdżki kolejką górską. Hidden In Plain View na zmianę kąsa ostrym, energetycznym emo punkiem („Bleed For You", „Ashes Ashe", „A Minor Detail", „American Classic"), by następnie przejść do bardziej wyciszonych, kameralnych niemal piosenek („The Point", „Twenty Below"). Warsztat muzyków jest nienaganny – wszystkie przejścia od ostrych, niemal screamowych dźwięków do łagodnych melodii są bardzo płynne, gitary grają gęsto, przekrzykiwane przez dialogi dwóch wokali. W finałowym „Halcyon Daze" dla odmiany pojawiają się gitary akustyczne i wiolonczela. Nie jest to może zabijająca oryginalnością muzyka, ponieważ Hidden In Plain View zawdzięcza całkiem sporo Thursday i innym tego typu orkiestrom, ale jeśli ma już czerpać z kogoś wzorce, lepiej aby podpatrywał najlepszych w swym fachu. „Life in Dreaming" to pierwszy długometrażowy album zespołu. Wcześniej Hidden In Plain View wydał jedną EP-kę, którą promował na koncertach, m.in. na sponsorowanej przez Vans trasie Warped Tour. Dopiero wypracowawszy sobie pewną markę, chłopaki z NJ zabrali się za nagrywanie albumu. Słuszna to polityka, która zaprocentowała kawałkiem świetnej muzyki. Zdecydowanie warto rozejrzeć się za tą płytą! **/SBTN/**



BEANIE SIGEL
THE B. COMING
ROC-A-FELLA

Beanie Sigel powraca z nowym albumem po wydanym cztery lata temu bardzo dobrym „The Reason". Przyznam szczerze, że przesłuchując pierwszy raz nowe dzieło gangstera z Filadelfii, nie byłem nim zachwycony. Jednak zmieniło się to po kilku następnych próbach przekonania się do tego, co Beanie ma do zaprezentowania na trzecim już studyjnym krążku.

Muzycznie płyta jest bardzo różnorodna, ale nie obeszło się bez tego, co w stajni Roc-A-Fella jest teraz najpopularniejsze. Chodzi oczywiście o soulowe sample oraz bity Chada „Wes" Hamilltona i Booli. Ten pierwszy wyprodukował podkład, jakich wiele w ostatnim czasie – oparty o samą perkusję i nie rzucający się zbytnio w uszy cichy sampel w tle. Można tego kawałka nie lubić, ale jest on jednym z najlepszych w swojej klasie. Z kolei Boola zrobił tu najwięcej muzyki. Raz jest bardzo dobrze, jak chociażby w „Tales Of A Hustler Pt. 2", innym razem gorzej, jak w „Oh Daddy", które dla mnie jest nic nie znaczącym wypełniaczem. Bardzo dobrze wypadli The Neptunes i ich „Don't Stop". Świetny chilloutowy kawałek z gościnnym udziałem Snoopa. Zawiódł niestety Just Blaze. „Bread And Butter" to kolejny zbędny numer zapychający płytę. Inne kawałki, na które warto zwrócić uwagę to „Change" i „It's On". Pierwszy – rewelacyjny – na produkcji Ty Fyffe, drugi zaś wyszedł spod mpc legendarnego D- Dot'a (zrobił muzykę do „Hypnotise" Notoriusa B.I.G.). Swoje trzy grosze dorzucili także Aqua, producent znany z „Black Album" Jaya-Z (sprawdźcie „My 1st Song") oraz Buckwild. Bit tego ostatniego jest po prostu niesamowity. Klasyczny hip-hop na najlepszym poziomie.

Tekstowo Beanie również nie zawiódł. Co prawda, jest tu trochę kawałków o kobietach, ale nie zabrakło też tych o poważniejszej tematyce. Raper wspomina to, co działo się z nim w przeszłości, komentuje życie w getcie. Rymuje również o alkoholu ;). Można więc przyjąć, że większość z tego już gdzieś słyszeliśmy, ale wszystko jest zarymowane w doskonały sposób, do czego Sigel nas przyzwyczaił na poprzednich albumach. Tak więc, „The B. Coming" to niezła płyta. Nie stanowi ona przełomu w twórczości artysty, ale jest przyzwoitą porcją dobrego hip-hopu.



RED & SPINACHE
7 RANO
UNIVERSAL MUSIC POLSKA

„Preludium F-Dur" może kandydować do muzycznego żartu-manifestu ostatniego dziesięciolecia – to z pewnością i to na początek. Teraz już na poważnie. Lubię, kiedy Red robi muzykę. I lubię nawet, kiedy Spinache robi muzykę. Obydwaj mają skłonności do miłego, funkującego brzmienia i chce się tego słuchać, bo jest to świeże, choć jednocześnie głęboko osadzone w klasycznym brzmieniu hh. Na tej płycie znajdziecie przynajmniej kilka potencjalnych hitów, a latający od jakiegoś czasu wszędzie „Uwierz Mi" jest moim zdaniem jednym ze słabszych. Napisałem już, co lubię, to teraz w drugą stronę – nie lubię, kiedy Spinache rapuje i nie przepadam, gdy rapuje Red. Reda oceniać nie mogę w pełni, bo po francusku to mogę oglądać kreskówki bez dialogów. Za to Spinache bywa irytujący. Zrobił spory postęp w stosunku do poprzednich swoich albumów, zwłaszcza solówki, ale nadal mam wrażenie, że słucham strzałów z kałasznikowa, tylko że w różnym tempie. Treściowo też bez odkrywania Ameryki. Ale pomimo tego, coś w tej płycie jest. Może właśnie ta świeżość, brak nadęcia i dobra zabawa, którą po prostu słychać. **k**



DJ DOBRY CHŁOPAK
WEJŚCIE SMOKA

Kolejny mikstejp Brzydala pokazuje, że live DJ Zipery i Hemp Gru wciąż wie, o co w tym wszystkim chodzi. Zawodnik to znakomity zwłaszcza w blendach – dobre ucho po prostu i znakomite wyczucie, co z czym zmieszać. Miksowane kawałki to polska, francuska i amerykańska czołówka. Do tego trochę dobrych cutów i premierowe rapy Wilka, Żarego oraz Włodiego. Łatwo tego pewnie dostać nie można, ale warto poszukać, bo materiał ciekawy.



Krótka notka w nawiązaniu do newsa z ubiegłego miesiąca, w którym to informowałem na temat konfliktu T. I'a z ***Lil' Flipem***. Otóż już jest cacy. Chłopcy spotkali się w cztery oczy i wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia. No, to teraz trzeba by wykorzystać moment i jakiś wspólny albumik trzasnąć, nieprawdaż? ;)



No i stało się. Plotki o odejściu ***Cam'rona*** z Roc-A-Fella krążyły już od dłuższego czasu – co tu dużo mówić, sam o tym pisałem, jak oczywiście wszyscy doskonale pamiętacie :) Teraz słowo ciałem się stało i Cam jest już w wytwórni Asylum należącej do Warner Music Group. Raper ponoć nie był zadowolony z promocji swej ostatniej płyty „Purple Haze", nie przepadał również za Jayem-Z, stąd decyzja o zmianie otoczenia.



DMX jest niepoprawny, jeśli chodzi o zachowanie za kółkiem. W czerwcu 2004 (o czym pisałem już w „Newsach") urządził sobie pościg na parkingu przy lotnisku JFK, w grudniu zatrzymano go za przekroczenie prędkości, a teraz spowodował wypadek na autostradzie w Bronksie. Pech chciał, że prowadził mając zawieszone za wcześniejsze wybryki prawo jazdy, a jednym z samochodów biorących udział w stłuczce był policyjny radiowóz. Słaba wpadka? :)



Ice Cube zamierza przypomnieć się jako raper. Już na początku lata możemy spodziewać się singla promującego cały album, który ukazać się ma kilka miesięcy później. Tymczasem Ice Cube podbija równolegle świat filmu. Jego poprzedni film „Are We There Yet?" nie był może tak wielkim kasowym sukcesem jak serie „Barbershop" i „Piątek", ale swoje zarobił, a już „XXX: Następny Poziom" pewnie przysporzy twórcom niezłych zysków – bo przecież w sumie o co innego tu chodzi, jak nie o hajsiwo...



Latynoski raper ***Pitbull*** (nie mylić z polskim filmem o podobnym tytule!) współpracuje jako dziennikarz z hiszpańskojęzycznym działem strony NBA. com. Zaczął od pojedynczych tekstów, a ostatnio przyznano mu także własną rubrykę, w której ma regularnie opisywać sytuację w drużynie Miami Heat. Jeśli ktoś zatem kuma hiszpański i lubi kosza, to niech atakuje :) Aha, zapomniałem dodać, że jeszcze pod koniec maja ukaże się drugi krążek Pitbulla, „Welcome To The 305". Pierwszy jego album „M.I.A.M.I.: Money Is A Major Issue" osiągnął status złotej płyty, mimo iż wydany był w niezależnej wytwórni TVT.


stoprocent
100





FLEAPIT
MUSIC FROM THE DITCH
SFDB

Tak to już mamy w naszym kraju, że rzeczy dobre, ale nie promowane za mocno (albo wcale...) w telewizjach muzycznych, w oficjalnej dystrybucji dostępne są u nas kilka lat po premierze... Tak właśnie jest z tym albumem niezwykłej brytyjskiej formacji hip-hopowej Fleapit, wydanym w roku 2002. 12 kapitalnych tracków, momentami udziwnionych bardzo w sferze muzycznej, momentami bardzo prostych, ale brzmiących znakomicie i świetnym rapem celnie uderzających w ucho. Jedna z ciekawszych płyt made in England ostatnich lat. Polecamy.



NITTY
PLAYER'S PARADISE
UNIVERSAL

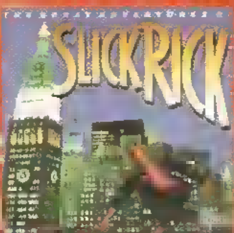
Jaki player, taki paradise, chciałoby się napisać. A że player leszczowaty, to... Zresztą, co tu się pastwić? Koleś znany z koszmarnego hitu „Nasty Girl" ciągnie przez całą płytę w tym właśnie klimacie. Castingowe hity w stylu „pierdolniem-covera-z-tego-co-teraz-najmodniejsze" powodują odruch wymiotny. Bleeee...



OLSENFU
KAMELEON
POMATON / BAZA LEBEL

„Kameleon to płyta, która przejawia wszelkie różnice w muzyce hiphop." – to słowa, które zamieścił Fu we wkładce do tego albumu. Wszelkie różnice? Zdecydowanie nie – ale to raczej dobrze. Fusznik to wszak reprezentant stylistyki wybitnie hardkorowej, podobne są również korzenie Olsena, więc trudno tu mówić o jakimś przesadnym eklektyzmie pod względem stylów. Choć przyznać trzeba, że jest z tym nieźle. Już od pewnego czasu da się zauważyć zajawkę Fu na rap francuski, stąd często pojawia się tu tego typu stylistyka (podśpiewywanie Fusznika to jednak niezbyt dobry pomysł, lecz on się przy tym upiera, np. w „Zapraszam Cię do mego świata"), jest oldschool, jest ulica, jest też co nieco sentymentalizmu (w dobrym tego słowa znaczeniu, patrz „Pamiętam mama"). Emceeing? Fu to tradycyjnie żywioł nie do powstrzymania, łamiący wszelkie konwenanse poprawnego rymowania, za co właśnie kochają go jego fani – wiadomo, czego się spodziewać, choć pod względem tekstowym coś drgnęło i dobrze. Olsen zaś to emce po prostu poprawny. Poszukuje swojego stylu, ale nigdy nie będzie tak rozpoznawalny, jak jego partner z „Kameleona". Dużo dobrego wnoszą na płytę goście, przełamując wkradającą się niekiedy monotonię Na mnie największe wrażenie wywarli Vienio i Sokół oraz występujący w kawałku „Perspektywy" (super dynamit w stylu ragga) Mehdi i Pablo Pavo, a i inni zrobili swoje. Odrębną sprawą są bity. Tu wielki ukłon w stronę niedoświadczonych producentów (WRB i Matta), którzy wykonali w większości bardzo dobrą robotę, a również podkłady autorstwa Pioora czy Dejota robią niezłe jajo. Śmiem twierdzić, że to właśnie bity stanowią o sile „Kameleona". Album robiłby znacznie lepsze wrażenie, gdyby był krótszy (trwa 75 minut i kilka kawałków można z czystym sumieniem „skipować"), co spotęgowałoby zgromadzony w nim potencjał. Polecam, ale na własne ryzyko. grb

RED ALBUM Chapter 1



SLICK RICK
THE GREAT ADVENTURES OF SLICK RICK
DEF JAM/RUSH/COLUMBIA 1988

(A word from our sponsor: what's really good? Chciałbym Wam w każdym numerze Ślizgu zaprezentować klasyczną rapową płytę i trochę o niej poopowiadać z mojej perspektywy. Będą to płyty ze Złotej Ery Rapu, więc dla nielicznych fanów dobrego gówna. Zapraszam Was do lektury i cieszę się, że nie liczy się dla Was tylko 50 Cent lub adlib, ale także pionierzy, którzy często w naszych czasach zostają pomijani lub zapomnieni... Jedziemy!)

„La-di-da-di, we like to party / We don't cause trouble, we don't bother nobody" – każdy oldschoolowiec kojarzy te magiczne słowa lub nawet zna cały kawałek Slick Ricka i Doug. E. Fresha pod tytułem „LA-DI-DA-DI", który niestety nie znajduje się na pierwszej płycie Slick Ricka. Dla wszystkich crates diggerów – powstało już tyle kopii tego numeru, że łatwo ten vinyl złapać i polecam każdemu raperowi, aby ten kawałek miał w domu – bo jest to według mnie najbardziej samplowany kawałek w rapie. Wracając do Ricka (ach, chciałem powiedzieć, że jest to mój ulubiony raper i że ten krążek jest też moim faworytem), to koleś nie jest Amerykańcem, tylko urodził się w Wimbledonie, tuż obok Londynu. I cieszy mnie to, że jeden z najlepszych raperów jest Angolem i jeszcze do tego do dziś ma angielski akcent.

Wracając do płyty, to muzycznie połowę wyprodukował sam Slick Rick, a drugą połową produkcji zajęli się: śp. Jam Master Jay i The Bomb Squad, czyli Hank Shocklee i Eric Sadler (znani z produkcji na czterech pierwszych płytach Public Enemy). Nie jest to recenzja, więc nie będę Wam tu po numerze jechać, ale cała płyta muzycznie została zrobiona na pewnym syntezatorze, który w 88 roku już miał sampler, na którym mogłeś samplować typu 2 razy 3 sekundy.

Storytelling, tak? Słowo często używane u nas w Polsce – więc sprawdźcie tę płytę, bo właśnie przez ten krążek ta dziedzina w hip-hopie znalazła swoje miejsce i do dziś dla raperów z drugiej strony Atlantyku Slick Rick jest w tym absolutnym szefem. Przykłady: „Children's Story" (świetny klip!!!), „Indian Girl", „Treat Her Like A Prostitute".

Czuję się zobowiązany Wam napisać, dlaczego jest to mój klasyk, dlaczego Slick jest dla mnie najlepszym emcee. No tak, więc ten głos, wysoki, z manierami a la Austin Powers, ten flow który przechodzi z rapu do ragga bez męczenia się i w szczególności add libsy (od udawania różnych rzeczy, o których w danym czasie Slick rapuje: przez głosy kobiet do „śpiewania"). Myślę, że taki mistrz add libsów, jakim jest w dzisiejszych czasach Eminem, dużo się wzorował na Ricku.

Jarasz się lub jarałeś strasznie kawałkiem Nasa „I Can" z płyty „God's Son"? To tu masz ewidentnie kawałek, którym sam Nasir się inspirował – „Hey Young World". Jesteś erotomanem, tak jak ja, i lubisz słuchać kawałków o seksie? Tu masz ich sporo i w najlepszym wydaniu: „Indian girl", „Lick The Balls", „Mona Lisa"...

Slick Rick, tak jak Jay-Z lub Nas, maluje obrazki, kiedy rapuje – zamykasz oczy, słuchasz go i już masz przed sobą to, o czym on Ci rapuje. Według mnie, nie ma dużo takich raperów. Mam nadzieję, że dzięki temu tekstowi sprawdzicie tę płytę lub skumacie, dlaczego jest to dla mnie mój all time favorite... (Sorry za mój polski!)

RED

Next Chapter (już za miesiąc): Ultramagnetic MC's Critical Beatdown

NEWS

A skoro już jesteśmy w gorącym klimacie Miami, to warto wspomnieć, że ***Dwyane Wade***, młoda gwiazda zespołu Heat, będzie jednym z głównych punktów jesiennej kampanii reklamowej ciuchów firmy Sean John należącej do P. Diddy'ego. Ale to później, gdyż póki co musi poprowadzić Heat wraz z Shaq'iem po mistrzostwo NBA.

NEWS

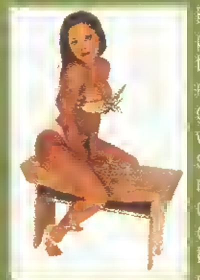
W dniach 18 czerwca – 3 lipca w Gdyni odbędzie się szereg imprez w ramach ***BRUK Summer Street Festival***. Wszystkie elementy kultury hip-hop plus film, teatr, koncerty. Festiwalowi towarzyszyć będą warsztaty taneczne i didżejskie, a poszczególne imprezy będą się odbywać na Skwerze Kościuszki, w Teatrze Muzycznym, na Plaży Miejskiej, w gdyńskim Silver Screenie, a także na ulicy Świętojańskiej. Oferta naprawdę bogata, szczegółowych informacji szukajcie w necie i prasie codziennej.

NEWS

Wiadomość z kręgu wybitnie humorystycznych. Nową płytę pod tytułem „Pan Fikoł" nagrał ***Funky Filon***! Co lepsze, jest już do niej teledysk z kawałkiem „Mała Chinka", na którym rapera wspiera nie kto inny, jak Kaja Paschalska. Co tu dużo gadać, kawał [illegible] hip-hopu i tyle:) Teraz czekamy na nowe produkcje Norbiego i powrót Kasy do swoich hip-hopowych korzeni. Jol, ziomy!



„Ryde or Die Vol. 4: The Redemption" to tytuł czwartej składanki z udziałem artystów związanych z ***Ruff Ryders***. Ukaże się ona pod koniec lipca, a oprócz ekipy Double R (Jadakissa – na zdjęciu, Stylesa P, Sheeka czy Jina) pojawią się na niej również Nore, Cassidy i Akon oraz kilku podobno ciekawych debiutantów. Dwóch z nich, Kartoona i Flashy'ego, można usłyszeć u boku Kissa na singlu „Get Wild" promującym płytę. Kawałek ten wyprodukował Scott Storch, który ostatnimi czasy robi niesamowitą karierę. Album wyda label Artemis Records.



Również w lipcu ma ukazać się płyta ***Foxy Brown*** zatytułowana „Black Roses", ale wspominam o tym w kontekście innego, bardziej aktualnego, wydarzenia. Otóż Ill Na Na wdała się ostatnio w spór z mało znaną raperką z Miami, Jacki-O. Ponoć doszło między nimi do konfrontacji w studiu, podczas której Brown została znokautowana przez rywalkę. Foxy zaprzecza, że oberwała od Jackie-O (wszak równocześnie byłby to cios w jej reputację), twierdząc, że cała sprawa wzięła się z zazdrości raperki z południa, której sławna Brown wielokrotnie odmawiała gościnnych występów. Póki co Jacki-O nagrała dissa na Foxy, zatem czekamy na odpowiedź!



Towarzysz Rerak zajmujący się w naszej redakcji punkiem hardcore'em poprosił mnie o udzielenie życzliwych łamów tej rubryki na przekazanie wiadomości o pewnym wydarzeniu. Spoko. Jeśli okaże się, że jakiś punk czyta „Newsy" to będę zaskoczony tym faktem niezmiernie:) Mianowicie, w ramach wiosenno-letniej trasy zawita do Polski zabójczy hardcore'owy zestaw – ***Madball*** i H2O. Madball grał już w naszym kraju rok temu, a teraz wystąpi we Wrocławiu 13 czerwca, w przededniu wydania nowej płyty „Legacy" [illegible] pa z kręgu melodyjnego zadziornego hardcore/punka, a jako polskie supporty wystąpią 7 Day Lie i Second Chance, dla którego będzie to pożegnalny występ.

Grabiszczy

bezele

golenie jeża, kochanie?

„Pierdolnęło mnie to, jak setka dykty pod anchois"
Lenin (po tym, jak dowiedział się, że ma syfilis)

„Myślę, więc jestem, ale zupełnie nie wiem, co o tym myśleć. A przy okazji - gdzie jest moja podomka?"
Iwan Któryś Tam, ale Groźny (po obcięciu bród bojarom, czego nie dokonał osobiście, ale co tam, ważne, że kazał)

„Na kiego ch.. a mi ten kwadrat?"
Einstein (opracowując wzorki)

„Zasadniczo, to nie wiadomo, o co chodzi..."
Konfucjusz (po obejrzeniu programu Bezele)

(powyższe cytaty pochodzą z „Księgi Nieautoryzowanych Myśli Wielkich Albo W Każdym Razie Znanych Ludzi Na Nowe Millenium", wyd. ArseFace Goods LTD, 1999, poza ostatnim - zasłyszanym - i nie mają żadnego związku z historią obok, poza ostatnim - po prostu bylo tu wolne miejsce)

tekst Zenon Kot-Starwowicz
foto marszull. com

Każdy ma taką popkulturę, na jaką zasłużył. Nam nie jest lekko, ale to nie jest żadne tłumaczenie. Po prostu. Polską młodzież bawią Bezele. Czy bawią?

Jednego Kolczowi i Tedemu odmówić nie można – lekkości i dźwięku, pardon, wdzięku. Czyli nie jednego, a dwóch. Lekkość, z jaką Kołcz rozpierdala w asyście Tedzika stół, wdzięk, z jakim robią różne inne nie do końca mądre rzeczy, nie może pozostać zapomniany. I choćby ktoś na siłę się krzywił i przybierał poważne miny oraz pozy, w końcu się roześmieje. Smutni w brunatnych t-shirtach będą jęczeć, że to humor nie najwyższego lotu, ale przecież właśnie taki ma być.

I prawdopodobnie o tym powinni opowiedzieć Kołcz i Tede w wywiadzie. Powinniśmy siąść na skórzanych kanapach w wytwórni Wielkie Joł i w wielogodzinnej dyskusji dochodzić, czy program Bezele jest śmieszny i ma sens, czy też wcale nie jest śmieszny i nie ma sensu, bądź też jest nieśmieszny i ma sens, albo śmieszny i bez sensu. Tylko po kiego wała tak się męczyć, marnować baterie, cenny czas, taśmę magnetofonową, a potem siedzieć przy komputerze, spisywać, redagować i czekać na autoryzację? Wspólnie wpadliśmy na lepszy pomysł – golenie jeży.

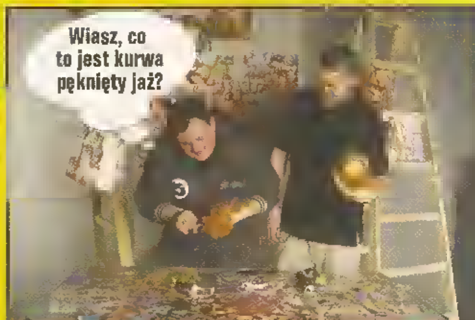
Od kiedy w masowej świadomości polskiej młodzieży słuchającej rapu pojawił się „pęknięty jeż", w tej właśnie świadomości wrze. Skonektowany z Bezelami DJ Buhh to wredny skurwiel, który wraz z kolegami atakuje internetowe pasma nielegalnymi produkcjami, przyjemność czerpiąc z gorszenia porządnych dziewczyn i wywoływania rechotu u podatnych na taką treść ziomali. DJ Buhh jest najgorszy, a pęknięty jeż musi być ogolony – co do tego nie ma chyba wątpliwości. W naszym fotokomiksie zobaczycie, jak goli się jeże. Fachowym komentarzem całość opatrzyli oczywiście autorzy masakry... to jest... czynności kosmetycznej. Sugerowane jest ściągnięcie z netu kawałka „Pęknięty Jeż" i puszczanie go sobie podczas oglądania historii. Jak komuś uda się dopasować teksty z dymków pod beat, będzie miał teledysk...



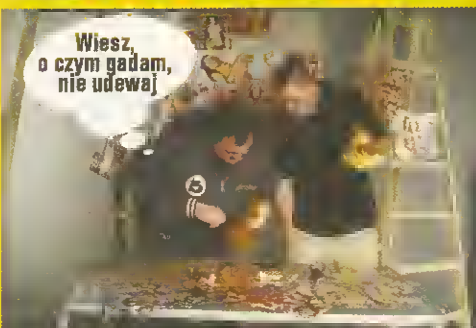
Podziękowania za pomoc w realizacji sesji dla www.akademiafotografii.pl

bezele

























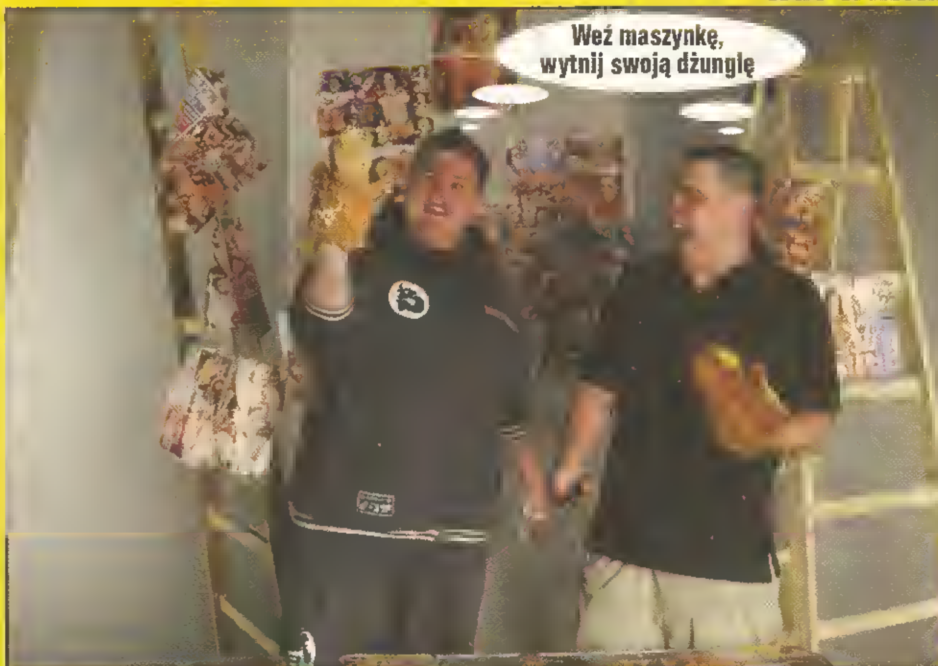




To niedobrze wiesz, kiedy jest pęknięty jeż...



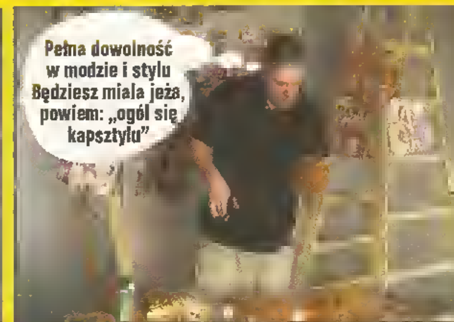

...Philishave'em, ej bejbe


Weź maszynkę, wytnij swoją dżunglę


Ładna bielizna, fajne ciuszki




Wszystko super, ale jeża utnij


Pełna dowolność w modzie i stylu
Będziesz miala jeża, powiem: „ogól się kapsztylu"


Jeże nie są tutaj pod ochroną


Niach nic nia wystaje spod majtaczek


Taa! Źle wygląda rosa na włosach

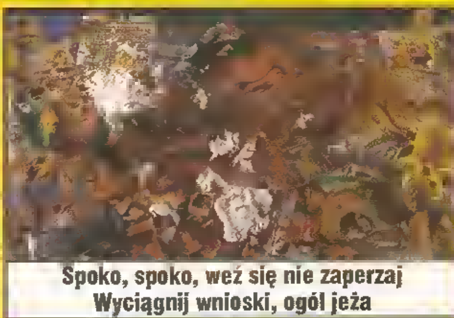

Weź się ogól, proszę, weź się ogól


To dla nas wszystkie te zabiegi


Gillette? Najlepsze dla mężczyzny
I nie tylko


Poznaj się z maszynką


To tobie powie każdy Bezel, Zrób coś z pękniętym jeżem


Spoko, spoko, weź się nie zaperzaj
Wyciągnij wnioski, ogól jeża

dzień dziecka

liga niezwykłych ojców

Szczęście i panika. Dotychczasowa wizja świata się wali, a w jej miejscu buduje coś nowego, o czym nie masz jednak pojęcia. „Czuję nowy sens, który w pojawił się moim życiu i przewartościowuje wszystko!" – mówi Marek „Pro" Gluziński, szef Blend Records. „To ciężko opisać, na pewno dużo myśli przebiegło szybko przez głowę, w jednej chwili zrozumiałem, że wszystko się zmieni - jak na razie na lepsze. To był dla mnie niesamowity impuls do pracy, czasami mam tyle energii, że pracuję po 15 godzin" - zdradza Waco. Właśnie to dzieje się w głowie mężczyzn, gdy dowiadują się, że staną się ojcami. Specjalnie z okazji dnia dziecka zapraszamy do spojrzenia na ojców z rap-branży i małych ludzi, nad którymi sprawują pieczę

tekst Flint (CS)
foto Cess (CS)

Szczęście

Poczekalni się nie zapomina. Próby odcyfrowania emocji z twarzy lekarzy, dla których nie jest to TWOJE dziecko, a tylko kolejne dziecko. Korytarze przesuwające się przed oczami jak senne kadry. Każdy krzyk z porodówki jest jak strzał. Kiedy po kilku dniach zabierasz maleństwo do domu, kończy się niepokój, ale zaczyna ciąg totalnych niespodzianek.

„Na początku był wielki szok! Jako dobry tata kupiłem sporo gadżetów, o których istnieniu nie miałem pojęcia" – śmieje się Żurom. „Gdy przywiozłem moje dziewczyny ze szpitala, byłem szczęśliwy, że wszystko potoczyło się bez żadnych komplikacji, dziecko jest zdrowe. Jako świeżo upieczeni rodzice musieliśmy nauczyć się wyrozumiałości, czujności i cierpliwości, bo dzieckiem trzeba zajmować się cały czas. Pierwsze dni mojej córeczki wspominam bardzo miło. Największą frajdą było dla mnie to, że jest taka maleńka - obchodziliśmy się z nią jak z kryształem. Na początku Julia, jak każde niemowlę, prawie cały czas spała. Później pojawił się pierwszy uśmiech. Teraz malutka zaczyna raczkować i gaworzyć i z niecierpliwością czekamy na pierwsze kroki i pierwsze słowa. Każdy etap w życiu dziecka przynosi bardzo dużo radości. Julia zaczęła siódmy miesiąc życia i jest naszym oczkiem w głowie". Jego córeczka niedługo skończy siedem miesięcy. Podobno kocha kąpiel w jacuzzi. Amelia, pociecha Włodiego, ma z kolei rok i pięć miesięcy. „Moim zdaniem jest to największy egzamin męskości w życiu" – mówi dumny ojciec. „Nie skakanie na spadochronie czy wyzwanie polegające na ryzykowaniu życia, a zapewnienie człowiekowi, którego się spłodziło, który jest twoim potomkiem, wszystkiego na poziomie psychicznym i materialnym. Warto być ojcem, bo jeżeli udaje się zapewnić przynajmniej część tego, jeśli osoba w pewnym stopniu od ciebie uzależniona czuje twoją miłość i twoją opiekę, to daje to wielką satysfakcję". Pamiętam, kiedy spotkaliśmy się kiedyś przy okazji materiału pod służewieckim kinem Kadr. Pochwaliłem się, że będę ojcem. Włodek ostrzegał, że będzie trudno, ale zarazem powiedział, że nic nie jest w stanie dorównać widokowi małych rączek kierujących się w twoją stronę. „Samo posiadanie – oczywiście nie w sensie materialnym, ale obserwacja jego rozwoju i postępu, jaki robi każdego dnia - jest najpiękniejsze. I uczucie, które za tym idzie, czyli wielka, narastająca miłość. Jestem młodym ojcem, wszystkie momenty są równie wspaniałe. Jak płacze, jak się cieszy. Choć wiadomo, że lepiej, jak się cieszy. Kiedy chwyta mnie za brodę, za ucho, za nos, miny, jakie robi. Ze swoim dzieckiem piękna jest każda chwila, ciężko coś wyszczególnić" - mówi Bilon z Hemp Gru o swojej dziewięciomiesięcznej Kasi Marysi, twierdząc przy okazji, że jedno dziecko to zdecydowanie za mało. „Jak najwięcej! Przynajmniej jeszcze jedno!". Rzecz jasna, jeśli tylko będą ku temu warunki.

Problemy

Momentów szczęścia jest wiele. Fakt, USG może nie wzruszać, bo widok jest mocno niewyraźny i na upartego może przypominać wszystko. Fakt, poród jest dużym stresem, koszmarnym zmęczeniem, olbrzymim bólem dla osoby, którą kochasz, bólem dla ciebie, kiedy widzisz ją bladą, spoconą, przerażoną i nie mogącą przez ileś godzin wypić choćby łyczka wody. Ale uśmiech własnego dzieciaka to rekompensuje, jest czymś, co poruszyłoby i kamień. Niestety, dziecko nie uśmiecha się cały czas. Bywa, że płacze, a ty nie wiesz dlaczego i czujesz się bezsilny, absolutnie bezsilny. Przytulasz je, nosisz na rękach, a to nie pomaga. Pytam Daba, co dla niego jest najtrudniejsze w ojcostwie. „Przyznam szczerze, nie wiem! Wydaje mi się, że sprostanie codziennym, najzwyklejszym obowiązkom. Dostosowanie się do potrzeb dziecka, bycie na każde jego zawołanie, zmienianie pieluch, robienie jedzenia. To zajmuje sporo czasu. Na razie Marta ma dziesięć miesięcy, więc nie wiem, co jest później. Zmieniło się na dobrą sprawę wszystko, to zmienia zupełnie spojrzenie na świat, zmienia życie w całości. Trudno mi sobie wyobrazić, jak mogło jej nie być". Co do zmian, Włodek potwierdza: „Zmieniło się dużo. Mam bardzo mało czasu dla siebie. Czas, który poświęcałem niemal w stu procentach na to, co lubię, muszę teraz dzielić na pół". Usiłuję skontaktować się z IGS-em, który przy ostatniej wizycie w Katowicach mówił ciekawą rzecz o tym, że córa wpłynęła na muzykę, jaką robi. Papa dziesięciomiesięcznej Igi odpisuje jednak jednym zdaniem, zwracając uwagę... oczywiście na czas, a raczej jego brak i pusty portfel. Potem kontakt się urywa. Tymczasem Włodi mówi mi raczej o ciężarze odpowiedzialności „Czuję na sobie większą odpowiedzialność i presję. Jeżeli człowiek jest sam, łatwiej przyjąć na siebie konsekwencję własnych złych czynów, a kiedy te konsekwencje rozkładają się na inne osoby, jest dużo trudniej".

Czyżby obowiązki ograniczały przyjemności zupełnie? Pytałem do tej pory dość ojców, sprawdźmy, co do powiedzenia ma weteran w tej kwestii, Wojtas: „Rodziły się dzieci, pojawiły się nowe obowiązki, którym musimy sprostać. Jesteśmy ojcami dzieci i trzeba o nie dbać. Ale zawsze można znaleźć czas na pisanie tekstów, wyjście na imprezę mając dziecko. Trzeba się tylko w domu dogadać, co i jak". DJ Romek, mający pięciomiesięczną Zuzę, konkretyzuje kwestię: „Trzeba mieć wyrozumiałą żonę, cierpliwą żonę, która w momentach, kiedy nie ma mnie kilka dni, może przejąć opiekę nad maleństwem. Pomagają nam też dziadkowie, i to z przyjemnością. Wiadomo, jednej osobie jest przez trzy, cztery dni bardzo ciężko, bo to strasznie absorbuje, ja trafiłem na szczęście na żonę, która doskonale sobie radzi". Sam ma swój patent na uspokojenie ryczącego w niebogłosy liliputa:"Głośna muzyka. Nie chcę, żeby zabrzmiało to, jakbym był sadystą, który chce tylko zagłuszyć płacz dziecka, ale moja córa reaguje na muzykę bardzo „śpiąco". Kiedy nagrywam skrecze na jakiś projekt i zdarza mi się być z nią samemu w domu, to ostre, cięte, głośne na maxa dźwięki ją usypiają."



Przyszłość

Dzieci rosną i jakiej by ilości miłości i ciepła nie dostały, w jak dobrych warunkach nie wyrastały, nigdy nic nie wiadomo. Dziecko może być zagrożeniem, rymuje o tym na płycie „Kameleon" kolejny z młodych ojców (córeczka; zauważyliście, w jak wielkim stopniu przeważają nam wśród potomstwa rap branży dziewczynki?), Olsen. „Będziemy się starać wychować ją na przyzwoitą dziewczynę, wpoić jak najwięcej wartościowych rzeczy. Dużo rozmawiać o tematach „tabu", „Dać jej dobry start w życiu, taki którego my nie mieliśmy" - zapewnia Żurom. „Czego się obawiam? Najbardziej tego, by nie wpadła w złe towarzystwo, narkotyki, alkohol. Młodzi ludzie są podatni na to! Wiem, co mówię. Nie będziemy Julii chować pod kloszem, ale też pozwalać na zbyt wiele. Myślę, że sobie nasze maleństwo poradzi i zbuduje swoją rodzinę od podstaw i będziemy szczęśliwymi rodzicami i dziadkami... Obawiam się też o zdrowie, bo to najważniejsze! Wszelkie choróbska precz od mojej Julii!". Dla Borixona największym problemem jest „rozstanie się, kiedy będzie chciała mieć swoje życie. Nie wyobrażam sobie tego, że za ileś lat będzie chciała założyć swoją rodzinę. Chciałbym, żeby trafiła na dobrą partię, niekoniecznie doktora czy coś, ale kogoś, kto dałby jej dużo szczęścia". Kielecki raper niesie też pocieszenie zmęczonym młodym ojcom. Będzie łatwiej i to o „milion procent"! – „Na początku dzieckiem trzeba zajmować się bardzo, non stop na nie uważać. Uczy się chodzić, uczy się mówić, uczy się różnych rzeczy. A teraz Oliwka chodzi do przedszkola, ma znajome dzieci, razem się bawią, umawiają ze sobą. Nie mam z nią kłopotów takich jak kiedyś, kiedy musieliśmy się za nią odwracać w każdej sekundzie. Kiedy dziecko było malutkie, było przywiązanie, ale nie takie mocne, jak jest teraz. To narastało z czasem. Oliwka ma teraz siedem lat i jesteśmy do siebie bardzo przywiązani. Wszystko narastało z czasem. Teraz jest zajebiście. Mogę jej wszystko przekazać, opowiedzieć, co i jak wygląda. Roznosi ją energia, wszędzie chce wejść, wszystko chce poznać, chce wiedzieć, o czym rozmawiam z chłopakami, dopytuje się". I pomaga!

Mała dama zrobiła ojcu wstęp do najcieplejszego, poruszającego numeru na jego ostatnim albumie. Aktywność na tym polu wykazuje też Kuba, również siedmioletni syn Wojtasa. „Chłopak słucha rapu. Niestety, jeżeli ja go słucham, jest zmuszony, by słuchać go również, chyba że pójdzie przed dom. Ostatnio miałem podłączone gramofony, także miał okazję się trochę pobawić, dostałem mixer Stantona, który mu przekazałem, Sebastian (Feel-X - przyp red.) mówił, że jakiegoś Technicsa podklepie. Będzie miał zabawę, mam trochę płyt, więc będzie mógł skreczować. Czasem przyjdzie, poleci freestyle'owo, widzę, że ma pozytywną jazdę. Podoba mu się to".

Kto wie, może rośnie nam nowe pokolenie artystów? Oby rosło zdrowo, pogodnie i zmyło trochę brudu z rap-gry. Już teraz ma dar zmieniania pozornie nieprzystępnych w najsympatyczniejszych i najbardziej wrażliwych ludzi na świecie. To wściekle dużo.

nielegalna

akcja slg



W tym miesięcu na największą pochwałę zasługują rAs z Najsbitem i Pierwsza Flotylla. Ale jak już zauważyliście, polecamy Wam tylko to, co godne uwagi z tego czy innego powodu. Tym razem mamy Pomorze, mamy damę ze Śląska, młodych graczy z Wielkopolski, jest reprezentowana nawet południowo-wschodnia część Polski. Geograficzna sprawiedliwość. Nie przypadek, który wyniknął z fajnej muzyki

tekst Flintstone (CS)



Co powiedzieć o ***„rAsgrzewce" rAs'a i Najsbita***? Perkusja niesie tu dobrze dobrany i pocięty sampel. Przyzwoite podkłady Najsbita trafiają na bardzo przyzwoitego mc. U rAs'a inspiracja warszawską szkołą technicznej artykulacji jest słyszalna, ale nie wykracza poza granicę przyzwoitości. Warsztat jest nienaganny, a wyświechtane już patenty przyprawione czymś własnym i mądrym, więc przerost formy nad treścią nie razi. Czuć pewność siebie, ot taki głód nowego kota, troszkę grubiaństwa wystrzelonego zresztą z grubej rury. I wiecie co? Bardzo dobrze. Są bowiem momenty kiedy rAs jest doskonały. Np. kiedy jedzie z rap sławami jak z kurwami (z kurwami, tymi małoletnimi, też jedzie jak trzeba, w bonusie na hitowym beacie ZNA) w „Na fali 2". Popatrzcie: „(...) Ten tekst mógłby być freestylem / wiem, że jest / ambitny jak Lerek w refrenie / Oooooo, wieś tą poczuj / wiem mała, czujesz wilgoć w kroczu".O dziwo wrażliwsza strona rapera może też robić wrażenie. „Poeci" zupełnie nieoczekiwanie są kooperacją genialną. Plastyczny, swobodny, atakujący beat gospodarz, lodowaty, wczuty Gres i histeryczny, bardzo nietypowo, ale umiejętnie płynący Kopruch, pokazują, co znaczy kolaż różnych, indywidualnych styli, przy okazji naprawdę tworząc dobrą poezję. Jeśli nie macie ochoty na całość, to wejdźcie na 311pro.com (ten label zaczyna mieć renomę) albo rasgrzewka.tk i ściągnijcie chociaż te dwa tracki. To niezbędnik.



Trójmiejska ***Pierwsza Flotylla*** daje radę. Flow Dude'a i Emote nie zostaje niby długo w pamięci, a panowie nie mają szczególnie innowacyjnych tekstów. Z drugiej strony, płyną przyzwoicie, nie mają problemu z rytmiką i akcentowaniem, treść skoncentrowana jest na walce o czystość rapu, tworzeniu go na nielegalu i problemów z tym związanych („To ma być ok? Gdy czuje się jak Popiel? / Nie zjadany przez myszy, ale zjadany wzrokiem"), spajaniu elementów kultury hh (mamy nawet numer o graffiti). Bogato (7 osób!) prezentowany jest dj'ing – dobre cuty, specjalne skity przeznaczone dla drapaczy. W wersach nie ma pomyłek, śmiesznostek – jest konkretnie, logicznie, inteligentnie. W utworach bardziej zaangażowanych (są w mniejszości, ale jednak są) jak „Świata krach" kłuje nieco patos szkolnego wypracowania, ale to drobny grzeszek. Jest tu wszystko, czego truskulowy odbiorca może oczekiwać. Łącznie ze sporą ilością potężnych beatów – perkusja i bas wchodzący w pierwszym tracku przygniata do ziemi i brawa za to dla Ramzesa. Choć może z tymi brawami się pospieszyłem, bo „To lubię w klubie" jest paskudnie zafałszowane, przez niezestrojony z resztą sampel. Stone produkuje nieźle, zastanawiam się tylko, czemu tak dobry beat jak „Zoom" przechodzi nagle w drum'n'bass z przyśpiewką rodem z kółka różańcowego i tekstem na poziomie ballad o bursztynku na plaży. Ike, obok Jotera największa producencka chluba Torunia, również daje radę. „Bombing" jest bliski dysonansu, ale jednak udany dzięki swojej rapłowności i dawce niepokoju. „Droga" pokazuje, że wciąż można zrobić coś świeżego i bujającego na samplu wokalnym. „Manifest" Puzzla ma sympatyczny beat, tylko te polskie próby rapsów z ragga to przypominają nierytmiczne atakowanie betonowych ścian wiertarką udarową. ***„Esencja w czystym hip-hopie"*** jest tu trafna, oddająca album nazwa. Warto sprawdzić. Zamawiajcie pod ramzesso@o2.pl, możecie też wpaść na pierwsza-flotylla.prv.pl.

Pisanie o ***„Chcę to mieć" 834*** poprę wstępem. Pojawił się kiedyś niejaki Masto, którego epka „Listopad" wywołała trochę zamieszania. Typ intonował jak Eldoka, tak samo rozkładał akcenty, tak samo specyficznie przeciągał sylaby, nieustannie kończył wersy wizytówką Leszka – niedokładnymi rymami. Masto przejął jego gust, kradł jego emocje i przetwarzał na teksty operujące nawet podobnym zakresem słownictwa. O nim nie pisałem, bo uznałem to za przypadek nieuleczalny i bardziej właściwy dla psychiatry. Płyta „Chcę to mieć" zaczyna się numerem, gdzie wersy kopii Małolata przeplatane są śpiewem kopii Gulka. Ale tym razem napiszę, bo 834 wygrało w konkursie radia WuDoo, gdzie w jury siedzieli Łona, Webber, DJ Twister, DJ Story, Magiera, L.A. i Aha, a to ludzie godni szacunku. Bo widać u elblążan minimalną szansę na otrząśnięcie się. Niby bajka jest podobna – Ajron mógłby wziąć VNM i Boxiego i ruszyć w trasę promocyjną płyty, na pewno elbląscy nawijacze znają na pamięć teksty jego mc, któremu ukradli akcent i intonację, podział słów w wersie, układ rymów, a nawet sposób przecinania linijek bluzgami. A jednak taki „Chronolog" jest osobisty i własny. „Dupy z tv" 834 bawią średnio w porównaniu z „Takiee panie..." 247, ale były wcześniej i załóżmy, że są niezłym, pomysłowym trackiem. Punchline „Mój rap pozytywny ma wskaźnik / wbija infantylnych raperów na Sztywny Pal Azji" też wskazuje na to, że da radę wymyślić coś bez kalki Warszawy. Zatem nie denerwować się, schowajcie płytę Małolata (Pezeta, Eisa i Flexxipów niestety również), zróbcie coś ze słabym brzmieniem i przytłumionymi, anemicznymi perkusjami (bo sample cięte są fajnie) i nagrajcie to, na co Was z taką ambicją i techniką stać . A wy czytelnicy – ściągnijcie z 834.prv.pl i sami oceńcie.

Eskaubei nie chce być Małolatem czy Eldoką. Chce być Michaelem Jordanem rapu. Spoko – różne gościnne występy, rzucane czasem w sieć numery predystynują go do wysokiego numeru w drafcie. Tylko szkoda, że kiedy już koncentruje spojrzenia i chce grać na poważnie, w reżenie przyznaje, że sporo mu brakuje. Szkoda, że perkusje, które mają narzucić mu rytm, giną gdzieś w beatach, a wokal przygotowany jest cokolwiek niechlujnie i dopiero w remiksie Matiego (polecam) jest zupełnie czytelny. Szkoda, bo niektóre wersy to prawdziwe slamy. Przykład? „Chcę być Muhammedem Ali rapu / kiedy słuchasz, jak ja jadę, pod stopami grunt się pali u waćków". Chcecie usłyszeć sami? Piszcie: eskaubei@o2.pl, wchodźcie na artderue.pl.



Czemu wypada sięgnąć po ***„Silny materiał" Niczego Sobie***? Bo Jędras (beaty), Maki i Froncal (rap) i DJ Simo dają rzadki przykład wielkopolskiego nielegala, gdzie nie ma charczenia, kozaczenia i agresji, a jest dobre brzmienie, troska o formę, ciekawi goście (m.in. Ramona 23, Kada, Osa, Hory – czyli godna reprezentacja regionu). Bije z tego zaraźliwa pasja, pozytywna energia, jak z (dobrze przyjętej) płyty pabianickiego Klimatu. Bity bujają, a te do „Halohalo" czy „Szurikena" nawet bardzo bujają. Bije ucho niejeden bitewny wers (np. „Serce ci klęka jak twoja panienka", proste a cieszy). Można ściągnąć z poznan.hip-hop.pl

Mewa to niegdyś Mea, członkini PFK Kompany. Tytuł płyty to ***„Mum said ready"***, ale tak naprawdę jedna z piosenek pokazuje, że należy to rozumieć jako dowcipną transkrypcję prostego twierdzenia „Mam se dready". Niestety z pójściem w jamajską stronę odeszła duża część niesamowitych pomysłów i kombinowania na oryginalny sposób, z czego Mea słynęła. Taka stylistyka wymaga też lekkości, a flow autorki bywa ciężki jak ołów. Pomimo to epki da się posłuchać, a numer z członkiem gliwickiej Eskapady, Skorupem, stanowi obowiązkowy, innowacyjny dialog osobowości.



eXo po pierwszym kawałku zdawał się mieszanką Procenta i Łony, całkiem błyskotliwą narrację łączył z charakterystycznym głosem. Nie da się jednak zaszufladkować, bo każdy kawałek jest tu inny, spotykamy się z żonglerką tempem, klimatami, choć niemal zawsze jest to pogodna, sympatyczna w przyswajaniu muzyka. Są tu rozważania o tym, co by było, gdyby spełniły się marzenia rastamanów, bragga (o dziwo wraz z punchline'ami), szalony storytelling z arabskim pejzażem w tle, a nawet zupełnie naiwny lovesong. Ten ***„masaż głowy"*** może wygładzić nieprzyjemne myśli, ale i zmęczyć, bo w wokale trzeba się czasem strasznie wsłuchiwać (miks wokalu? dykcja? Oj, chyba obie z tych rzeczy), a i w nieźle zupełnie podfunkowane podkłady (El Barto) wkrada się czasem zgiełk i bałagan. To dla tych przedkładających wyobraźnię twórcy nad wszystko inne. Ściągniecie całość z http://www.darlowo.mm.pl/~kmiot/. Kontakt z eXo: gutarz007@poczta.onet.pl

mos def & talib kweli

jest tylko jedna taka czarna gwiazda

Obaj są rodowitymi brooklyńczykami, wychowanymi w dobrze sytuowanych, inteligenckich rodzinach, a zarazem jednymi z najważniejszych off-beatowców w historii rapu. Nigdy nie zaznali biedy, dramatów, z jakimi stykały się tysiące ich rówieśników, pozostawionych samym sobie na nienależących do szczególnie bezpiecznych nowojorskich ulicach. W domach Dante Smitha (Mos Def) i Taliba Kweli Greene'a nigdy nie brakowało czasu na poważne rozmowy, poruszanie trudnych tematów, a przede wszystkim wpajanie pociechom wiedzy na tematy związane z historią afro-amerykańskiej społeczności i rozwijanie ich zamiłowania do kultury. To w głównej mierze ukształtowało charaktery młodzieńców i sprawiło, że są oni jednymi z tych raperów, których twórczość na zawsze zapisała się w historii, a także jest akceptowana i lubiana nie tylko przez młodych ludzi, lecz również ich...rodziców

tekst Andrzej Cała

Mos Def przyszedł na świat dwa lata wcześniej od Kweliego – w grudniu 1973 r. Z tej racji to jemu oddamy palmę pierwszeństwa przy omawianiu poszczególnych wątków kariery. Dante Smith miłością do szeroko rozumianej kultury zapałał od najmłodszych lat. Już w czasach licealnych występował na deskach eksperymentalnych przedstawień teatralnych oraz w serialach telewizyjnych. Muzyka na początku była niejako na uboczu. Owszem – słuchał jej z wielką uwagą, był fanem Public Enemy, kibicował pięknie rozwijającym się artystom spod szyldu Native Tongues, ale kochał też jazz, funk i rocka. Ta różnorodność wzięła się chociażby z faktu, iż jego ojciec był wielkim fanem muzyki i namiętnie kolekcjonował analogi, których Mos Def nie omieszkał dokładnie przesłuchać. W hip-hop wsiąkł na dobre od 1994 r., gdy wraz z młodszym bratem o ksywie DCQ i siostrą Ces podłożył podwaliny pod działalność grupy Urban Thermo Dynamics. Udało im się nawet – po kilku bardzo dobrze przyjętych w podziemnym środowisku singlach – podpisać umowę z labelem Payday, która niestety nie zaowocowała nigdy wydaniem płyty. UTD w 1995 r. okroiło skład do Mos Defa i DCQ, zmieniając zarazem nazwę na Medina Green. Zanim jeszcze doszło do powstania Black Stara, Dante Smith od 1996 r. regularnie pojawiał się na ciekawych pozycjach szanowanych nowojorskich artystów (Bush Babees czy De La Soul), by w 1997 r. wstrząsnąć sceną fantastycznym singlem „Universal Magnetic". To była dla niego przepustka do kontraktu z Rawkus Records, którego niebawem stał się najbardziej rozpoznawalną postacią.



Imię Talib Kweli pochodzi z kultury arabskiej. Ma ono dwa znaczenia – „poszukiwacz" oraz „student prawdy i wiedzy". Artysta jest starszym z dwóch synów państwa Greene – ojciec Taliba jest profesorem socjologii, matka zaś wykłada język angielski. Już w podstawówce Kweli pisał opowiadania, sztuki teatralne i wiersze, jednak jego największym marzeniem było zostanie zawodowym futbolistą. Przez pewien okres, gdy był w liceum, pałał się ghostwritingiem, dopiero gdy poznał Mos Defa podczas warsztatów teatralnych, utwierdził się w przekonaniu, że powinien spróbować swoich sił jako emcee. Dla niego również rokiem przełomowym okazał się 1997 r., gdy poznał w Cincinnati producenta DJ'a Hi-Teka, z którym utworzył duet Reflection Eternal. Mos Def zarekomendował ich twórczość włodarzom Rawkusa, czego efektem stał się singiel „Fortified Live" – jeden z największych hitów undergroundowych w tamtym okresie.

Losy Mos Defa i Kweliego na dobre splotły się u przełomu 1997 i 1998 r., gdy pod szyldem Black Star rozpoczęli pracę nad wspólnym albumem. Przy jego nagrywaniu główną rolę producencką przejął Hi-Tek, ale znalazło się też miejsce na bity tak szanowanych producentów, jak Mr. Walt z Da Beatminerz, Ge-ology, J. Rawls czy 88 Keys. Śledzący uważnie to, co działo się w podziemiu, zacierali ręce na myśl o płycie „czarnej gwiaz-

dy", ale chyba nikt nie spodziewał się, iż wydany w drugiej połowie 1998 r. krążek „Mos Def and Talib Kweli are Black Star" okaże się aż tak wybornym materiałem. Niespełna 50-minutowy album do dziś dnia uważa się za jeden z najważniejszych w historii zaangażowanego, przesyconego afrocentryzmem (czasem posuniętym do radykalnego stopnia) hip-hopu. Furorę zrobiły single „Definition" i „Respiration" – poruszająca kompozycja nagrana z Commonem, a wzruszające „Brown Skin Lady" dla wielu słuchaczy rapu stanowi jeden z najpiękniejszych hołdów dla kobiet. Taki materiał z oczywistych względów nie mógł być wielkim sukcesem na niwie sprzedaży, ale ukazał przede wszystkim, że w momencie opuszczenia hip-hopowej sceny przez A Tribe Called Quest i Jungle Brothers są na ich miejsce nowi ludzie godni reprezentowania szeregów Native Tongues posse.

Jeszcze w tym samym 1998 r. artyści wykupili podupadającą „Nkiru Bookstore", najstarszą na Brooklynie księgarnię zarządzaną przez afroamerykanów. Stworzyli w jej miejsce ośrodek „Nkiru Center for Education & Culture", mający okazać się miejscem spotkań młodych czarnoskórych obywateli, w którym mogliby oni bezpłatnie pobierać lekcje historii, literatury czy muzyki.

W 1999 r. Kweli i Mos Def zainicjowali pomysł nagrania maksi-singla „Hip-Hop for Respect", na którym zgromadzili 41 artystów rapujących w proteście przeciw zastrzeleniu nieuzbrojonego afrykańskiego imigranta Amadou Diallo. Ilość zaangażowanych w ten projekt twórców nie była przypadkowa – właśnie tyle strzałów oddano do Diallo. Niestety, okazało się, że było to jedno z ostatnich wspólnych posunięć Taliba i Mosa. Ten drugi wydał w 1999 r. solówkę „Black on Both Sides", niezwykle eklektyczny, bogaty w brzmienia, utrzymany jednak w 100% w hip-hopowej stylistyce album. Recenzenci rozpływali się w pozytywnych opiniach, jednak dla wielu odbiorców solowe dokonanie Mos Defa okazało się za trudne w odbiorze, bo też między Bogiem a prawdą – elementów przebojowych nie było na nim za dużo, a radykalność i kaliber ciężkości części tekstów zdecydowanie przekraczał normę dopuszczalną, by stać się wielkim idolem fanów rapu. Tylko czy tak naprawdę kiedykolwiek mu na takim fejmie zależało?! Można się zastanawiać. Z jednej strony jego muzyka to sto procent autentyczności i niemal zerowy ukłon w stronę masowej publiczności, ale czy to samo można powiedzieć o karierze filmowej Mosa?! Role w takich „dziełach" jak „Brown Sugar" czy „Carmen: A Hip Hopera" trudno określić jako specjalnie wartościowe, zarazem ten sam Dante Smith może sobie zapisać na konto nagrodę Pulitzera (2000 r.) za występ w przedstawieniu „Topdog / Underdog".

Gdy Mos Def koncentrował się na karierze aktorskiej, Talib Kweli wydawał płyty. No cóż – kolokwialne dosyć stwierdzenie, ale jak najbardziej prawdziwe. Końcówka 2000 r. to długo oczekiwany album Reflection Eternal, czyli kooperacji z Hi-Tekiem, „Train of Thought". Mówcie, co chcecie o tej płycie, ale to bez cienia wątpliwości przedostatni tak dobry krążek z logo Rawkusa. Ostatnim jest wydane w 2002 r. autonomiczne dokonanie Kweliego „Quality". Tytuł jak najbardziej adekwatny do muzycznej zawartości tego dzieła. Kweli ani trochę nie zawiódł pod względem tekstów – porywająco i pouczająco rymował o wszystkim, co ważne w życiu każdego dojrzałego, świadomego człowieka: miłości, polityce, trudach życia codziennego, ale i radościach, jakie ono ze sobą przynosi. Jeżeli coś zaskoczyło fanów, to przede wszystkim muzyka i oddanie części produkcji kojarzonym raczej z mainstreamem Kanye Westowi, DJ'owi Scratchowi i…DJ'owi Quikowi. Trochę mniej powinny dziwić przechwałki, wszak braggadocio od zawsze charakteryzowało najlepszych raperów, niezależnie od tego, czy przynależeli do podziemia, czy też święcili triumfy na listach.

W październiku 2004 r. panowie Mos Def i Talib Kweli ponownie przypomnieli o sobie, jednak w diametralnie różny sposób. Album tego pierwszego, „The New Danger", nagrany przy współudziale powołanej przez Mosa kapeli Black Jack Johnson, zrzeszającej uznanych muzyków związanych wcześniej z grupami takimi jak Funkadelic, Living Colour czy Bad Brains, to niezwykła muzyczna hybryda takich gatunków, jak rock, blues, soul i rap. Drugie solo Kweliego „The Beautiful Struggle" to z kolei pozycja w dużym stopniu mainstreamowa, zdominowana przez kompozycje popularnych producentów (Neptunes, Just Blaze, Midi Mafia) – niestety przy tym bardzo nierówna, pozbawiona blasku i smaczku poprzednich dokonań.



Jakie będą dalsze losy dwójki naszych bohaterów? Trudno to do końca przewidzieć. Z jednej strony, na ich ostatnich płytach zabrakło wspólnych nagrań, a z drugiej – coraz głośniej się mówi o tym, iż nakładem Geffena ukaże się drugi „Black Star". Trudno na ten moment to sobie wyobrazić, wszak muzyczne drogi panów Greene'a i Smitha mocno się rozeszły w ostatnich latach. Nie przekreśla to możliwości współpracy, a w zasadzie zaostrza tylko nasze apetyty. Rodzi się jedynie refleksja – ile jeszcze zostało w nich bojowości i radykalizmu, po tym, jak pokazują się w wysoko budżetowych klipach z wybiegów mody (Mos Def u Jaya-Z) bądź koncertują z Fabolousem, nagrywając zarazem kawałki z The Game'em i Ludacrisem (Talib)?! Czas pokaże…

fisz
duża ryba

Fisz - jedna z największych indywidualności naszej sceny. Jest kreatywnym artystą dbającym zarówno o treść, jak i o formę. Okazał się także świetnym rozmówcą. Możecie już zakupić własny egzemplarz zrobionego wraz z Enveem "Fru!" i docenić klasę pomysłu klipu do promującego go singla. Póki co, zapraszamy do relaksu przy wywiadzie

rozmawiała Wiedźma Cess
foto Monika Lisiecka



Zaczniemy od znaku rozpoznawczego Fisza, czyli megatonu. Skąd ten pomysł, żeby pojawiać się z nim wszędzie?
Traktuję go jako instrument. Zawsze lubiłem takie dźwięki na głosie – dosyć brudne, obcięte pasmo, które już się pojawiło na „Polepionych dźwiękach". Poza tym, lubię eksperymentować z żywą materią, a nie przetwarzać wszystko pluginami, komputerowymi efektami. Pojawiła się gdzieś ta tuba i tak zostało.
Coraz rzadziej można Cię było usłyszeć w tak zwanej wersji oryginalnej...
Nie, no bez przesady. Na „Wielkim ciężkim słoniu" jest tylko jeden utwór nagrany przez tubę, a reszta jest już zaśpiewana oryginalnym głosem. Nie, ja bym nie przesadzał. Koncertowo występuje dosyć często, ale ostatnio ją gdzieś zgubiłem, więc teraz jest jej mało.
Od dłuższego czasu nie mieszkasz na Imielinie i nie ma już chyba czegoś takiego, jak Imielin Familia, prawda? Nie brakuje Ci tamtych klimatów?
Nie, na Imielinie nie mieszkam już od dawna. Nie brakuje mi też tamtych klimatów, traktuję je raczej jako wspomnienie z dzieciństwa, coś jak oglądanie starych zdjęć z nutką nostalgii i śmiechu pod nosem. Miałem inny pomysł na swoje brzmienie, dlatego zacząłem wydawać pod szyldem Fisz. Z tego, co wiem, Piotrek (Emade – przyp. red.) cały czas współpracuje z Inespe i to jest jakby jego bajka, która mnie na dzień dzisiejszy zupełnie nie kręci.
Na pewien czas odszedłeś od rapu, co słychać chociażby na „Wielkim ciężkim słoniu", gdzie wyrażasz się bardziej eksperymentalnie: trochę podśpiewujesz, trochę deklamujesz, nie ma stricte rapowych utworów. A już na singlu „Kryminalny bluezz", zwłaszcza w „Tłustym bicie", zdecydowanie rapujesz...
No tak, bo ja się nigdzie nigdy nie wpisywałem. Dla mnie głos jest nie tylko instrumentem, ale i pewną formą wypowiedzi. Narzędzi używam zależnie od potrzeb. „Wielki ciężki słoń" był rzeczywiście opowiedziany i w pewien sposób podśpiewywany – tak jak wcześniej „F3". To, co robimy z Enveem, jest tym, co najbardziej lubię, czyli projektem spontanicznym. Spotkaliśmy się kiedyś przypadkowo i zaczęliśmy sobie dłubać i nagrywać. Dlatego „Fru" składa się z bardzo różnych dźwięków.
Twój ostatni album studyjny był znacznie bardziej abstrakcyjny, więcej było tam metafor niż konkretnych historii, a na singlu z Enveem jest znów storytelling.
Zawsze opowiadam historie, zmienia się tylko forma. „Ciężki słoń" też jest historią, tylko taką, która toczy się wokół poszukiwań formy słów i jakiejś dziecięcej naiwności, która kończy się „Wiśniami", będącymi puentą opowieści. Każda moja następna płyta jest tekstowo odpowiedzią na tą poprzednią. Po komputerowych, domowych „Polepionych dźwiękach" był studyjny, bardziej metaliczny tekstowo i akustyczny brzmieniowo album „Na wylot". Później powiedziana bardzo prostym językiem, pastelowa i plastikowo brzmiąca „F3". Następnie ciężki, alegoryczny, nawiązujący wręcz do bajek i dziecięcych skojarzeń „Wielki ciężki słoń". Przy współpracy z Enveem ludzie pewnie się podzielą, bo ci, którzy lubią mnie ze „Słonia", zawiodą się, a ci, co lubią mnie z „Polepionych...", odnajdą tam dużo nawiązań do tej właśnie płyty. Na całym albumie sample nie pojawiają się raczej w ogóle. To bardzo grubo, bo Envee jest grubasem, jeżeli chodzi o produkcję, natomiast wszystko jest bardzo syntetyczne, no i rzeczywiście strasznie rozgadane. Tam są trzyzwrotkowe utwory, gdzie non-stop gadam i fajnie, bo jest to taka odskocznia od tego, co robimy z Tworzywem.
Mam wrażenie, że „Kryminalny bluezz" jest w pewnym stopniu nawiązaniem do warszawskiego folkloru – historii typów spod ciemnej gwiazdy...
Pewnie tak, nawet okładka jest taka. Dwóch dziwnych typów. To gdzieś tam jest, bo sam utwór jest dość komiksowo przerysowany. Właśnie dziś mamy kolaudację teledysku, który też jest ciekawy, bo cały rysowany. W sumie głupia historia i rzeczywiście może nawiązuje do takiego cwaniactwa, natomiast puenta jest troszkę montypythonowska, taka, którą lubię najbardziej, czyli jakiś dziwny surrealistyczny klosz na głowie. Tego typu dziwnych opowieści jest trochę na tej płycie. Natomiast myślę, że nie ma bliźniaków, nie ma dwóch podobnych kawałków. I dobrze.
Wspomniałeś klipy. Każdy z twoich teledysków jest dość oryginalny i ciekawy, są szalone pomysły na klipy bez kamery. Jak duży wpływ masz na scenariusz i całokształt?
Nam robią teledyski ludzie, którzy chcą je robić. To nie jest tak, że mamy wielki budżet, płacimy, a później wymagamy. Raczej gdzieś się spotykamy i rozmawiamy o tym, co nam się podoba. Mam do nich pełne zaufanie i jak dotąd nie podjąłem się pomysłów scenariuszowych czy reżyserskich, bo ja się na tym nie znam. Układ jest na tyle wygodny, iż robią to moi znajomi, co pozwala na niewtrącanie się. Natomiast wszystkie pomysły muszę zatwierdzić, żeby te teledyski przynajmniej wizualnie i montażowo współgrały z muzyką, bo to jest dla mnie ważne i tego pilnuję.
Jakiś czas temu rozmawiałam z Tytusem w kwestii Twoich obrazów i podobno już nie malujesz...
Nie, nie, czasem maluję, ale teraz brakuje mi już na to czasu. Jest nawet takie miejsce, gdzie te obrazki wiszą. Moi rodzice wygospodarowali je sobie w Galerii Usynów i tam powiesiłem kilka. To moja zupełnie dziecinna frajda, która nie wiąże się z planami na przyszłość i może to dobrze, bo jest w ten sposób czysta i przynosi dużą radość.
Wspominałeś o Montym Pythonie. Co poza nim bawi Fisza?
Poczucie humoru moich znajomych. Kiedy się spotykamy, jestem przez nich notorycznie rozśmieszany. Wbrew moim ostatnim, dość ponurym płytom, mam dosyć duże poczucie humoru, tylko nie za bardzo lubię robić z muzyki kabaret. Jeden raz opowiedziany dowcip już później może nie śmieszyć, wręcz przeciwnie, może irytować. Rozśmieszanie to duża sztuka. Udaje się niektórym polskim kabaretom, na przykład Mumio. Ja lubię takie abstrakcyjne, surrealistyczne poczucie humoru.
A co irytuje Fisza?
Jest troszkę takich spraw na pewno. Mam na szczęście Tytusa, który zajmuje się stroną wydawniczo-wizualną i sprawia, że nie mam styczności z całą masą irytujących rzeczy. Przykładowo: sytuacja, że nie ma singli w sklepach czy ktoś zawalił zamówienia. To mi psuje całą radość w tworzeniu. Ponieważ jestem w niezależnej wytwórni i ten układ sobie bardzo cenię, zdaję sobie sprawę, że jestem uzależniony od dystrybucji większych wytwórni, które bardziej dopychają sklepy towarem niż muzyką.
A nie irytujesz się, gdy prasa traktuje Cię jako syna swojego ojca, a nie odrębnego muzyka?
Teraz raczej jest „Fisz – inteligentny hip-hopowiec", co mniej mnie irytuje, a bardziej śmieszy. Artykuły są jakby odbijane na ksero. Piszą je mało kompetentni dziennikarze, którzy nie zadają sobie trudu, żeby poznać twórczość, tylko przepisują, powtarzając rzeczy, których bym sobie nie życzył. Powoli się do tego przyzwyczaiłem, bo chyba nie ma na to rady. Z każdą płytą udowadniam, że trudno jest mnie zaszufladkować. Nie da się ukryć, że jestem synem taty, myślę natomiast, że udowodniłem już dawno, że pracuję na własne konto i robię rzeczy bardzo inne, chociaż może gdzieś tam się łączą w sposobie wrażliwości i patrzenia na muzykę. Jednak to są dwie tak różne bajki i tak unikamy wchodzenia sobie w drogę, że tego typu zarzut to chyba tylko ignorancja.
Swojego czasu można było przeczytać Twoje felietony w pisemku „Vaganzza". Nie zamierzasz jakoś kontynuować tej zajawki?
Ja to traktuję w kategoriach przygody. To pisemko tak szybko upadło, jak powstało. To były w sumie trzy rzeczy, nawet nie wszystkie były felietonami. Pisałem sobie do szuflady i dopiero kiedy padła propozycja ze strony nowopowstającego czasopisma, pomyślałem, żeby to wykorzystać. To miłe, fajne, nie zajmuje dużo czasu, a jest sprawdzianem.
Na koniec powiedz, co nastąpi po projekcie Fisz-Envee.
Zajął mi on dużo czasu i cały czas zajmuje, bo to wszystko się dzieje. Tworzywo jest teraz cały czas zespołem koncertowym, jeździmy sobie tu i tam, a koncerty są mocną wymianą energii i cóż... kolejnym sprawdzianem. Wtedy okazuje się, że warto robić to, co robimy. Planujemy też zagrać kilka setów z Enveem. Cały czas wisi nad nami rozgrzebany projekt Brassisters Orchestra. Pewnie niedługo będzie nowe Tworzywo. Tylko musi troszkę czasu minąć. Trochę odpoczynku nie zaszkodzi.

olsen & fu

agresja i spokój



Jeden z Ziomków I Przyjaciół nagrał z jednym z Wychowanych Na Błędach płytę, którą możecie już dostać w sklepach. Klimatów jest na niej wiele, ale duet zdaje się mówić jednym językiem i doskonale rozumieć. To dlatego, mimo braku Olsena, Fu jest Wam w stanie zaproponować solidną wędrówkę przez muzyczne światy objawione na krążku „Kameleon"

pytał Flintstone (CS)
foto Robert Ceranowicz

Na początek pytanie mało poważne. Jak to jest, że na okładce Waszej płyty jest wąż, skoro kameleon należy do rodziny jaszczurek?
To pytanie pada dość często, ale według mnie jest poważne. Wąż nie ma nic wspólnego z kameleonem. Jest on umieszczony celowo, ponieważ oznacza w starożytnych Chinach siłę i moc przebicia.

W tytułowym utworze biedny kameleon postrzegany jest kategoriami negatywnymi – jako szpieg, jako ktoś, kto zmienia się jak chorągiewka na wietrze. Tymczasem on chyba dostosowuje się do otoczenia i zmiennych warunków po to, żeby przeżyć...
Tytuł płyty odnosi się do dwóch rzeczy. Stylu płyty – jak wiadomo, jest ona zróżnicowana stylistycznie, klimatycznie, pod względem bitów. Technika rapowania w każdej zwrotce dostosowuje się do bitu jak kameleon do otoczenia. Zaś kawałek „Kameleon" przedstawia świat, jaki jest teraz, między innymi daje przykład Polski dostosowującej się do żądań Unii Europejskiej.

Co do różnorodności, to rzeczywiście. Utwory w stylu francuskiego hardcore'u, dynamiczna elektronika, brzmienia bardziej jamajskie, chillouty z żywymi instrumentami. W których klimatach czujecie się najpewniej, a jakie z nich są dla Was najtrudniejsze do ogarnięcia?
Ja czuję się pewnie we wszystkich tych klimatach, to suma moich ulubionych smaczków aktualnie pojawiających się w hip-hopie. Moim i reszty świata. Zróżnicowane jest zamierzone.

Olsen ma zioma, z którym tworzy WNB, Fu ma siedmiu ziomów, z którymi tworzy Zip Skład. Co spowodowało, że nagrywasz razem z nim, tworzycie ów „stabilny stafyw"?
Znam Olsena już sporo czasu, dużo mnie łączy z tym dziwnym gościem wielkim (śmiech). Spotkaliśmy się na jednej drodze życia wytyczonej przez branżę muzyczną. Koncerty, balety itd. Tak na serio, to kumam jego świat, a przynajmniej staram się. A on kuma mój, przynajmniej mam taką nadzieję (śmiech) Podobają mi się jego teksty. Między innymi to, że ma w nich kontakt z Bogiem, jest bardzo dla mnie słuszne. Dodatkowo muzyka, w której gustujemy pokrywa się w 70%. Z czasem postanowiliśmy nagrać razem płytę. Powstała dzięki pomysłom i wzajemnej mobilizacji.

Kiedy dokładnie pojawił się pomysł na projekt, ile czasu powstawała płyta, które kawałki powstały na początku, a które na końcu?
Pomysł powstał bodajże w połowie 2002 roku, w czasie, kiedy WNB nagrywali materiał w WWA. Płyta powstawała 4,5 miesiąca. Na początku nagraliśmy kawałek tytułowy i singlowy „Rap bizness". Ale to wyszło przypadkiem. Dopiero później po trochu nagrywaliśmy dalej całą resztę. Nie zajęło to długo, ponieważ byliśmy dobrze przygotowani pod względem tekstu, bitów i dobranych gości.

Właśnie, powiedz coś o producentach. Niektórzy są znani choćby z „Wrodzonego Instynktu", ksywy innych to niespodzianka. Jak dobieraliście beaty?
Na płycie pojawiają się producenci tacy jak Piooro, Korzeń, Dejot, Dreadsquad, znani już z innych produkcji naszych i nie tylko. Są też debiutanci, jak Matt z Białegostoku. Bity w jego wykonaniu są ostro zbasowane, elektroniczne i powstałe na żywych instrumentach. Jest też WRB, który struga podobne podkłady, lecz na pewno wykorzystujemy je w inny sposób. No i Kejo, świeży producent z Torunia. My również siedzieliśmy w studiu, żeby zadbać o brzmienie muzyki, zwłaszcza w przypadku debiutantów. We wszystkim pomógł nam Waco.

Już stare chłopy jesteście, ale widać, że balet wciąż stanowi dla Was zajebistą atrakcję.
Słuchaj, dlaczego niby jesteśmy na to za starzy? Ja jestem człowiekiem rozrywki, póki mam czas i siłę, baluję, bo z tym się dobrze czuję (śmiech). Czasem dobry balet pozwala się odbić od codziennych problemów. Choć na pewno przyjdzie taki czas, że trzeba będzie odstawić imperki i zająć się czymś innym... Hehe...

Melanże to jedno... Określacie się jako „symbioza agresji i chwil spokojnych". Można odnieść wrażenie, że proporcja się zmienia, spokój przeważa...
Te dwie rzeczy cechują nasze życie... i chyba życie każdego człowieka. Spokój zawsze przeważa, ponieważ jest formą ciszy, która uspokaja.

Z każdą kolejną płytą, na której się udzielasz, więcej jest momentów, w których śpiewasz. Czy jest szansa, że doczekamy się płyty w całości opartej na wokalizach, bez rapu? I skąd zajawka na śpiew?
Nie, nic z tych rzeczy. Śpiew jest tylko taką formą uzupełniającą refren i zwrotki, tam oczywiście gdzie to pasuje pod bit. Ja uważam się za gościa, który stawia sobie wyzwania w muzyce. Śpiew świadczy o tym, że mam szersze horyzonty muzyczne i potrzebę wykonania niektórych tekstów właśnie w ten sposób. Ale chyba nie dojdzie do nagrania takiego materiału, gdzie głównym wokalem będzie śpiew. Nie czuję się na tyle dobry. Bardzo szanuję takich gości jak Nate Dogg, Pharell Williams, Waco, że potrafią uzupełnić nieciekawy instrumental tak, by po nagraniu śpiewanego refrenu powstał zajebisty kawałek. To rzecz w muzyce hip-hop podstawowa i zupełnie normalna. Na pewno na przyszłych moich płytach będzie się pojawiało sporo wstawek śpiewanych, bo według mnie miła dla ucha ludzkiego melodia była przecież od zawsze.

Jeden z utworów jest rodzajem dedykacji dla Waszych matek. Jak to z nimi było, jak reagowały na wasz rap – wsparciem, czy raczej w stylu „ty wziąłbyś się za uczciwą pracę, a nie rapy jakieś, przekleństwa"...
Zupełnie nie. Moja matka jest bardzo zadowolona z tego, że robię coś, co przynosi mi satysfakcję, że zajmuję się tym, co daje mi wolność i miłość, czyli muzyką, że zajmuję się tym z wielką pasją. Zawsze staram się na swojej płycie umieszczać utwór w jakimś stopniu skierowany do mojej rodziny, jak np. „Przepraszam" z „Wrodzonego Instynktu". Moja mama jest bardzo wrażliwą osobą i zawsze reaguje na takie kawałki łzami, ponieważ się wzrusza. To przecież normalne u kochających bardzo matek.

Co czułeś, kiedy w Twoje ręce trafił „Kameleon" – już po masteringu, z okładeczką. Wrzucasz do sprzętu i „O kurde, zrobiliśmy kawał dobrej roboty" czy raczej „Kurde, to mógłbym jednak zrobić inaczej, ta zwrotka mi się już nie podoba"...
Skądże! Jaram się tą płytą jak mały dzieciak. Wiem, że z upływem czasu na pewno powiem, że można by było zmienić sporo, ale chodzi o małe, niezauważalne zbytnio rzeczy. Zawsze jak po masterze słuchasz płyty swojej, jest to piękny moment, bo wiesz, że stworzyłeś ją od początku do końca, trzymałeś nad nią straż, czuwałeś, by była wypasiona jak trzeba. Jestem dumny, że mogę, tym razem wspólnie z Olsenem, znów wnieść coś nowego do polskiego hh.

Olsen mówi w „Rap biznesie" o rapowym „konflikcie pokoleń". Widzisz na scenie takie młode wilki, które mogłyby zagrozić starym wygom? Jak oceniasz nowe pokolenie raperów?
Słuchając demówek, uważam, że wielu mc w Polsce jest mało oryginalnych, brakuje im jakiegoś punktu odniesienia. Nie mają już z czym nowym się pokazać, według mnie nie starają się za bardzo. Są kopiami innych dobrych mc ze starszego pokolenia, a tego nie toleruję. Dla mnie to musi mieć duszę i zaskakiwać. Nie czuję się więc zagrożony przez nowych mc, na polskiej scenie nie widzę nikogo, kto mógłby zająć moje miejsce. Oczywiście życzę powodzenia wszystkim, którzy tapią za majka i wiedzą, z czym i jak do niego podejść. Co do producentów, znam paru, którzy mogliby zagrozić tym na razie górującym, ale nie stać ich na konkretny sprzęt. Ja jednak wiem, że mają przyszłość. Zibi, Matt, Songo, WRB, Kejo i wielu innych. Respekt!

Czy nie myślisz, że coraz mniejsza ilość ludzi na koncertach, coraz mniejsza sprzedaż płyt może być zwiastunem końca boomu na rap i „rap biznes" może stać się wkrótce jeszcze mniej dochodowy?
Moim zdaniem problem tkwi w tym, że na scenę polską wkracza chłam, który trzeba wspólnie unicestwiać takimi płytami, jak np. „Kameleon" czy rzeczami ze stajni Prosto itd. To antidotum. „Rap bizness" mówi o modzie na nagrywanie hip-hopu. Do tego trzeba mieć jeszcze dobre podejście, czuć to we właściwy sposób. Nie dajesz sobie rady z muzyką, nie krzywdź jej więcej! Zajmij się czymś innym, gdzie indziej rób zamęt. To do tych wszystkich, co niszczą tę piękną kulturę, nie zdając sobie sprawy z tego, do czego to prowadzi.

Fu, zbliża się okrągły, bo dziesiąty jubileusz Zipów. Planujecie coś ekstra?
Mam w głowie plany związane z wielkim koncertem Zip Składu, na którym zagramy najlepsze kawałki. Wraz z gościnnymi udziałami, kumasz? Lecz to tylko plany.. A realizacja? Jeden Bóg wie... Na pewno będę chciał się dogadać z chłopakami, żeby zacząć powoli nagrywać drugi Zip Skład – „Na zawsze". Zrobię, co w mojej mocy, by to doszło do skutku. Tymczasem pozdro dla Zip Składu, Zipery, WNB i dla całej Polski. Elo!!!

nowa twarz

Smarki

postać w kapturze



Pamiętam, kiedy tego gościa nie brano do końca na serio. Poważnie niepoważny impertynent ze specyficznym poczuciem humoru i dobrze rokującym flow. Jechał po typach, których publiczność zaczynała wtedy dopiero kochać, a dziś już ich nienawidzi. Inni przeżywali to, że jest ciężko, on koncentrował się na podeszwie swoich rozpierdolonych „najków". Zespół CMMC zniknął, ale on wrócił. Pojechałem do Wrocławia. Pierwsze pytanie: „Słyszałeś Smarka?". Przyjaciele z Elbląga... To samo. Warszawa... Maile, sms-y, wiadomości na komunikatorach. Przed „Najebawszy EP" nie było ucieczki. Jeśli tego nie znacie, na naszej płycie jest w całości

pytał Flintstone (CS)

Było CMMC, teraz jest twoje „Najebawszy" i „Obskurw King" od Zkibwoya, gdzie zresztą pojawiasz się w „Intro". To paradoks, ale są to płyty zarazem bardzo podobne i bardzo inne... Wypłynęły w tym samym czasie, więc są automatycznie porównywane...

Jak usłyszałem „Skandale" i „To gówno jest nasze", to poczułem zazdrość i żałowałem, że nie ma mnie w tych numerach. Zajebiście się cieszę, że każdy z nas po czterech latach nagrał coś więcej niż jeden kawałek. Sram, czy są to płyty różne, czy takie same, gorsze czy lepsze. Ja się zajebiście cieszę, że są i uważam, że są dużo ponad przeciętną polskich oficjalnych wydawnictw. Zajebiście chcę ze Zkibwoyem nagrać teraz Brudne Serca, usłyszeć płytę Malucha i mixtape DJa Adera. Mam nadzieję, że Pysk wykombinuje sobie komputer, na którym będzie mógł nagrać więcej niż dziesięć minut ścieżki i też pierdolnie mixtape, a ja będę sobie słuchał tej taśmy na moim chujowym walkmanie. To są ludzie, którzy całe życie napierdalają to wszystko i nie żalą się, że organizowanie koncertów i nagrywanie płyt to ciężka praca, bo wydawca jest taki i sraki, okoliczności są srakie, a ty masz kupować oryginalne płyty.

Początkowo miałeś nagrać album z Bitnixami, beatmakerami znanymi z utworów sennych, jazzujących. Przeskok na dynamiczne podkłady i brudne werble Kixnare'a to zmiana o 180 stopni. Jak ją wytłumaczysz?

Kixnare jest zajebistym producentem. Siedzi i ciągle napierdala, szuka nowych rozwiązań i jest przede wszystkim wszechstronny, a przy tym nie traci jakiegoś tam własnego stylu. Kilka beatów miał już zrobionych i mi po prostu pasowały. Przy kilku powiedziałem, o co mi chodzi, on to zrozumiał i zrobił tak, jak potrafił i to było 5/6 tego, o co mi chodziło. W Polsce producenci w większości robią beaty tak, jak im wychodzą, a nie tak, jak chcieliby, żeby wyszły, więc zajebiście jak jest ktoś, kto łapie, o co ci chodzi. Kix jest wyjebany i ktoś mu powinien zaproponować, żeby wydał oficjalnie LP. Jak dla mnie, obok Jotera/Artmelica czołówka w Polsce. Z Bitnixami nie wyszło z winy mojej i nie będę o tym pieprzyć. Oni są w trakcie kończenia jakichś tam swoich projektów i to też będzie zajebiste, tak myślę. Janek czasami podrzuca mi 2stepy i tak dalej, zresztą nagrałem nawet dwa takie garażowe gówna. Mi się widzi koncept albumu z Bitnix/Ruffsoundz na zasadzie fuzji różnych miejskich brzmień z moimi mniej prostackimi tekstami niż na „Najebawszy". Bo ja mam jeszcze naturę jazzy-trendy-inteligencką i tak dalej. Ale nie chodzi mi o jakieś popierdywanie w stylu Fisza, tylko bardziej z nastawieniem na treść jak Mike Skinner. W każdym razie mam nadzieję, że to ogarniemy.

Nawijasz, że chciałbyś, by na twoim legalu był Peja. Słuchając Waszych nagrań trudno mi sobie wyobrazić osiąganie wspólnego tematu – inne tematy, inny język, inne beaty...

Język polski, beaty 90 BPM, tematy są zawsze. Technicznie to jest dla mnie zajebiście proste. Tak samo chciałbym nagrać z Wilkiem, Pezetem, TDF-em i w pizdu innymi, ale to jest ogólnie pierdolenie z chuja. Nikt z nich nie będzie mnie brał na występ gościnny. Wątpię, czy ktoś z nich w ogóle o mnie słyszał. To, czy ja dobrze rapuję, to chuja znaczy tak naprawdę. W wersie, do którego nawiązujesz, chodzi o to, że ja nie mam jakiejś programowej nienawiści do ludzi, którzy oficjalnie wydają płyty i tak dalej. Wiesz, Peja rapuje z dekadę. Jest w pizdu ludzi, którzy zaczynają dopiero nawijać i z miejsca wszystko mają za chujnię, przy czym głównie kierują się zazdrością. Ja słuchałem sześć lat temu „Całkiem nowego oblicza" przez miesiąc bez przerwy. Późniejsze płyty mi nie podchodzą, ale kurwa, on rapuje z dekadę.

Jak to w ogóle jest... Z jednej strony rymujesz pod kolejną ksywką, utrzymujesz, że nie zależy ci na lankach, graniu koncertów, że chęć błyszczenia w klipach na Vivie to przeszłość. Z drugiej gdzieś pojawia się namawianie małolatów, żeby wpierdalali epkę na serwery i hulało to na podwórkach i jakiś wers o legalu w przyszłości.

Koncerty i teledyski to są zajebiste rzeczy. Zawsze chciałem mieć jakiś kozacki teledysk, w którym jesteśmy w kominiarkach i robimy wszystko, z czego nabijali się The Roots. Zajebiście jest zagrać dobry koncert, na który przyjdą ludzie, żeby posłuchać, a nie znajomi, żeby się pośmiać z tego, że robisz z siebie pajaca. Ale chujowo, jak stajesz się uzależniony ekonomicznie od rapowania. Nie chodzi o jakieś bzdury, że wytwórnia będzie ci się wpierdalać w materiał, bo to jest jakaś abstrakcja. Chodzi o takie przyziemne rzeczy, że potrzebujesz pieniędzy, masz ofertę zagrania na jakimś dziwnym festiwalu i jedziesz tam, chociaż nie masz ochoty. Albo jedziesz do Vivy, żeby udawać kumpla z CNE, chociaż on tak samo sra na ciebie, jak ty na niego. Mi chodzi o to, żeby najpierw zbudować sobie jakieś tam normalne życie, na zwykłych zasadach. Jak już będę to mieć, to tak jak ludzie jeżdżą na ryby albo nurkować, to ja będę wbijać się gdzieś z ziomkami zapalić blanta albo się najebać. I wtedy będę mógł myśleć o wydawaniu płyt, żeby móc grać dobre koncerty, bo będę srać na bzdury typu, że ZAiKS ma moje pieniądze. Rapuję, bo mam z tego jakąś tam przyjemność. Nie jestem żadnym graczem czy innym sraczem, bo okres zapatrzenia na Stany Zjednoczone mam za sobą, ale i tak zajebiście, jak ktoś jara się tym, co robisz.

Skąd wziął się pomysł na nagranie coveru hitu Stereotonii? Chciałbyś żeby za 5 lat jakiś młody kot nagrał swoją wersję numeru Smarka?

Zajebiście jaram się rapem ze Słubic. Smagalaz są dla mnie, jak to się mówi, „fresh" czy coś. Mają te wszystkie skillsy i tak dalej. Oni robią coś w stylu tego sunshine rapu, po którym jeżdżą ci z Aggro Berlin, a mi się to akurat podoba. Ader kiedyś zrobił ich koncert u nas i się okazało, że oni jakoś tam kojarzyli mnie i Zkibwoya i w ogóle coś tam. W każdym razie dłuższy czas chcieliśmy coś nagrać, ale każdy ma swoje sprawy, wiadomo. Ja się np. zamuliłem tym, że chuja się znam na masteringu, że nie mam gdzie nagrywać, że chujowa jakość, że najwyżej słucha mnie Internet itd. Nagrałem wtedy z nimi w Berlinie, potem miałem jakiś tam kontakt z Emratem i w sumie dzięki nim ruszyłem z tą całą epką. Po prostu musiałem z nimi nagrać numer. „Dźwięki Stereo" to jest, kurwa, najlepszy polski kawałek jak dla mnie. Jest o niczym w sumie, ale ma jakiś tam ładunek energii i daje poczucie, że warto zapierdalać, robić chujowy mastering i tak dalej, byleby nawijać. Pewnie tylko ja się tym coverem jaram, inni na pewno wolą oryginał, ale pierdolić. Trzecia zwrotka to mnie rozpierdala, zwłaszcza jak Kedyt zaczyna i potem jak Abel nawija o swoich narodzinach. Nie wiem, czy chciałbym, żeby ktoś nagrywał cover mojego kawałka. Tzn. to pewnie byłoby zajebiste uczucie, ale bez przesady. W Polsce żaden rap, a już na pewno mój, nie będzie mieć nigdy takiego znaczenia, jak wtedy Molesta, Wfd albo składanki Volta.

Follow upy to twoja specjalność, tak jak i jest to specjalność Wanka czy Zkibwoya. Ale czasem mam wrażenie, że już tylko Wam zależy, żeby kultywować ten nieszczęsny polski oldschool, żeby swoimi linijkami oddawać szacunek dobrym graczom, dać znać słuchaczowi, że wiesz, co się dzieje na scenie, nawet jeśli się tym nie jarasz.

Ja nie wiem. Pisząc, miałem po prostu zajawkę na nawiązania, tak jak jakiś czas wcześniej podobały mi się wielokrotnie srakrotnie złożone rymy. Jest mało osób, które wyłapią wszystko, co tam nawinąłem. Ale to jest zwyczajny środek wyrazu. Nie jest niczyją specjalnością. U mnie jest ich w pizdu, bo taki był zamiar. Wanklej ze swoimi nawiązaniami do Molesty jest jakimś tam pionierem stylu niby. Chociaż tak naprawdę pierwszy był Tede, bo nikt tak nie robi follow upów do Tedego jak Tede. Polski oldschool jest kozacki. Jak usłyszałem „Skandal", to bałem się słuchać tej płyty, o TDF-ie myślałem, że naprawdę ma tylko jedno płuco, Borixon to dla mnie zawsze będzie Rekin. Tak samo Tymon, Jedensiedem, PWRD z Dyhą, nagrania Jajonasza i ta opcja z HaiHaieR, Enigmy, nawet Stare Miasto, RHX. Wtedy jeszcze Wujkowi rymowało się na freestyle'u, a Ryba to nie był „Kiełbasa, to zapamiętaj!". Kiedyś zajebiście się tego słuchało.

Po płycie twojej i Zkibwoya Gorzów maluje się jako miasto, w którym mieszka się po to, żeby z niego wyjechać. A Ciebie co jeszcze trzyma w Polsce?

Gorzów nie różni się od żadnego innego miasta w Polsce, które nie ma uniwersytetu. Z Warszawy ludzie też spierdalają za granicę. Tak samo z Poznania, Wrocławia, Krakowa i chuj. U nas dodatkowo ci, których rodziców stać, albo ci, którzy mają samodyscyplinę, to spieprzają studiować w innym mieście. Większość starych znajomych spotykam na święta. Jest jak wszędzie. Wyjeżdża się, bo albo chce się zarobić, albo chce się mieć coś więcej niż jakiś licencjat z dupy. Mnie trzyma zaoczny tryb studiów, bo mam to szczęście, co nie ma go ktoś.

Pytanie kieruję do kogoś, kto zdaje się znać to zagadnienie biegle. Czy rzeczywiście jest tak, że „mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus"?

Ja nie jestem jakiś „biegle znający naturę kobiet" pedał John Gray i nie napierdalam aforyzmami na prawo i lewo. Nie wiem, czy mój penis wziął się z Marsa, a cipka dziewczyny z Wenus. Natomiast taktycznie, jak chcesz mieć porządną i inteligentną dziewczynę, to ona wymaga od ciebie jakichś tam ważnych dla niej rzeczy. Dla ciebie to mogą być farmazony, których nie rozumiesz. Ja nie rozumiem, dlaczego nie mogę do mojej dziewczyny mówić „ty pizdo, spierdalaj", ale nie mówię, bo rozumiem, że nie mogę. Reszta chyba nie zależy od płci, tylko od człowieka.

Jakieś słowa na koniec?

Pozdrawiam Wojtasa, młodszego brata mojej dziewczyny, który jest skejtem i czyta Ślizg.

RED



muzyka najpiękniejsza

Red. No tak, Red. Jedna z tych osób w polskim hip-hopie, która wzbudza mocno kontrowersyjne uczucia. Obóz TA, płyta producencka, programy w telewizji – czego by nie robił, znajdzie równie liczne grono zwolenników, jak i tych, którzy z wielką przyjemnością podśpiewują sobie część zwrotki poświęconej mu przez dawnego zioma z Łodzi. Ale on nie wydaje się tym przejmować.

Z Redem fajnie się rozmawia o kobietach. Nie są to może rozmowy, których największymi fankami byłyby pruderyjne dziewczyny, ale wszyscy czytający te słowa faceci zapewne mnie rozumieją. Z Ernestem fajnie też gada się o piłce nożnej. Kolejny męski temat. Ale o muzyce rozmawia się z nim najlepiej. Bo dużo o niej wie, zwłaszcza o hip-hopie. A uwierzcie mi, choć brzmieć to może jak paradoks – to rzadko spotykana cecha wśród ludzi z polskiej rapowej branży.

Siedzimy u niego w mieszkaniu. Z odtwarzacza leci nowy Beanie Sigel, w telewizji do komentatorskich orgazmów szykuje się Dariusz „Typisz-Inglisz-Łeder" Szpakowski. Jesteśmy zgodni – Szpak ma flow! Tak trzymaj, Szpak, dziś Chelsea podejmuje na Stamford Bridge Liverpool. Jak zapewne już wiecie, Red nie wytypował dobrze wyniku. Ale co tam, pomylił się nie tylko on. Chelsea nie zawojuje w tym roku Europy. Na stole zmrożona wódka, w lodówce mrozi się następna. Taki „meczyk po polsku". No, przy wódce lepiej się gada.

Nie wiem, czy będziecie po tej rozmowie znali Reda lepiej. Wiem jednak, że i tak wszyscy będą o nim gadać. Dobrze, źle – będą. On mówi, że ma to w dupie, i te dobre, i te złe opinie. Chyba nie do końca, bo momentami wcale nie jest tak wyczilowany, jakby się mogło wydawać.

Dobra, przeczytajcie zresztą sami

rozmawiał Kowal
foto Grzegorz Błażejczyk / Universal Music Polska

Ok, Ernest, na początku najważniejsze pytanie – komu kibicujesz i jaki będzie wynik?
W tym sezonie Ligi Mistrzów wszystkie kluby, którymi się jarałem, poszły już w kosmos. Dziś będę się jarał po prostu dobrym meczem. Myślę, że do finału przejdzie Chelsea, ale z drugiej strony wkurwia mnie już arogancja Jose Mourinho i jakbym zobaczył jego mordę po przegranym meczu, to bym się jarał. Ale dzisiaj będzie 3:1 dla Chelsea.

Dobra, to się zweryfikuje po meczu. Ale skoro już jesteśmy przy piłce nożnej, to może pociągnijmy jeden związany z nią mocno wątek. Jak by nie grały reprezentacje, prawdziwych fanów zawsze najbardziej ekscytować będą kluby. W tych spotykają się zawodnicy z całego świata, piłka nożna to chyba najbardziej międzynarodowy sport. A ty jesteś mocno międzynarodowym kolesiem. Red, kim Ty się właściwie czujesz?
Widzieliśmy się w ostatni weekend, nie? I wtedy poznałeś mojego najlepszego zioma. On jest pół-Czechem, pół-Francuzem, wychowaliśmy się razem w Szwajcarii, w Genewie. Potem on wyjechał do Londynu, ja wyjechałem do Nowego Jorku. Potem przyjechałem do Polski, on wrócił do Szwajcarii, a od dwóch lat mieszka w Pradze. Genewa, w której spędziłem dzieciństwo, to miejsce, w którym jest tylko 18% prawdziwych Szwajcarów. Ja nie mam ani jednego kumpla, który miałby ojca Szwajcara i mamę Szwajcarkę – coś takiego nie istnieje. Mój kumpel jest pół-Czechem, pół-Francuzem, ja jestem pół-Polakiem, pół-Chorwatem. Ten mój kumpel gada też po polsku. I mówi: „Kurwa, człowieku, ty masz jakiś dziwny akcent. Ani szwajcarski, ani francuski". Coś w tym jest – znam cztery języki i w każdym dziwnie brzmię. Dogaduję się, ale jak pojadę do Genewy i zacznę gadać po francusku, to oni myślą, że na pewno nie jestem od nich, w Polsce też tak nie myślą, w Chorwacji jestem obcy. Wiesz co, odpowiadając na pytanie – ja już się nikim nie czuję...

A w jakim języku myślisz?
Ponoć myśli się w takim języku, w jakim się ma sny – taką słyszałem teorię. Więc ja śnię albo po angielsku, albo po francusku.

Ok, ok – ale związałeś się w końcu z Polską.
No bo moja mama jest Polką. Wiele osób myśli, że ja przyjechałem tu pięć lat temu i że nigdy przedtem tu nie byłem. A to bzdura. Za komuny, od 84 co roku przyjeżdżałem. Mama wyrzucała mnie do dziadków, żeby odpocząć ode mnie. Przylatywałem do Polski ruskim samolotem Tupolew, któremu walił z silników czarny dym. Szwajcarzy łapali się za głowę i pytali, co to w ogóle jest. Kolejki, kartki na mięso, relacje dziadka z panią Klocią od salcesonu w sklepie, soczki w tolii ze słomką itd., itd. – ja to wszystko przeżyłem.

Miałeś wiele możliwości, wybrałeś Polskę. Czemu?
Bo ja się tu dobrze czuję. Do tego dochodzą moje marzenia. Całe moje życie to marzenia, po kolei je realizuję. W 1986 dostałem na urodziny kasetę „Yo! Bum Rush The Show" Public Enemy i wtedy powiedziałem mojej mamie, że ja będę to robił. Matka mówiła: „Masz 11 lat, przejdzie ci". No i co, przeszło? Wychodziły kolejne ważne dla mnie płyty – Nikki D., Slick Rick. Mówiłem: „Ja tych wariatów poznam". Chucka D, całą resztę. Miałem farta – mój ziom pracował w Def Jam, wpierdolił mnie tam. Wyjechałem ze Szwajcarii, jak zrobiłem maturę, miałem 17 lat. Zacząłem od przynoszenia, zamiatania, załatwiania taksówki albo bluntów dla Redmana. Potem pracowałem przy czyszczeniu sampli i mogłem poznać tych wszystkich ludzi, których chciałem poznać. Byłem najmłodszy tam, do tego biały, a oni głupieli, że ja w ogóle kumam hip-hop. Powiem ci, że czarnuchy nie lubią białasów ze Stanów, nie przepadają za nimi w każdym razie. Ale Europejczycy – zajebiste ziomy. Wyjechałem ze Stanów, bo studia tam były najdroższe. Przyjechałem do Polski. No i moje kolejne marzenia – powiedziałem kumplowi: „Dajmy mi dwa lata, ja tu wydam płytę". No i pojawił się Obóz TA, potem kolejne. Z tych moich marzeń zostały jeszcze dwa. Na razie, potem pewnie wymyślę nowe. W każdym razie – kolejna płyta producencka, nie hip-hopowa, żywe instrumenty, znane nazwiska – Krystyna Prońko, wstępnie zgodziła się Kayah, Halina Frąckowiak. No i kompletnie wyprodukowana przeze mnie płyta wokalistki r'n'b. Zobaczysz, zrobię to. A później stąd wyjadę. Albo nie wyjadę...



Historia, czyli Obóz TA. Umówmy się, pierwsza płyta przyjęta w Polsce raczej chłodno...
Mam to w dupie! Wiesz, dlaczego? Wiesz, co dla mnie jest najważniejsze? Teraz siedzimy u mnie, pijemy wódkę. Kiedy pójdziesz stąd, dla mnie najważniejsze będzie, żebym nie miał wyrzutów sumienia. Nigdy nie robiłem płyt po to, żeby się ludziom podobały, pod ludzi. Wiesz, co może mnie boleć? Ja mam w dupie, czy ktoś mnie lubi, czy nie. Możesz lubić Obóz albo nie, ale wydaliśmy pierwsi płytę z syntetycznymi brzmieniami, łamanymi beatami, żywymi instrumentami. I tego do dziś nikt nie może przyznać. Dwa lata po nas Fisz wydaje płytę, wszyscy się podniecają – żywe instrumenty. A pierwszy Obóz – saksofon, bas. I nikt o tym nie mówił, ani nie mówi.

Możesz mieć o to pretensję do mediów, ale przecież wiesz, jak jest z rapem. Zanim ludzie rozbiorą technicznie muzykę, ważniejsze jest pierwsze wrażenie, no i – a może przede wszystkim – forma raperów. Pod tymi względami pierwszy Obóz nie był albumem rzucającym na kolana.
Dla mnie do dziś ta płyta jest zajebista. Najbardziej ją lubię. Może dlatego, że była moją pierwszą? Zobaczyłem ją na półce w sklepie, zajarałem się. Mam do niej sentyment.

Sentymentu raczej nie mieli słuchacze...
Pogodziłem się z tym. Przecież się nie powieszę...

„Mam to w dupie", „pogodziłem się z tym", „nie zależy mi" – wiesz co, mam wrażenie, że Ty chyba traktujesz ludzi często „z góry". I że większość ludzi chyba Cię nie lubi...
Tak, tak właśnie jest.

I co, myślisz, że Ci to pomaga? „Pierdolente" sceny, na której się występuje, to chyba nie jest najlepsze rozwiązanie, biorąc pod uwagę bilans zysków i strat, z którym właściwie każdy artysta powinien się liczyć.
Ale ja nigdy nie powiedziałem, że pierdolę scenę! Kiedyś u Kuby Wojewódzkiego powiedziałem, że u Polaków są wady narodowe, które mnie wkurzają, jak choćby zawiść. Ok, powiedziałem to, ale czy myślisz, że nie ma wad narodowych, które mnie wkurwiają u Amerykanów czy Szwajcarów? Wiesz co? Jakbym chciał stąd wyjechać, to bym wyjechał. A że patrzę na ludzi z góry? Tak, ale to nie jest na zasadzie – wy jesteście do dupy. Ja po prostu za długo w tym siedzę. Prawda jest taka, że jeżeli chcę w tym kraju pogadać o rapie, to mogę to robić tylko z Druhem Sławkiem. Widzimy się często i mamy takie swoje pojebane oldskulowe akcje. Na pewno w tym kraju są też inni ludzie, którzy znają się na rapie, ale sorry – nie poznałem ich. Myślę, że to patrzenie się z góry to też jest taki system obronny. Wiesz co? Ja nigdy nie chciałem być prezenterem MTV. Był casting, byłem w Krakowie, a Arek Deliś mi powiedział – czemu się tam nie przejdziesz? Było w pizdu ludzi, ale wybrali mnie. Jestem rozpoznawany, ale nie jaram się tame'em. I uwierz mi, że są tacy ludzie, którzy podchodzą do mnie i mówią, że to, co robiłem i robię jest według nich naprawdę dobre. A mnie tak naprawdę zawsze interesowało i nadal interesuje to, żeby być producentem. Produkcja Red – napisane z tyłu płyty. Właśnie to.

Wróćmy jeszcze do Obozu. Pierwsza płyta – przyjęła chłodno; druga – podobnie.
Gówno prawda, nie zgadzam się. Drugi Obóz sprzedał się w ilości 3.500 egzemplarzy. Bardziej lubiani i szanowani raperzy sprzedają teraz mniej. Wszyscy się jarali klipem, nie spodziewałem się, że będzie tak ok. Pierwsza płyta przyjęta chłodno? Ok, zgadzam się, ale druga nie.

Ok, nie było chłodno, w takim razie zapytam inaczej – nie spodziewałeś się, że będzie lepiej?
Może i się spodziewałem, ale jest ok. Jestem zadowolony z tej płyty. Nagrałem ją z moimi ziomalami, napiliśmy się wódki, zagraliśmy kilka tajnych koncertów. Świetnie. Nie robię tego dla kasy, pieniądze mam z innych rzeczy. I nie zależy mi na uznaniu za wszelką cenę. Wszyscy pamiętają, że nagrałem kawałek z Varius Manx – „Red, ty palo, sprzedałeś się, ogórku..." Whatever, man. Nikt nie pamięta, że nagrałem kawałek z Humanizlikz. Wszyscy się jarali, jakie niszowe. Pieprzyć to. Przyjdzie do mnie ktoś, jakiś nieznany emcee, ze swoim beatem albo żebym ja coś dla niego zrobił – zrobię to. Muszę się po prostu zajarać. A kawałek z Varius mi się podoba, po prostu. Pracowałem z Robertem Jansonem, obserwowałem go. Ludzie mogą go lubić albo nie, ale ja się sporo od niego nauczyłem na temat pracy w studiu.

Nie gadajmy o Robercie Jansonie, pogadajmy o Spinache'u. To Twój ziom, ja to rozumiem, ale powiem Ci moją osobistą opinię – nie jest to, delikatnie mówiąc, jakiś wyjątkowo dobry raper. To ziomkowski układ, czy Ty może wciąż w niego wierzysz? Chodzi mi o jego umiejętności.
Mieszkałem w Krakowie, pod koniec 98 roku. Widziałem kilka koncertów polskich zespołów, WYP-3, Kaliber, chyba Molestę. I zobaczyłem Thinkadelic. Nie wiedziałem wtedy wiele o polskiej scenie i nimi zajarałem się najbardziej. To nie jest dis, że nie wiedziałem wiele o polskiej scenie. Oni po prostu świetnie bawili się na scenie, mieli ten rapowy flow, interakcję z ludźmi. Podszedłem wtedy do Spinache'a i dałem mu swoją starą demówkę. Tak się zaczęła nasza współpraca. Wiesz, są gusta i guściki. Ja sądzę, że Paweł wie, że wiele osób nie lubi go jako emcee, ale ja się jaram jego stylem. On ma ten vibe, odpowiedni dla mnie. Dużo można gadać o polskich emcees, o ich możliwościach, pozycji na rynku. Dla mnie najlepszy w Polsce jest Eis. Dla mnie ten koleś każdego zjada dupą, jest po prostu ponad wszystkimi tymi najlepszymi. No i co? Czy on coś sprzedaje w tym kraju? Wracam do Pawła – jaram się nim. jako emcee. I nagrałem z nim płytę, bo to jedyna osoba w tym kraju, którą znam najdłużej i nigdy się z nim nie pokłóciłem. Po prostu rozumiemy się, mamy wspólną jazdę muzyczną i pracuje nam się dobrze.

W starym Obozie było trzech liderów – Ty, Spinache i O.S.T.R. Z tym ostatnim nie łączą Cię teraz najlepsze stosunki. Do tego stopnia, że Adam pojechał z Tobą w swoim kawałku singlowym z ostatniej płyty.
Pierwszy raz usłyszałem to w necie, byłem wkurwiony dwie i pół minuty, po czym to olałem. On jest taki, jak ja – jest indywidualistą i ma mocną osobowość. Trzy lata byliśmy najlepszymi ziomami, mieszkaliśmy u siebie, trzymaliśmy się razem. Pożegnaliśmy się ze sobą źle, ale wydaje mi się, że tak po prostu musiało być. Mocne osobowości... Trochę z dupy było to, że on wie, że ja mu nie odpowiem. Bo jak? Ja rapuję po francusku, taka odpowiedź byłaby bez sensu. I wiesz co jeszcze? Wkurwiło mnie i było poniżej pasa to, że zarymował „Polaków nienawidzisz". To, że nazwał mnie burakiem czy coś – chuj z tym. Moja mama jest Polką, mam tu w chuj rodziny, przyjaciół, więc co on pierdoli? Mówię ci jeszcze raz – jakbym nie lubił Polaków, to by mnie tu nie było. Naprawdę nie jestem masochistą. A Adam gada o mnie pierdoły, jego sprawa. Na jakimś czacie pojawiła się jego wypowiedź, że boję się przyjeżdżać do Łodzi. Co? A gdzie nagrywałem płytę ze Spinachem? Przez pół roku bywałem w Łodzi trzy dni w tygodniu, normalnie poruszałem się po mieście. Zresztą, mam to w dupie, jestem ponad tym, ja mu dobrze życzę.

Mocna osobowość, o której wspomniałeś, przeszkadza czy pomaga w pracy artystycznej?
Ja zanim z kimś zacznę pracować, wszystko klarownie tłumaczę. Więc tu nie może być problemów.

No, ale konflikt osobowości może wyjść już podczas pracy...
Wiesz, jeżeli na przykład mówimy o moim projekcie Funktastic, to ja nie będę się wcinał w linie melodyczne takim osobom, jak Halina Frąckowiak, czy Krystyna Prońko. Mogę coś podpowiedzieć, ale nie będę się wcinał. Tu nie może być konfliktów. Z raperami faktycznie pracuje się trochę ciężej, nie zawsze są do końca profesjonalni, ale tu też daję radę.

Lubisz polski hip-hop?
Lubię. Mam kilka swoich płyt, których słucham naprawdę często. Sołówka Eisa, obydwie płyty Eldo... Wiesz, do dziś podoba mi się Elemer, naprawdę. Lubię pierwszy Thinkadelic, 600 Stopni Volta, ta, na której byłem, ale wcale nie z tego powodu... Uwierz mi, nie jestem narcyzem [śmiech] Warszafski Deszcz, choć tu bardziej rapowo, bo muzyka trochę pierdziała. HST – świetna płyta. Gural i Walt-E – tych dwóch kolesi ma prawdziwie hip-hopowy vibe, prawdziwi skurwiele. Oglądam Vivę!, słucham beatów, nie, naprawdę lubię polski rap.

Dobra, Red, co z Tobą będzie, człowieku?
Co by się nie działo, będzie muzyka. Bo wiesz, co? Wszystkie laski są piękne, ale muzyka jest najpiękniejsza...

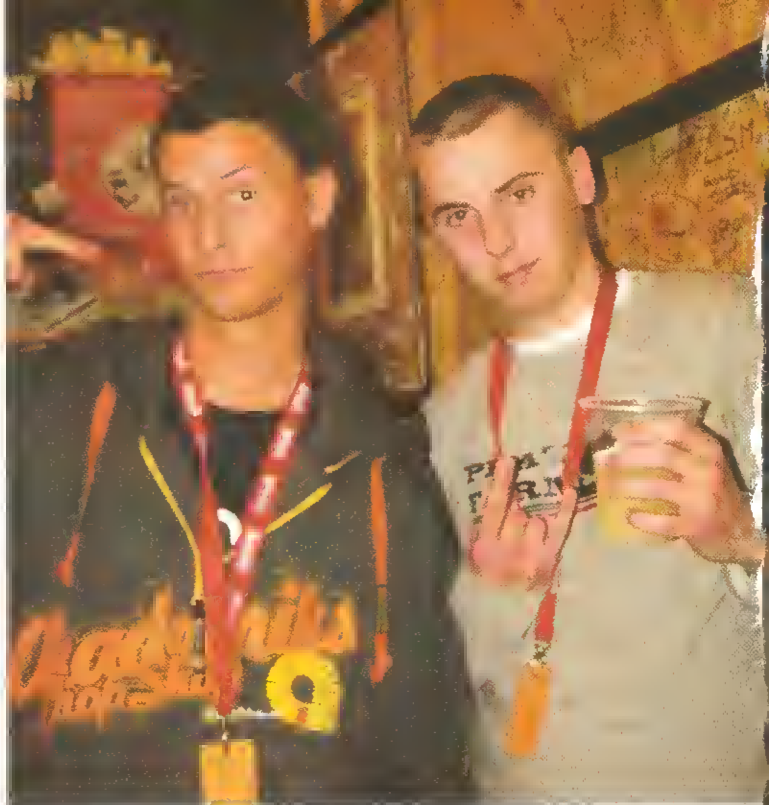
freestyle

tybet i dolar

lub lub nie lub

W tym numerze edycja działu „Freestyle" poświęcona będzie raperom z Lublina. Tybet i Dolar rok temu przedostali się do wielkiego finału WBW. Wtedy było to niespodzianką, teraz osiągnęli półfinał lubelskich eliminacji regionalnych w cuglach, ulegając dopiero przyjezdnym: Tetrisowi i Dioxowi. Pokazali, kto rządzi w mieście. Dolar dotychczasowe osiągnięcia ma całkiem wymierne: II miejsce na szczecińskiej „Sile Słowa", II miejsce na „Freestyle Session" w Częstochowie, czwarte na katowickiej „Freestyle Battle". Tybet zaś śmieje się: „Możesz napisać, że jestem hypemanem Nasa na koncertach w Europie", ma jednak na koncie udane nielegale, które odcisnęły swe piętno choćby na mixtape'ie SLG. Przeczytajcie, co obaj mają do powiedzenia

rozmawiał Flintstone (CS)
foto Emazet



Jak to jest, że rok temu Lublin, miasto bez składu na legalu, wyraźnie zaznaczył się na mapie freestyle'owej? To przecież w Lublinie, a nie np. w Białymstoku, odbywają się eliminacje dla wschodniej Polski.

Tybet: Na początku sprostowałbym, bo nic się tutaj nagle nie pojawiło. Gdyby się miało teraz pojawić, to dopiero za pięć lat ktoś przeszedłby eliminacje. Tymczasem od kilku lat to tu się wszystko prężnie rozwija. Do zeszłorocznego WBW przedostałem się ja i Dolar i nagle zwrócono uwagę na Lublin. A ludzie tu już długo tworzą kawałki i freestyle'ują po prostu tak dla zajawki. Przy okazji takich dużych bitew wychodzi na jaw, że ktoś jednak w Lublinie jest i może się godnie zaprezentować szerszemu gronu.



Dolar: Ludzie freestyle'ują od dłuższego czasu, ale nie ma zwyczaju, by jeździć na zawody. Ja i Tybet pojechaliśmy. I przeszliśmy dalej! Trzeba próbować, wykorzystywać szanse.

Kiedy rozmawiałem na temat zawodów freestyle'owych w tym mieście, reakcja była prosta – „O rany, będą się lać". Skoro iskrzy, zastanawiam się, czy wolny styl jest tu naprawdę wolny, czy aby nie musicie się pilnować.

Tybet: W żadnym mieście nie ma tak do końca wolności słowa. To zależy, na jakiego przeciwnika trafisz. Jeden jest hip-hopowcem z krwi i kości i rozumie pewne reguły. Wchodzi na scenę, zgadza się na konwenanse, które tam panują. A drugi nie. Jak mam z kimś battle, to biorę pod uwagę i takie opcje, że coś może się dziać. Nie wyczujesz tego. Wszędzie może być spoko i wszędzie może być problem.

Dolar: Nawet ja wspominałem, że tu mogą dziać się różne rzeczy. Dawno, dawno temu mieliśmy imprezę, która zakończyła się bijatyką. Sporo czasu minęło, ale myślę, że kultura hip-hopu nie rozwinęła się tu na tyle, żeby ludzie zrozumieli, o co chodzi. Dissowanie kogoś, punchline'y – to polega na tym, by wygrać ze sobą i ze swoją świadomością, a nie kogoś obrazić. Choć trochę się już w głowach pozmieniało, nie jest tak źle.

Jak ludzie są tu nastawieni – wolny styl to bardziej zabawa czy bitwa?

Tybet: Nie znam wszystkich ludzi, ale moi, że tak to ujmę, traktują to jako możliwość sprawdzenia się jako MC, zabawę, robienie czegoś, czego zwykły człowiek nie robi. Moje grono traktuje freestyle tak, jak powinno się go traktować, trueschoolowo. Rymujemy sobie, polepszamy skills, napędzamy się nawzajem, testujemy się.

Dolar: Wśród ludzi, z którymi ja rymuję, często ze sobą nawzajem robimy sobie towarzyskie bitwy, żeby się sprawdzić. Ja jestem wyznawcą teorii, że freestyle'em trzeba się bawić. Im mniej ostrych bitew, tym lepiej. Istotą tego są punchline'y, bawienie się flow jest dla mnie ważniejsze niż jechanie sobie.

Najgorsze tematy, na jakie trafiliście.

Tybet: Najgorsze? Powiem, że tu są lajtowe tematy. Na WBW z tematami generalnie mamy chillout.

Dolar: Ja miałem temat „Renata Beger". Nie jest trudny, ale na turnieju w Szczecinie się zamotałem. Pojechałem w sumie na temat, ale byłem zmęczony, a temat mnie dobił. Może dlatego, że zaczynałem. Gdybym odpowiadał, byłoby lepiej. Prosty temat mnie zabił, spodziewałem się czegoś trudniejszego.

Trzy beaty, pod które najbardziej lubicie nawijać.

Tybet: Takie, których wcześniej nie słyszałem. Nie lubię do freestyle'u beatów typu „ching ching" i „bling bling", przy nich lepiej jest baunsować z fajną kobietą. Do rymowania preferuję tłuste undegroundy instynktownie ruszające głową. Do nich łatwiej nawijać.

Czyli bez konkretnych przykładów...

Tybet: Teraz ci nie powiem, bo dasz mi odwrotne. Nie bawimy się w takie rzeczy. Lubię plastiki i baunsy (śmiech).

Dolar: Jak dla mnie klasyka. Cokolwiek by wpadło z Kurtisa Blowa, bo uwielbiam starą szkołę. Oprócz tego Gangstarr „Full Clip" i moje ulubione „What's Golden" Jurassic 5.

Tybet: Ja mogę jeszcze zafreestyle'ować do „Przestrzeni" Donia (śmiech).

Czy pamiętacie jakieś bitwy między sobą?

Tybet: Nie battlowaliśmy się, może dzisiaj nam się uda. A jak nie, to się ustawimy jutro.

Dolar: Dokładnie! Tak to jakoś wychodziło, że się nie mierzyliśmy.

A postawilibyście na samych siebie pieniądze?

Tybet: 50 centów...

Dolar: Zależy, na kogo bym trafił. Postawiłbym wszystko, ale nie postawiłbym swojej ukochanej dziewczyny. Nie wiadomo, w jakiej byłbym formie.

To dopiero eliminacje, ale gdybyście mieli porównać atmosferę zeszłorocznego i tegorocznego WBW.

Dolar: Myślę, że jest o wiele lepiej. Rok temu było mniej ludzi, którzy wiedzieli, o co chodzi. Wychodzili i nie potrafili nawet używać mikrofonu. Poziom jest wyższy, zakres eliminacji szerszy. Jest trudniej... i coraz lepiej.

Tybet: Teraz jesteśmy w Lublinie, jest więc swojsko, ciekawsza atmosfera. Sam fakt, że nie musisz gnać stu pięćdziesięciu kilosów w jedną stronę do Warszawy tylko po to, żeby sobie pofreestyle'ować, to spore ułatwienie. Tutaj jest spoko. Bardzo mi się podoba. Pozdrawiam Lublin!

A teraz szczerze... Kto wam się podoba, kogo szanujecie, a kogo uważacie za przereklamowanego.

Tybet: Z ludzi, którzy mnie rozpieprzają, to tak naprawdę tylko Ostry. Dla mnie nie chodzi o to, by krzyczeć do majka i raz na jakiś czas wykrzyczeć coś fajnego, co akurat publika załapie. Dla mnie ważne jest wszystko – flow, słowa, punche, wszystkie te elementy. Z tego, co słyszałem, to łączy to fajnie właśnie OSTR. Mogę sobie również posłuchać Tetrisa i Dużego Pe. Tym samym zdefiniowałem swój gust. I oczywiście siebie bardzo lubię słuchać! Tybet jest zajebisty! (śmiech) Natomiast nie podoba mi się freestyle Proceente, Rufina – jadą gdzieś poza beatem i za często białym wierszem. Jakby jechali a capella, to może i brzmiełiby fajnie. Freestyle Awers to też nic ciekawego.

Dolar: Jeśli chodzi o zachód, to na pewno Jin (maskotka Ruff Ryders – przyp. red.) i Postaboy (młody wariat, bodajże z południa Stanów, klejący bezczelne linijki oparte na podwójnych rymach – przyp. red), jest dwóch super zawodników z Nowego Jorku. W Polsce zaś dwóch najlepszych to Tetris i Pan Duże Pe. Nie słyszałem Pogo, ale patrząc po jego dokonaniach, myślę, że mogę go polubić. Co do osób przereklamowanych – będę brutalny, ale Awers One. Nie startuje nigdzie, duży szum jest wokół niej. Gdyby pokazała, jak jest dobra, może byłoby to bardziej prawdziwe. A tak naprawdę osób przereklamowanych na polskiej scenie freestyle'owej w zasadzie nie ma. Po prostu potrzeba nam większej promocji wolnego stylu zamiast eksponowania samych freestyle'owców w takim stopniu.

Wiem, co robicie na wolno. Powiedzcie mi więc na koniec, co robicie na szybko (śmiech).

Dolar: Jest kilka rzeczy, które robię na szybko (śmiech). Jedną z nich jest z pewnością jedzenie: dużo, szybko i oczywiście niezdrowo. Czasami się szybko denerwuje, ale staram się z tym walczyć. Szybko straciłem głowę dla swojej dziewczyny (śmiech).

Tybet: Szybko to mogę zrobić wokół siebie zamieszanie (śmiech).



moja dzielnica

Sidney polak

chomiczówka, chomiczówka

Przy odwiedzaniu Warszawy realizuje się turystyczny standard typu Starówka – Łazienki – Wilanów i człowiek uważa, że widział wszystko. Zapomina się o urokach starej Pragi czy Żoliborza. Zapomina się też o Chomiczówce – i w tym wypadku ma się absolutną rację. Przechodząc z jednego podwórka w następne mija się takie same bloki różniące się tylko stopniem wyremontowania i nawet wielkie blaszane pawilony sprawiają

tekst Flint (CS)
foto Wiedźma Cess

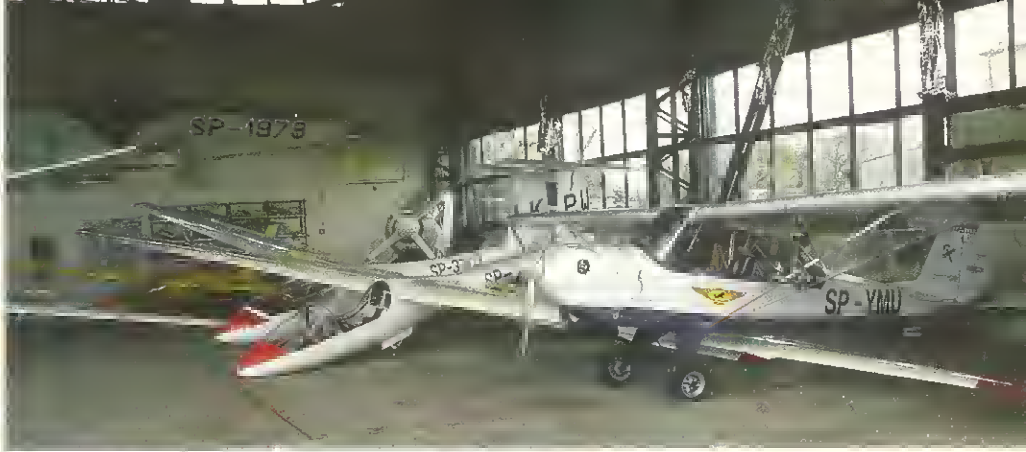
„Najważniejszą rzeczą jest to, że Chomiczówka jest na maksa normalna. Jej cechą naczelną jest to, że nie ma tu nic niezwykłego" – mówi nam Sidney Polak, 33-letni perkusista T. Love, a zarazem gość, który skomponował i napisał sobie solowy album oparty w sporym stopniu o patenty charakterystyczne dla hip-hopu i reggae. Jeden z mocno granych i świetnie znanych przebojów pochodzących z tej płyty nieprzypadkowo nosi nazwę jednej ze stołecznych dzielnic. Choć artysta mieszka obecnie na Tarchominie i mówi, że za kilkanaście lat i on doczeka się analogicznych hymnów pisanych przez kolejne pokolenie, nie trzeba go namawiać, żeby zostawił „księżycowy krajobraz" i wrócił z nami na stare śmieci. „Typowe osiedle gierkowskie zamieszkane przez ludzi pracujących kiedyś w Hucie Warszawa, najzwyklejsze, ani przesadnie slumsowate, ani specjalnie bogate. Takich są tysiące. Mój sentyment do hip-hopu, mentalny związek z nim, spowodował, że zdecydowałem się o czymś takim napisać. Lokalna piosenka o moim dawnym osiedlu okazała się uniwersalna, bierze i roztkliwia ludzi w moim wieku. Ktoś fajnie powiedział, że jest 'inicjacyjna', nikt jeszcze takiej nie napisał. Kiedy jesteś małolatem, nasiąkasz jak gąbka, dopiero później wytwarzasz wokół siebie skorupę".

◆ Marii Dąbrowskiej 21

„To jest ta część Chomiczówki, na której się wychowałem" – informuje nas Sidney, stając pod swoim byłym domem. Drzewa przysłaniają nieco pomalowane na egzotyczne barwy, wyglądające jak wielkie sztaby lodów owocowych budynki. Dzieciaki kręcą się z wrzaskiem wokół ciężkich stołów pingpongowych. Niby sielanka, ale rodzinny blok widział trochę tragicznych historii. Choćby znana z piosenki „Pierwsza śmierć widziana na własne oczy". „Z jedenastego piętra wypadł człowiek i spadł centralnie na beton. Wtedy po raz pierwszy widziałem mózg, który na żywca wylał się z pękniętej głowy. Był to fotograf, który przyszedł fotografować młodszą siostrę mojego kolegi. Kolega czekał na rodzinę, ta nie spieszyła się, powoli wracała z kościoła, było sporo czasu na cykanie fot. Typ chciał złapać odjechane ujęcie wychylając się z okna i spadł z całym sprzętem". W niedalekim sąsiedztwie Sidney złamał sobie rękę, o czym z kolei przypomina wers o „pogruchotanych kościach". Krwiożercza to okolica – z masakr mamy jeszcze otwarte złamanie uda na boisku szkolnym podczas polekcyjnej gry w piłkę, z drobnych potyczek trochę sińców oraz zadrapań po „solówach" na pobliskim trawniku. Wreszcie zatrucie wywołane zjedzeniem całej żywicy wyciekającej z okolicznych drzew. „Mieliśmy po 11-12 lat i bandę, która nie wiedzieć czego nazywała się STRA. Kolo starał się do niej dostać, ale Beta, przywódca, powiedział mu, że jest za słaby. Znałem go, mieszkał na 10. piętrze. Zapytał o sposoby na bycie silnym, tamten mu wcisnął kit, że musi jeść dużo żywicy...". Jest też minikatastrofa lotnicza: „W 1976 szybowiec rozpierdzielił się na bloku, ale to znam tylko z opowiadań" – deklaruje nasz przewodnik.

◆ Blaszak

Mistrzowska to jest tu tylko nazwa ulicy w pobliżu, ale nawet średni widok da się zepsuć. Na przykład za pomocą sterty ponurego żelastwa uformowanego w niezgrabny klocek. Zaglądamy do jego bebechów. W jednym rogu zsypane są śmieci. O wystającą klamkę pomalowanych na gryzący niebieski drzwi zaczepiono starannie reklamówkę z zeschniętym pieczywem. Wiadomo, Polak (nie imputujemy niczego Sidneyowi, tym razem chodzi o narodowość) może być niechlujem, ale chleba ot tak nie wyrzuci. Dalej królują odrapane skrzynki, porzucone kontenery, ale przede wszystkim czuć przytłaczającą, ołowianą szarość zewsząd otaczającej nas blachy. Ponuro





kontemplujemy, aż w końcu wychodzi sklepowa o nieufnym spojrzeniu, jakby podejrzewała nas o szpiegostwo przemysłowe. Tłumaczymy, że robimy reportaż o dzielnicy. Rozgląda się dookoła i zerka na nas półdrwiąco. Nic a nic nam nie wierzy. I trudno się dziwić, kto by chciał to oglądać i o tym czytać. Nic bardziej mylnego – z każdym paskudztwem da się powiązać ciekawe wspomnienia. Np. tu właśnie Sidney bił butelki – ot tak zupełnie po nic, bezmyślnie, dla hecy. Włazimy po schodach oblazłych już z marnej farby i stajemy przed otwartymi drzwiami lokalu, wizyty w którym nie życzymy nawet przeciwnikom – stomatologa. Ale wyrwiząb nie rezydował tu od zawsze... „W naszym blaszaku za czasów komuny znajdowały się dziwne miejsca i instytucje. Na przykład był tu Empik, który w owych czasach stanowił czytelnię. Można w nim było nawet dorwać zachodnią prasę, oglądało się jakiegoś „Sterna" czy coś. Oczywiście pamiętam, że najczęściej czytaliśmy „Razem" i „Na Przełaj". Najważniejsze jednak, że był tu klub „Praktyczna Pani" mający za zadanie jednoczyć gospodynie domowe i uczyć je domowych obowiązków, tak żeby mężowie nie bili za bardzo. Można było nauczyć się szydełkować czy też haftować, pamiętam trzy ogromne suszarki do trwałej, ale najważniejsze, że pani kierowniczka umożliwiła próby pierwszego naszego zespołu. W 1988 dostałem od mamy perkusję, którą rozstawiłem w domu, a po kilku miesiącach przeniosłem ją właśnie do „Praktycznej Pani". Często zamiast iść do szkoły zawijałem właśnie tutaj, bębniłem, ćwiczyłem. Mieściło się tu również miniprzedszkole. Raz zasłuchany w muzykę na słuchawkach i wpatrzony w swoje ręce nie zauważyłem, że perkusję oblazły mi dzieci. W pewnym momencie połapałem się, że mój bęben basowy, czyli tzw. taktownik brzmiał nieco inaczej. Okazało się, że dziecko centralnie mi do tego bębna weszło." – wspomina muzyk.

◆ Szkoła

„Przez pierwsze 3 lata chodziłem do szkoły nr 80 przy ul. Aspekt, potem wybudowano nową. Była zwykła, nic specjalnego, może poza szczepem 305 pod wodzą Jurka Wartenberga. Był na tyle prężny, że organizował obozy i tak dalej. Harcerstwo było jedyną tak naprawdę fajną rozrywką – rajdy wędrowne, rowerowe, pobyty w Puszczy Kampinoskiej, wyjazdy wakacyjne, zimowiska. Za jego sprawą mieliśmy też wyposażoną salę prób. Grał tam pierwszy zespół punkowy, a w nim perkusista, nieco starszy ode mnie. Wychodząc ze szkoły, słyszałem przez kraty umieszczonej w podziemiach harcówki, jak gra. Później zakochałem się w dziewczynie stanowiącej w szkole podstawowej obiekt mojego największego pożądania, która następnie została moją żoną. Wpisała mi kiedyś w „złotych myślach", że ma sympatię, a sympatia ta gra na bębnach w naszej budzie. To zadziałało na mnie jak płachta na byka. Niebawem miałem perkusję. A po dwóch latach zacząłem grać w T. Love, zatem mi się poszczęściło. To był wynik ośmiogodzinnych, codziennych ćwiczeń. Krew mi leciała z paluchów, byłem zawzięty, miałem dobrą motywację" – mówi artysta, stojąc na betonowym boisku przy małych schodkach z ukruszonymi brzegami stopni na tle ściany z lepszym bądź gorszym graffiti. Do takiego wizerunku szkoły przyzwyczaił nas już ów cykl, choć rzadko kiedy wszystkie odwiedzane miejsca były tak bardzo na kupie. Tymczasem tu bliziutko jest nawet budowany przez strasznie długi czas kościół. Religii uczono Sidneya w baraku na jego tyłach. To pewnie również pamiętacie z „Chomiczówki". Co warto wiedzieć, w tej piosence wszystkie historie są prawdziwe. „Jedyną ściemą jest to, że nigdy w życiu nie miałem motorynki. Chciałem mieć bardzo, w tamtych czasach to był max, ale rodziców nie było stać na tego typu prezenty. Jeździliśmy za to na deskach, innych niż w tej chwili – pomarańczowych, wąskich, oldschoolowych na maksa. Niespecjalnie dało się wykonywać na nich ewolucje, ale ruszaliśmy z miejsca, wychodziły nam przekładańce" – śmieje się.

◆ Lotnisko

Są jednak w odwiedzonej dzielnicy rzeczy wbijające się w pamięć głębiej niż zapiaszczone boisko z malutkimi bramkami. Po pierwsze, rolę klombów przejęły tu opony wypełnione ziemią, porośnięte czymś zielonym, zaśmiecone, bezlitośnie posprayowane z zewnątrz. Po drugie, niebo co rusz przecinają szybowce lądujące bardzo niedaleko. Nasz gość miał okazję takich atrakcji zakosztować i chwali je sobie: podobno człowiek czuje się jakby jego rozłożone ręce zamieniły się w skrzydła. Zainteresowaliśmy się na tyle, by specjalnie odwiedzić lotnisko. I wysiłek zostaje wynagrodzony – kiedy kierujemy się tam właśnie, Chomiczówka staje się dość barwna. Pracownik warsztatu samochodowego tuż przy osiedlowej ulicy na małym, benzynowym najpewniej grillu przysmaża sobie na obiad kiełbasę. Miejsce geometrycznych brył zajmuje zróżnicowana zabudowa, widać nawet biedniutkie, drewniane domy... Na teren lotniska dostajemy się bez najmniejszego problemu, bo to nie żaden gęsto zaludniony port, tylko spokojne miejsce skupiające głównie łanów skromnych pojazdów latających pokroju dominujących w terenie i hangarach szybowców. Kiedy przyglądamy się im z bliska, odzywa się do nas uroczy starszy człowiek. Niemniej spokój i dobrotliwy uśmiech mijają, kiedy zaczynamy rozmawiać o konkretach. To jedyny taki obiekt w Warszawie, a wiele osób z władzami miasta na czele podobno myśli tylko, jak go wydrzeć i „zagospodarować". „Kto tu zaczyna przychodzić, ten będzie przychodzić ciągle. Chodzi o przestrzeń. Ale ludzie nie widzą tego, że takie miejsca dają im pilotów, którzy potem pozwalają im szybko się przemieszczać. Uważają, że trzeba pozwalać na zapełnianie przestrzeni blokami i supermarketami" – żali się, jak ktoś świadomy tego, że jego zdanie jest tylko gorzkim żalem niemogącym zmienić stanu rzeczy. Sidney Polak bardzo chciałby wrócić do swoich powietrznych doświadczeń. Pozostaje mieć nadzieję, że będzie miał okazję zrobić to tutaj, że lotnisko przetrwa. I będzie mógł popatrzeć z góry na swoją starą Chomiczówkę...

raekwon
jestem królem

Corey Woods aka Raekwon the Chef jest jednym z głównych fundamentów, na których została zbudowana potęga całego Wu-Tang Clanu. Poprzez solowy dorobek także udowodnił odbiorcom, że jest w stanie sam obronić się swoją muzyką

rozmawiał Michał Kowalski
foto Anna Bloda

Od momentu, kiedy zobaczyłem Raekwona na próbie przed warszawskim występem, wiedziałem, że będzie to jeden z tych koncertów, które na długo zostają w pamięci. Z wielkich głośników zaczęły wydobywać się mocne basy i znane wszystkim fanom tracki: „Incarcerated Scarfaces" czy „4th Chamber", a do tego żywy głos Chefa. Rae podczas rozmowy był trochę zmęczony po doskonałym koncercie, w który włożył dużo serca. Odmówił występu w telewizji i nie udzielił wywiadów wszystkim, którzy na to liczyli. Sam mówi o sobie, że jest jak Robin Hood – zabiera bogatym i oddaje biednym. Broni się przed nieuczciwością i niesprawiedliwością. Dba i troszczy się o ludzi. Jest dostawcą dobrego przekazu. Wystąpi na solowej płycie Capone'a (CNN). Z kolei producentem wykonawczym jego nadchodzącego albumu będzie Busta Rhymes.

Co oznacza pseudonim Sallah Raekwon?
Sallah Raekwon reprezentuje mnie. To moje islamskie imię. Interesuje mnie filozoficzne odniesienie tego terminu. Nigdy tego nie zrozumiesz. Poza tym zajęłoby mi to zbyt dużo czasu, żeby otworzyć ci oczy. Pokrótce oznacza to mój majestat. Jestem królem. Wiesz, o co mi chodzi? Kimś wielkim. Termin Chef (szef kuchni – przyp. red.) określa mój liryczny flow, który posiadam. Wchodzę do kuchni i gotuję, tak samo jest z moim hip-hopem.

Czy publiczność widzi Cię ciągle jako gracza Wu-Tang czy bardziej jako solowego wykonawcę?
Zadebiutowałem jako freestyler, bardzo dawno temu. Dokładnie jako trzynastolatek. Nigdy nie miałem zeszytu, w którym notowałem swoje teksty. Zapisywałem je na kartkach albo pudełkach po pizzy. Będę graczem Klanu przez całe życie. Wu-Tang na zawsze. To, że stale jesteśmy zajęci swoimi projektami, że każdy z nas wykorzystuje swoją szansę, żeby zrobić coś nowego, przynieść więcej żywności do stołu, wcale nie koliduje z naszą kolejną zbiorową produkcją.

Jak narodziła się bliższa współpraca z Ghostface'em? Dlaczego akurat on stanął na Twojej drodze?
Ja i „Duch" mamy podobne zainteresowania. Dorastaliśmy razem w sąsiedztwie blokowisk. Kiedy śmialiśmy się z czegoś, dużo osób nie było w stanie złapać, o co nam chodzi. Natomiast snując plany na przyszłość, nikt nie widział tego realnie. Każda nasza współpraca, każdy utwór płynie prosto z naszych bogatych wnętrz. Już po naszym debiucie zostaliśmy od razu zaakceptowani, ponieważ czuliśmy to, co robimy.

Zamierzasz wydać drugą część „Cuban Linx". Niecierpliwość nakazuje mi spytać, jaką obsadę przewidziałeś w tym przypadku?
Kogo usłyszysz? Hehe. Wiesz, o co chodzi, usłyszysz tam część Wu-Tang Clanu. Usłyszysz mnie. Usłyszysz specjalne osoby. Nie zdradzę imion, ponieważ nie chcę psuć efektu misterium. Uświadczysz dużo dobrego od samego mnie – ujmij to tak. Chciałbym powiedzieć o wielu rzeczach, które tam się pojawią, ale nawet detale nie mogą zostać poruszone w wywiadzie. To musi spaść nagle i samo z siebie.

Masz kilka nienaruszonych koneksji na zachodnim wybrzeżu. Cieszysz się też szacunkiem u wielu tamtejszych wykonawców. W jakim stopniu życie raperów pokazane w utworze, który nagrałeś razem z Tashem z grupy Alkaholiks nawiązuje do rzeczywistości?
Mnie i Tasha zjednała wspólna wytwórnia. Mowa tu oczywiście o Loud Records. Poza tym jest to mój przyjaciel. Zaprosił mnie na ten track, ponieważ jest fanem mojej pracy i vice versa. Współpraca wzmocniła nasze stosunki werbalne. Dzięki temu faktem jest przyszła praca przy naszym materiale. Także Slick Rick jest mi bliską osobą. Jestem jego wielkim fanem. Wierzę, że pewnego dnia zbierzemy się i stworzymy razem coś wielkiego. Jestem gotowy przystąpić do tego projektu. Ci, którzy wiedzą, którędy mają iść, nie muszą martwić się o przyszłość.

Skoro zeszliśmy na tematy personalne, nasuwa się pytanie związane z promowaniem przez Ciebie pierwszego etapu w showbusinessie La The Darkmana. Byłeś obecny na jego pierwszych audycjach radiowych, gdzie swoim stylem wolnym dusił wiele dobrych produkcji z tamtego okresu. Mimo to po mocnym uderzeniu „Heist of the Century" wszystko bardzo szybko przycichło. Nawet jego kolejne LP...
Jest cały czas aktywny i idzie swoją drogą. Aktualnie zajmuje się realizacją swojego nowego krążka. Jeszcze nieraz o nim usłyszycie.

Liczyłem, że dzisiejszego wieczoru zagrasz „Spring Water".
Taa, wspólny udany utwór. Do tego video. To było gorące gówno. Grali to często na południu i na zachodzie. Mniej w samym NY. To smutne.

Czy w Stanach był to komercyjny track?
A w Polsce został tak odebrany? Zrobiliśmy to 6 lat temu, ja i Darkman, który cały czas jest mi bliski. Zagrał przede mną wiele supportów. Nie upolitycznia swojej liryki. Widuję go często.



Czy osobiście jesteś zdania, że wykreowałeś Mobb Deep?
Zrobiłem z nimi wiele tracków na płyty, mixtape'y i inne gówno, poza tym cały czas jesteśmy w dobrych stosunkach, dzwonimy do siebie, spotykamy się, załatwiamy sprawy. Jesteśmy jak bliska rodzina. Reprezentuję czarnuchów pochodzących z tej samej wytwórni, co ja. Jesteśmy w pewnym sensie jednością twórczą. Robię też wiele gówna z moim czarnuchem Havokiem. Dobrze się rozumiemy. Jest pełen podziwu dla mojej muzyki, zrobił i robi wiele bitów dla mnie. Przyszłość pokaże efekty tej współpracy.

Co oznacza określenie „Investigive Raports"?
Wjechałem do studia w ostatniej minucie. Kawałek był już prawie gotowy. Miałem coś do powiedzenia, więc dograłem swoją zwrotkę. Wszyscy jednostronnie stwierdzili, że powinienem wejść jako pierwszy. To jest coś, co będę pamiętał. W studio był wtedy obecny cały Klan.

Czy rzeczywistość, jaka jest przedstawiona w klipie „The Worst", będzie miała miejsce na ziemi?
Schodzimy coraz głębiej w przeszłość. Jest to kawał szalonej klasyki. Rzeczywistość sama w sobie prowadzi do takiego obłędu.

Poprzez liczne trasy i koncerty miałeś okazję zwiedzić najdalsze zakątki ziemi. Jaką wyniosłeś dzięki temu naukę?
Przestudiowałem historię wielu krajów, w których miałem okazję być. Tamtejszych kultur, budownictwa, religii i wszelkich dóbr. Ktoś taki, jak ja, kto przyjechał z Ameryki, chciałby się dowiedzieć faktów dotyczących polskiej kultury. Chciałbym porozmawiać i pogłębić swoją wiedzę na temat komunizmu, który miał u was miejsce. O ludziach, którzy dzielnie walczyli o swoje prawa przez wiele lat. Każdy dorosły i dojrzały człowiek potrzebuje wiedzy. Nauka jest podstawą egzystencji ludzkiej.

Kim jest Lex Diamonds, czy jest to postać z gangsterskich filmów?
Wcieliłem się w tę postać z początkiem mojego wejścia do całej tej gry. Lex Diamonds to osoba z półświatka kryminalnego. To postać, która ma na koncie wiele wykroczeń, a mimo to zawsze zdołała uniknąć wymiaru sprawiedliwości. Nigdy nie udało się im położyć na nim ręki. Nie potrzebuję specjalnych scenariuszy, ale interesuję się m.in. samochodami i diamentami, więc nazwałem się Lex Diamonds. W dzisiejszych czasach, jeżeli nie masz pieniędzy, mocy i nie masz respektu, jesteś uważany za nikogo. Kiedy pojawiłem się na hip-hopowej scenie po raz pierwszy jako Lex Diamonds, stałem się respektowaną osobą jako człowiek i jako MC w całym tym biznesie. Gdy wyszło „Cuban Linx" cały świat dowiedział się, kim jestem i skąd pochodzę.

Jak widzisz najbliższą przyszłość?
Jest nieprzewidywalna. Czeka mnie wiele tras koncertowych związanych z „Cuban Linx part two". Nadchodzi wiele zapowiedzianych rzeczy prosto z mojego obozu. Szykuje się wiele wydarzeń, na które musisz być gotowy. Wiesz, o co mi chodzi?

Jakim człowiekiem jest Corey Woods w życiu prywatnym?
Jest to dorosły, dojrzały człowiek z potężnym nakładem energii, z wielką pasją płynącą prosto z jego serca. Potrafi docenić wszystkich twórczych ludzi znajdujących się w tym biznesie. Dojrzałość pozwala mu docenić wszystkich swoich fanów na całym świecie. Wyśnił sobie swoją pozycję w hip-hopie.

Czy Twój utwór z albumu „Immobilarity" pt. „Casablanca" ma jakiś związek z filmem o tym samym tytule?
Nie nawiązywałem do tej pozycji. Tutaj jestem tylko ja. Ja przy stole. Niech nazywają to, jak chcą. Niektóre bity skłaniają mnie do takich refleksji. Kiedy to usłyszałem, wiedziałem, że ochrzczę go „Casablanca".

W jakiej kondycji znajduje się Cream Team?
Ice World – to nowe oblicze Cream Team. Ciągle dorastają i robią to, co do nich należy. Przyszłość pokaże ich drogę.



DOBRY POMYSŁ na życie

Maj 2005

Decyzja jest TWOJA...

Realizować siebie

Pomagać ludziom

Życie w wielkim mieście

Realizować siebie

Niewiele dziedzin daje tak szerokie pole do realizacji własnych marzeń i pasji, jak przemysł reklamowy. Jest to przy tym niewyobrażalne źródło władzy, które dzięki potędze mediów, wyobraźni twórców i ich umiejętności posługiwania się manipulacją pozwala na kreowanie niezależnej rzeczywistości. Trzeba przy tym wiedzieć, że promocja daje zatrudnienie osobom o skrajnie różnych predyspozycjach i osobowościach.

Planista

Podstawą efektywności reklamy jest precyzyjne planowanie. Przemysł reklamowy zatrudnia ogromną rzeszę specjalistów zajmujących się prowadzeniem badań rynku i mediów, analizowaniem zgromadzonych danych, wnioskowaniem oraz wykorzystywaniem takich opracowań w postaci założeń co do cech docelowych odbiorców przekazu i planowania publikacji w mediach.

Szalony artysta

W reklamie szczególne miejsce odgrywa oryginalność pomysłów i sposobów ich realizacji, niekonwencjonalne podejście do produktu i konsumenta. Także zakres tworzenia jest bardzo szeroki i obejmuje tak pisanie wszelkiego rodzaju tekstów (od sloganów, przez wierszyki, a skończywszy na poważnych tekstach technicznych), realizację dźwięku (w tym nagrań muzycznych), grafikę, fotografię, film, aż po projektowanie stron WWW i aplikacji komunikacyjnych.

Sprawny manager

Reklama wymaga także systematycznych i dobrze wykształconych organizatorów. Żadna kampania reklamowa nie obejdzie się bez organizacji wydarzeń promocyjnych, artystycznych i charytatywnych, wymagających zaplanowania i przypilnowania. Obcowanie z artystami i sportowcami to radość, ale i ciężki obowiązek. Promocja produktów obejmuje w końcu także sponsoring, organizację dni otwartych, degustacji, konkursów i loterii.

Skuteczny negocjator

W dziedzinie promocji niezbędni są także specjaliści w dziedzinie kontaktów interpersonalnych, którzy są odpowiedzialni za budowanie korzystnych stosunków z mediami w celu publikowania w nich informacji i opinii. Ich obowiązki obejmują także porozumiewanie się z władzami w celu odpowiedniego kształtowania prawa, rozwiązywanie konfliktów zewnętrznych (z konsumentami i dostawcami) i wewnętrznych (z pracownikami i związkami zawodowymi), zażegnywanie sytuacji kryzysowych.

Każdy ze specjalistów w dziedzinie reklamy musi posiadać bardzo precyzyjny zakres wiedzy i ukształtowane umiejętności zawodowe, aby być gwarantem skuteczności całego organizmu przedsiębiorstwa. Kształcenie ludzi reklamy to trudny i długotrwały proces. Jedyną uczelnią zawodową w Polsce prowadzącą studia w specjalności „reklama" jest Wyższa Szkoła Promocji w Warszawie.

Doradztwo personalne

Pomagać ludziom

Wiele jest takich zawodów, do których nie wszyscy się nadają. Jednak nie jest prawdą, że są ludzie nieprzydatni do żadnej pracy.

We współczesnym świecie kreowana jest moda na spektakularne talenty, przebojowość, łatwe osiągnięcie sukcesu. Co mają robić osoby, które charakteryzują się zupełnie innymi cechami: nie mają wybitnych zdolności w żadnej dziedzinie, ale wbrew modzie są pracowite, nie są nastawione na szybką i błyskotliwą karierę, ale chętnie myślą o innych, są gotowe pomagać i rozwiązywać cudze problemy, ponad pęd za pieniądzem wyżej cenią przyjaźń, dobre relacje z innymi ludźmi i satysfakcję z drobnych sukcesów? Rada nie jest prosta.
Takie osoby także powinny wybierać studia i zawód pod kątem własnych predyspozycji. Jednym z rozwiązań jest praca doradcy personalnego, który w przedsiębiorstwie jest odpowiedzialn[y] za kształtowanie relacji międzyludzkich, selekcję i zatrudnienie nowych pracowników oraz ich rozwój. Taką pracę wykonują absolwenci specjalności „zarządzanie zasobami ludzkimi" Wyższej Szkoły Promocji. Dzięki intensywnemu i dostosowanemu do wymogów rynku pracy kształceniu prowadzonemu przez najwybitniejszych nauczycieli akademickich i praktyków takie osoby znalazły zatrudnienie w działach personalnych wybranych przez siebie przedsiębiorstw. Stało się to także dzięki bardzo wysokiemu poziomowi prac dyplomowych oraz praktykom i stażom, podczas których udowodniły swoją wartość i przydatność dla pracodawcy. Bo pomimo mody na sukces, także n[...] ba zapracować

Oceń siebie

Każdego dnia podejmujemy wiele decyz[ji] ja[k] się ubrać, na który film pójść do kina, masło czy margaryna. Dokonujemy wyboru, które rozwiązanie jest dla nas lepsze i jakie będzie miało konsekwencje. Wiele naszych wyborów ma znaczenie tu i teraz, ale są decyzje, które maj[ą] [...] wpływ na naszą przyszłość, n[p.] [...]d dotyczące wyboru szko[ły] [...]ej i zawodu.

WOOPS

Ankieta, którą zamieszczamy na naszej stronie została przygotowana z myślą o maturzystach. Składa się z kilkunastu pytań, po wypełnieniu których otrzymasz informację, jaki typ szkoły byłby dla Ciebie najodpowiedniejszy i w jakich zawodach najlepiej byś się sprawdził.

www.woops.pl

Czy pamiętasz jeszcze swoją Studniówkę?

100DNIOWKA.PL

[...] chcesz ją pamiętać za miesiąc i pół roku?
Cz[y chce]sz wspominać czasy liceum już po odebraniu matury?
[Chce]sz nadal być w kontakcie z kolegami ze szkoły?

Podziel się swoimi wspomnieniami ze studniówki i umieść zdjęcia [z] niej w bezpłatnym serwisie 100dniowka.pl

[Od]wiedzaj go regularnie, uzupełniaj i sprawdzaj, [co] mają do powiedzenia na [te]mat Twojej studniówki.

Dajemy do Twojej dyspozycji miejsce dyskowe.

Możesz tu umieścić teksty, zdjęcia i filmy.

Możesz wymienić się uwagami na niemoderowanym forum.

www.100dniowka.pl

Pełnoletność i matura. Te dwa elementy sprawiają, że o swoim życiu i przyszłości możesz myśleć inaczej niż dotychczas. Masz prawo do samodzielności, ale korzystaj z niej odpowiednio, tak, aby w przyszłości tego nie żałować.

Decyzja jest TWOJA...

Podejmując decyzję o dalszej drodze życiowej powinno się kierować swoimi zainteresowaniami i predyspozycjami. Co do tych pierwszych - życzymy Ci wykonywania w przyszłości pracy, którą polubisz i która będzie stanowić dla Ciebie źródło satysfakcji i inspiracji. W tej sferze nie ma ograniczeń i nawet najdziwniejsza praca nie hańbi. To może być praca z ludźmi, organizacja różnego rodzaju przedsięwzięć, badania naukowe, i wiele innych form aktywności, w tym także sport, rozrywka czy inna dziedzina działalności twórczej. Jeśli czujesz w sobie pasję, teraz możesz dać jej upust.

Kampania zainicjowana przez studentów Wyższej Szkoły Promocji: Katarzynę Sytą i Pawła Nassalskiego

psytulić

psyjaciel

psyjemnie.

Możesz sobie pozwolić, być tym kim chcesz

psygarnij...

W kwestiach predyspozycji, spróbuj na chłodno zastanowić się nad ich charakterem. Oceń sam siebie. Jeśli masz z tym kłopot, poproś o pomoc najlepszą przyjaciółkę, rodziców, pedagoga szkolnego albo skorzystaj z jednego z dostępnych psychologicznych narzędzi diagnostycznych. Jednak tego rodzaju pomoc nie powinna stanowić dla Ciebie wskazówki, jaką podjąć decyzję, a jedynie źródło obiektywnej wiedzy o sobie samym. Decyzja jest Twoja..

Autorami zdjęć umieszczonych na stronie są studenci Wyższej Szkoły Promocji

Życie w wielkim mieście

Rozmowa z Arturem Orzechem, dziennikarzem muzycznym i konferansjerem, prorektorem Wyższej Szkoły Promocji w Warszawie

Od pewnego czasu mówi się o Wyższej Szkole Promocji w Warszawie, że jest unikalną uczelnią w skali całego kraju. Tymczasem w Polsce działa kilkaset szkół wyższych, a w samej stolicy jest ich kilkadziesiąt. W czym tkwi wasza wyjątkowość?

Artur Orzech: Wyższa Szkoła Promocji w Warszawie to uczelnia oparta na bardzo precyzyjnie obmyślonym pomyśle: ma przyciągać ukierunkowanych młodych ludzi, czasami nieco zagubionych i niezrozumianych, czasami trudnych, ale wybitnych w zakresie określonych zdolności (interpersonalnych, twórczych, czy sportowych), kształcić w nich osobowość, hart ducha, wyposażać w niezbędną wiedzę i umiejętności, aby stawali się osobowościami. Nie ma dla nas znaczenia, czy dla kandydata pasją jest fotografia, porozumienie z innymi, manga czy wioślarstwo. Wszyscy potrzebują odpowiedniego przygotowania, aby odnieść sukces.

W Wyższej Szkole Promocji w Warszawie jesteś prorektorem do spraw studenckich. A kim jest rektor uczelni? Czy to także jakaś unikatowa postać?

A.O.: Czuję ironię w Twoim głosie. A to tylko dlatego, że nie znasz naszego rektora. Ma 38 lat i w ubiegłym roku uzyskał stopień doktora habilitowanego. Zna perfect angielski, bo jest też absolwentem anglistyki. Wydał ponad 20 książek na temat marketingu i reklamy, jest najwybitniejszym w Polsce specjalistą w dziedzinie sponsoringu kultury. A żeby tego jeszcze było mało, kilkanaście lat temu był dyrektorem festiwalu w Jarocinie i managerem takich artystów, jak Irena Santor, Paweł Kukiz i Robert Gawliński. Zajrzyj na stronę [...]. Tam dowiesz się o nim więcej.

Red.: Wszystko, co mówisz, kształtuje mi wizerunek uczelni jako lekko odlotowej. Czy taka jest także organizacja pracy uczelni?

A.O.: Tu mylisz się najbardziej. Jakość kształcenia jest najwyższym priorytetem uczelni. Zatrudniamy najlepszą kadrę dydaktyczną w kraju, wyselekcjonowaną i sprawdzoną. Realizujemy autorski, precyzyjnie zaplanowany program. Mamy bardzo dobre warunki lokalowe i mieścimy się w samym centrum Warszawy. To wszystko przynosi efekty. Wyższa Szkoła Promocji w Warszawie jako pierwsza niepaństwowa wyższa szkoła zawodowa w Polsce uzyskała pozytywną ocenę jakości kształcenia wydaną przez Państwową Komisję Akredytacyjną przy Ministerstwie Edukacji Narodowej i Sportu. Następną ocenę będziemy mieli w 2008 roku.

clawfinger
life's a bitch



Pierwsza płyta Clawfingera, „Deaf Dumb Blind" wydana w 1993 roku, spotkała się z przychylnymi reakcjami zarówno słuchaczy, jak i krytyków. Od tamtej pory zespół zyskał spore grono wiernych fanów, mimo iż kolejne albumy były z reguły oceniane surowiej. Niedawno grupa po raz kolejny gościła w Polsce i przy tej okazji udzieliła wywiadu specjalnie dla „Ślizgu". Dwóch Szwedów: wokalista Zak Tell i klawiszowiec Jocke Skog oraz norweski gitarzysta Bard Torstensen okazali się typami wyjątkowo sympatycznymi, otwartymi, obdarzonymi specyficznym poczuciem humoru. Radosno-kretyńskiej atmosfery krótkiej rozmowy, jaką odbyliśmy, nie jest w stanie oddać żaden zapis...

rozmawiał Kuba Demiańczuk

Minęło ponad dziesięć lat od wydania Waszego debiutanckiego albumu...

Zak: Dwanaście.

Jocke: Dwanaście to właśnie „ponad dziesięć".

Zak: No tak...

...a to dopiero Wasza czwarta wizyta w Polsce. Teoretycznie moglibyście grać częściej, nie macie w końcu tak daleko.

Jocke: Możemy za to winić tych ludzi, co zawsze...

Zak: Kanadę!

Jocke: ...cholerne koncerny fonograficzne!

Zak: Ale serio, jest sporo krajów, w których możemy i chcemy grać koncerty. Polska to nie jedyny z nich. Sam mógłbym przyjeżdżać do was co najmniej raz w tygodniu, ale to nie miałoby sensu. Poza tym granie musi też pokryć nasze wydatki związane z trasą, a jest jeszcze mnóstwo innych, nudnych powodów, dla których nie przyjeżdżamy częściej.

Dziś gracie na snowboardowych zawodach RedBull Monstairs, więc siłą rzeczy muszę zapytać o Wasze ulubione sporty.

Jocke: Mnóstwo radości sprawia mi oglądanie sportów ekstremalnych, te wszystkie zwariowane dzieciaki robiące zwariowane rzeczy. Ale moim ulubionym sportem jest hokej. Oglądam go tak często, jak mogę i staram się nie omijać żadnych relacji, zwłaszcza z mistrzostw świata.

Zak: Ja też uwielbiam sporty ekstremalne, właściwie wszystko, czego Bard nie nazwałby sportem (śmiech). BMX-y, deskorolka, snowboard. Inne sporty właściwie mnie nie interesują, chociaż dobry mecz piłkarski to zawsze dobry mecz...

Bard: Lubię każdy sport, w którym liczą się sekundy, gole, punkty. A najbardziej łyżwiarstwo szybkie.

Tu niestety nie ma bramek...

Bard: Ale są sekundy, ułamki sekund, setne sekund...

Zak: I faceci w rajtuzach (śmiech).

Bard: To są „phantom suits".

Jocke: Taa, „phantom suits" i wielkie, umięśnione tyłki.

Bard: Sam mam taki kostium i trenuję łyżwiarstwo.

Jocke: Ale nie masz wielkiego tyłka.

Bard: To przyjdzie z czasem (długi i głośny śmiech).

Jocke: Sorry, wstaliśmy dziś o 4 rano i jesteśmy trochę nie w formie. Ale na koncercie damy z siebie wszystko.

No właśnie, koncerty. Pamiętam Wasz pierwszy występ w Polsce, gdzie byliście supportowani przez polską kapelę Illusion i zupełnie nieznany niemiecki zespół... Po kilku latach Rammstein wraca do Polski jako megagwiazda z Clawfingerem na supporcie. Co wtedy czuliście?

Zak: To jest do dupy (śmiech)! Powinno cały czas być na odwrót! Ale takie jest życie. To zajebiste dla Rammsteina, ale życie czasami jest kurwą...

Jocke: A „kurwa" literuje się tak: R...A...M...M...S...E... Nie, pomyłka...

Bard: Ja się cieszę z ich sukcesu. Byliśmy tego częścią, a Rammstein to jeden z moich ulubionych zespołów.

Spytałem celowo, bo zawsze sprawialiście wrażenie, jakby nie zależało Wam na sławie za wszelką cenę. Wyśmiewacie sztucznie kreowane gwiazdy w kawałkach takich jak „Biggest & The Best" czy „15 Minutes Of Fame".

Zak: I właśnie dlatego nigdy nie będziemy tak wielcy, jak tego chcemy.

Jocke: Jak na to zasługujemy (śmiech)!

Zak: Dobrze powiedziane.

Bard: A teraz zasługujemy na jeszcze więcej niż kiedykolwiek przedtem!

Czy mieliście kiedykolwiek jakieś problemy z odbiorem Waszych tekstów? Niektóre, jak chociażby „Nigger", mogą zostać źle zrozumiane.

Zak: Tak, było parę osób, które nie zrozumiały „Niggera". Ale zaskakująco mało. Parę razy zdarzyło się na jakichś dużych koncertach, że znaleźli się skinheadzi, którzy przestali lubić ten kawałek, gdy okazało się, że to piosenka antyrasistowska (śmiech). A gdy staraliśmy się o wydanie albumu w Stanach, jedna z wytwórni przysłała nam faks, mówiący, że białym, którzy pouczają czarnych, jak żyć i się zachowywać, powinno odcinać się jaja.

Jocke: Ale poza tymi małymi incydentami, to raczej ten utwór prowadził do interesujących dyskusji. Wiadomo, nasi fani rozumieją, o co tu chodzi. Ale i większość ludzi niezwiązanych z nami w żaden sposób, rozumie nasze przesłanie. A przynajmniej są na tyle otwarci, że pozwalają sobie wytłumaczyć sens, zanim autorytatywnie stwierdzą, że to rasistowska piosenka.

Bard: Z drugiej strony także inne nasze teksty spotykają się czasami z niezrozumieniem. Na drugiej płycie był utwór „It", tak naprawdę o niczym konkretnym, raczej o czymś strasznym, ale nieokreślonym, co się może zdarzyć wkrótce. A jakiś koleś napisał do nas, że to fajny utwór o seksie...

Zak: Ale to nie było niezrozumienie, tylko jego interpretacja. I to jest właśnie fajne i jednocześnie niebezpieczne w muzyce. Ludzie, jeśli chcą, to mogą źle zrozumieć „Niggera". To w końcu ich prawo. Jeśli są głupi albo pojebani, to go nie zrozumieją. Nie zrozumieją pewnie niczego.

Lubicie chyba też prowokować. Weźmy kawałek „Bitch" – kobiety, jeśli nie wysłuchają go do końca, mogą poczuć się wkurzone...

Zak: Niby tak, ale jest tam kilka naprawdę czytelnych sygnałów, że to piosenka o psie. A gdybyśmy nie byli głupimi, przestraszonymi Skandynawami, to nawet tego byśmy tam nie umieścili. Powstałby wtedy utwór bardziej otwarty na interpretacje. Teraz wydaje mi się, że zakończenie jest tam niepotrzebne. Za dużo powiedzieliśmy, nie zostawiając miejsca na domysły. A tak w ogóle to poważny utwór. Rzecz o kolesiu, który ma problem ze swoim psem. Nie ma się z czego śmiać (śmiech).

W swoich tekstach używacie raczej prostych zdań, prostych słów. Uważacie, że w ten sposób łatwiej trafić do ludzi? Wydaje się, że większość zespołów metalowych używa w swoim przekazie czegoś w rodzaju trudnej do rozszyfrowania poezji.

Jocke: Tu coś mogę dodać. Produkowałem kiedyś płytę kapeli deathmetalowej. I jak nie mieli jeszcze tekstów, to siedzieli zagłębieni w słownikach, szukając długich, dziwacznych słów rymujących się ze sobą. W efekcie powstało coś, co nie miało pewnie żadnego znaczenia, ale musiało fajnie brzmieć. My staramy się dotrzeć do naszych fanów w taki sposób, żeby nie musieli sobie naszych tekstów tłumaczyć.

Zak: Ale jest jeszcze kilka powodów, dla których to tak wygląda. Najważniejszy to ten, że mieszkałem kiedyś w Anglii, ale wyprowadziłem się stamtąd, gdy miałem dziesięć lat. Więc mam ograniczony zasób słów. Drugi powód, pewnie ważniejszy, to taki, że zawsze słuchałem dużo punk rocka i hard core'u. I to zawsze była muzyka prosta, konkretna i się to podobało. Łatwy do zrozumienia przekaz. Nie ma powodu, żeby go komplikować. Rzadko zdarzają mi się takie zabawy, jak w „Bitch" albo w „It" – kawałku o seksie (śmiech).

Zak, powiedz coś o swoich rapowych inspiracjach. Na stronie internetowej wymieniasz pośród wielu ulubionych zespołów m.in. A Tribe Called Quest, De La Soul czy NWA.

Zak: W ogóle wymieniłem tam zbyt wiele zespołów.

Jocke: Pisał to ponad dwie godziny.

Zak: Nie umiałem wybrać. Słucham bardzo dużo rapu, zwłaszcza zespołów związanych z Native Tongues. To mi się podobało najbardziej, wtedy nie było jeszcze tyle rymowania o dziwkach i pieniądzach, całej tej gangsterki. Chociaż kilku takich wykonawców też lubię... NWA to zdecydowanie gangsterzy (śmiech). Swoją drogą kiedyś znalazłem w Internecie coś takiego: ktoś powyciągał z kawałków NWA wyłącznie przekleństwa i złożył z nich utwory. Miały po kilkanaście – kilkadziesiąt sekund czystego przeklinania (śmiech). „Explicit version" albumu „Straight Outta Compton".

Jocke: Wtedy to miało swoją siłę, było ciężkie i brudne, nie to, co teraz...

Zak: Tak, czasami gangsta brzmi, jakby zatrudnili tam chór śpiewaków r'n'b. 50 Cent: co mnie to obchodzi, że był postrzelony 500, kurwa, razy, skoro w refrenie ma mdłe, gówniane r'n'b – coś rodem z MTV. Chociaż większość z tego, co robi 50 podoba mi się. Nie znoszę jedynie tego marnego r'n'b. To już nie jest fajne.

Pora kończyć, więc spytam jeszcze o prace nad Waszym nowym albumem. Kiedy będziemy mogli go usłyszeć?

Zak: Prawdopodobnie na jesieni. Wrzesień, październik, listopad, może grudzień...

Może styczeń 2006...

Jocke: Miejmy nadzieję, że nie.

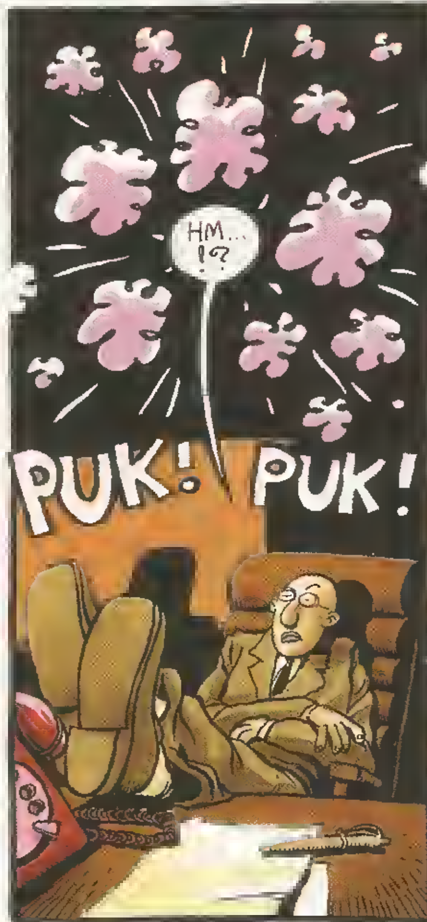
Zak: Zdążymy na koniec tego roku. Mamy już gotowych dziesięć piosenek. Musimy dograć jeszcze kilka kawałków, na nowo zmiksować, coś poprawić. Niby jesteśmy gotowi, ale jednak to trwa o wiele dłużej, gdy ma się rodzinę, dzieci, gdy Bard ma do studia dziesięć godzin drogi. Po prostu potrzebujemy czasu.

Biografia Clawfingera i relacja z koncertu na www.slizg.com.pl

JEŁ JERZY

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak
















DRRYN


SŁUCHAM, PANIE PREZY...
POMYLILIŚCIE SIĘ PUSZKA... TO MY...


O, MÓJ BOŻE!


BLISKO PUSZKA... BLISKO... ALE NIE O TYM CHCIELIŚMY POGADAĆ ...


OD JUTRA BĘDZIESZ GOŚCIŁ NOWEGO PODOPIECZNEGO... CHCEMY, ŻEBYŚ ZAOPIEKOWAŁ SIĘ NIM W SPOSÓB SZCZEGÓLNY... WIESZ, O KOGO CHODZI?
TAK JEST! POZWOLIŁEM JUŻ SOBIE PRZYGOTOWAĆ OSOBNĄ...


NIE!
ZMIENILIŚMY ZDANIE... MUSIMY MIEĆ PEWNOŚĆ, ŻE LEW NIE ZACZNIE RYCZEĆ... ROZUMIEMY SIĘ, PUSZKA?


TAK... CHYBA TAK...
CHYBA ?
NA PEWNO! MAM NAWET PEWNĄ PROPOZYCJĘ...

C.D.N.

AMERICAN FREIGHT TRAIN SYSTEM

Podobnie jak pierwsi writerzy europejscy, również malarze amerykańskich frajtów wzorowali się na graffiti z nowojorskiego metra. Agresywny i natychmiastowy buffing pociągów pasażerskich i słabość lub zupełny brak tego rodzaju systemu kolejowego w mniejszych miejscowościach sprawiły, że rozsiani po całych Stanach Zjednoczonych miłośnicy farb w sprayu i fejmu szybko zdali sobie sprawę z potencjału komunikacyjnego sieci pociągów towarowych (Freights).

Ponad 170 tysięcy mil torów, czyni sieć frajtów życiodajnym krwiobiegiem USA. American Freight Train System to jedna z największych sieci komunikacyjnych na świecie, przy której system pasażerski zarówno w USA, jak i w Europie wyglądają, jak makiety kolejki PIKO. Linie kolejowe tej sieci sięgają od wybrzeża do wybrzeża, a przemierzające je składy wagonów dochodzą nawet do 1 mili (!!!) długości. W ten sposób wygląda medium umożliwiające wizualną komunikację pomiędzy writerami dalekich od siebie stanów, a przy okazji wierne istocie graffiti, czyli mesedżowi w ruchu. Okoliczności sceny frajtowej są jednak zupełnie inne, niż przy klasycznych pociągach, gdzie writerzy dzielą przestrzeń i środowisko z obywatelami miast, z pasażerami, z ogółem. Yardy i tory sieci frajtów przeważnie znajdują się z dala od głównych szos i ośrodków miejskich, przez co również gotowe obrazki nie rzucają się zbytnio w oczy. Freighterzy nie mogą liczyć na głośny aplauz obserwatorów z zewnątrz, bo oprócz pracowników kolei, lumpów, włóczęgów, specyficznych turystów i innych malarzy nikt nie ma kontaktu z ich twórczością. Zresztą nigdy nie wiadomo dokąd pojedzie zrobiony wagon – na zachód, wschód, północ, czy południe, czy trafi do Texasu, czy do Kanady.





CHEZ



CHEZ



SENSE LESTER



DICE, CHEZ, TYBOE



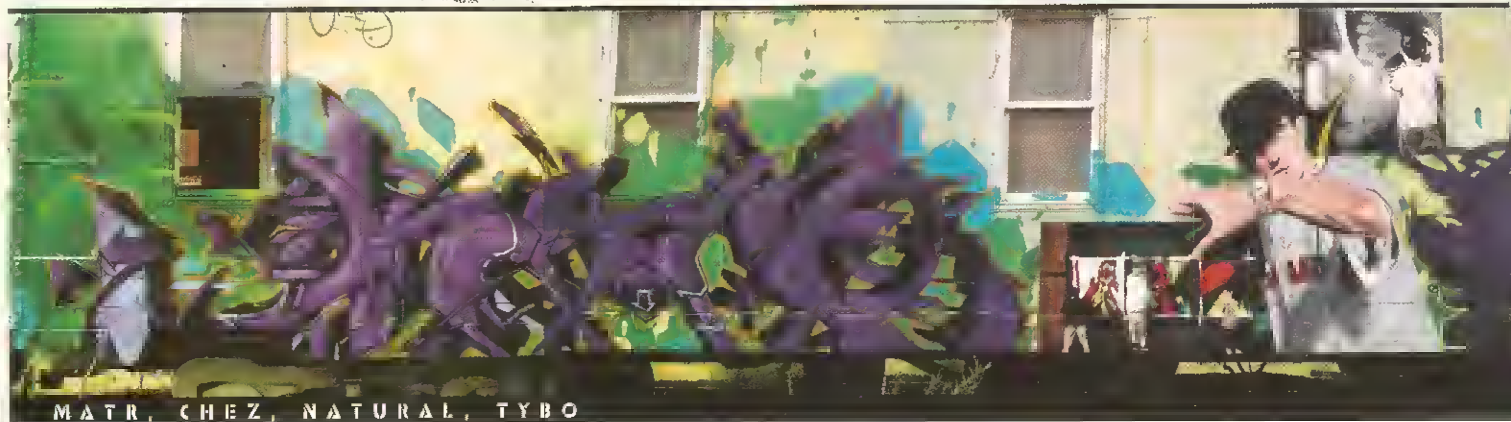
JASE, FLYNT, JALER



BEG



I KNOW THIS IS GETTO CONNECT



MATR, CHEZ, NATURAL, TYBO



AMERICAN FREIGHT TRAIN SYSTEM



JASE, CHEZ, CYCLE


MOVE THIS E
EQUIPMENT.
MATERIALS DEPAR
ENT SERVICE


UNION PACIFIC




IFIC


NATURAL, CHEZ, CHEZ



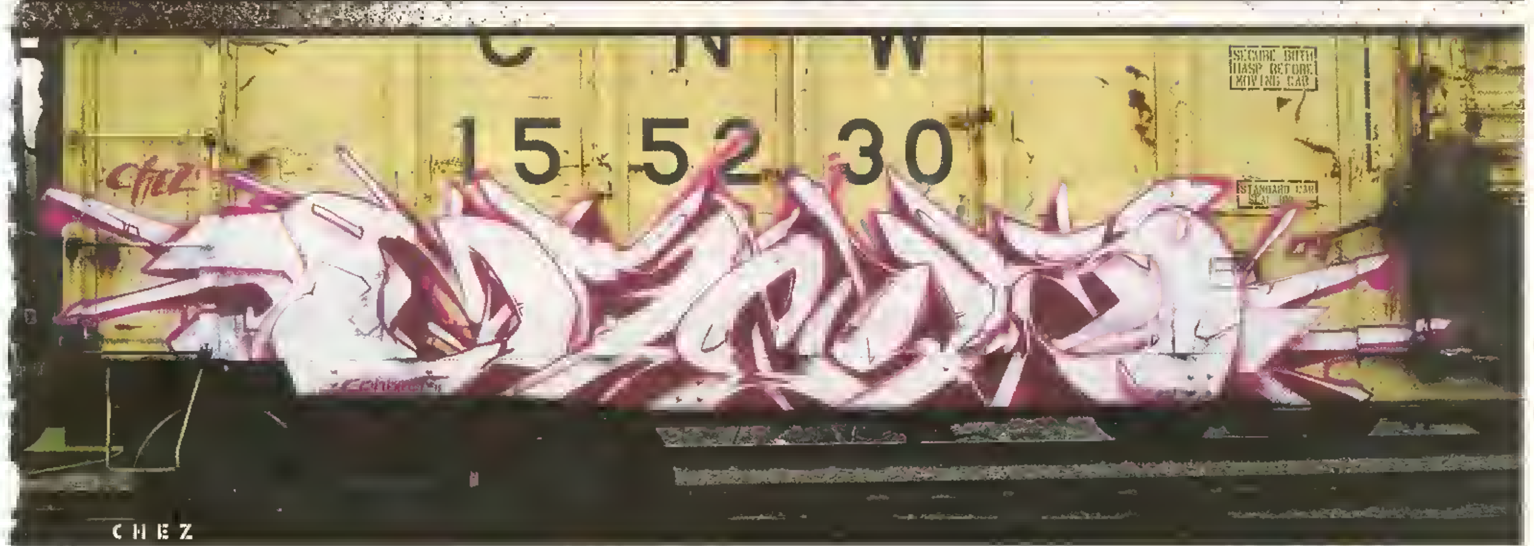
TYBOE, CHEZ



MATR


TYBOE

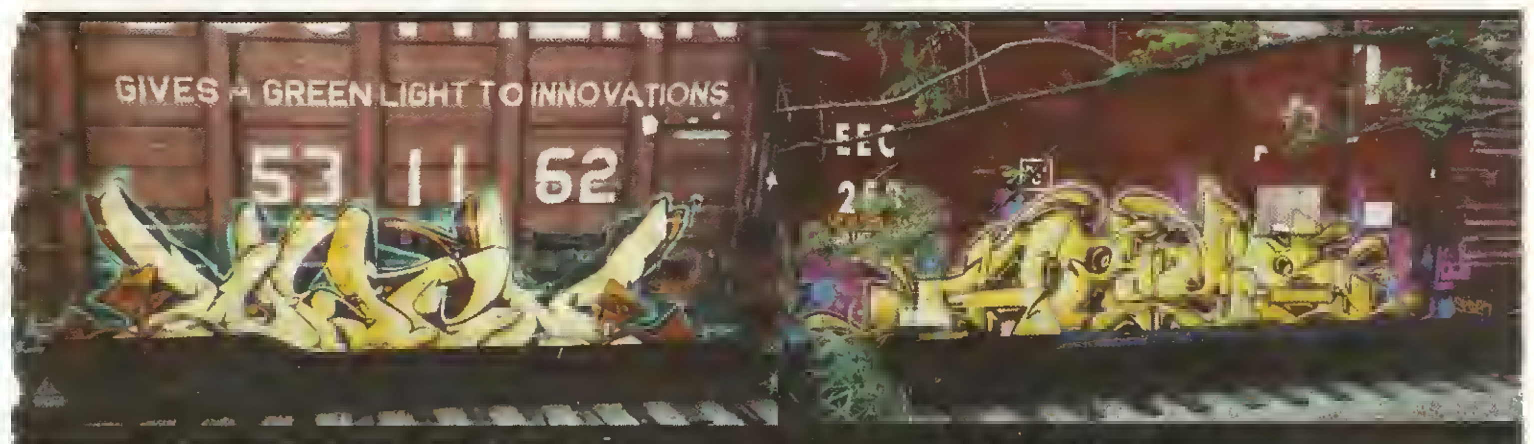

PACIFIC


C N W
15 52 30
SECURE BOTH HASP BEFORE MOVING CAR
STANDARD CAR

CHEZ


ARMN
F
U.S. PATENT NO. US6,575,102B2
THIS CAR EXCESS HEIGHT
RETAINING VALVE

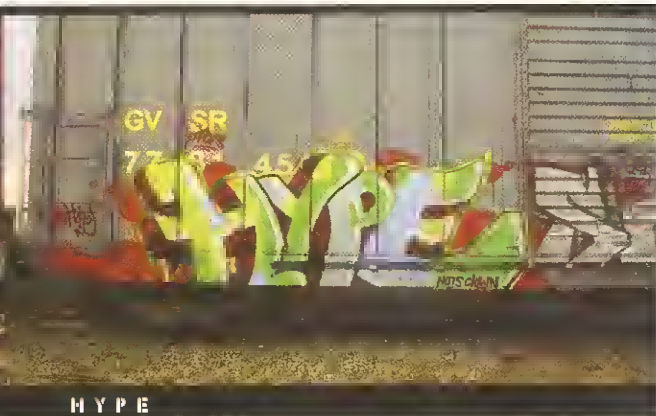
MATR


GIVES A GREEN LIGHT TO INNOVATIONS
53 11 62



VESER 317 NORTH CAROLINA


AEST SIGHT


HYPE

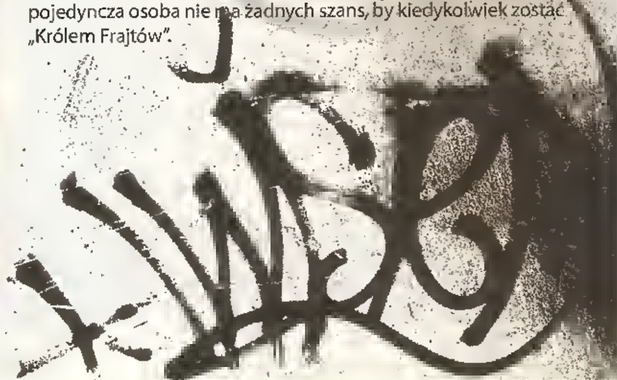




CHEZ/NACE/MET

Przez oddalenie od skupisk „cywilizacji" frajty są dość łatwym celem, co bywa powodem drwin „prawdziwych" pociągowych writerów z Europy. Jednak biorąc pod uwagę, że aby zrobić panel, trzeba dotrzeć do miasta z pasażerskim węzłem komunikacyjnym, czyli przejechać kilkaset kilometrów (oczywiście samochodem lub autobusem), zaczyna być jasne, że grają tu rolę inne czynniki. Takich wycieczek nie da się robić zbyt często, a rano panel zostaje i tak zbuffowany. Co innego gdy akurat jest się na miejscu i można wrzucić swoje imię na blachę przy okazji pobytu w metropolii, dlatego amerykańscy freighterzy są tak napaleni na pasażerskie składy.

W odróżnieniu od prac wykonanych na klasycznych wagonach, malunki na towarówkach wyruszają w trasę i jeżdżą przeważnie całymi latami. Najstarsze panele widywane w trafiku mają ponad 15 lat, a napotkanie takiego wrzutu na yardzie można porównać do archeologicznego wykopaliska. I chociaż frajty są łatwe do malowania, to z powodu olbrzymiej ilości wagonów w trafiku (ponad milion!), aby zostać zauważonym przez scenę trzeba się niemało napocić. Podobno bardzo trudno jest napotkać ten sam panel dwukrotnie! Bo chociaż wielu czołowych freighterów, wykazując się wielkim zaangażowaniem, zrobiło tysiące wagonów, to ogrom systemu przerasta możliwości jednej osoby, a nawet grupy. W USA mówi się, że jest to misja bez końca, pojedyncza osoba nie ma żadnych szans, by kiedykolwiek zostać „Królem Frajtów".





battle of the year

polska 2005

23 kwietnia 2005 w Koninie po raz trzeci odbyła się polska edycja Battle Of The Year. Jest to jedna z największych imprez poświęconych kulturze breakdance w naszym kraju. Jej celem jest możliwość prezentacji swojego spojrzenia na ten wspaniały taniec przez 16 polskich grup. Z całego kraju przyjechało tutaj wielu świetnych zawodników oraz ludzi kibicujących tancerzom, żyjących hip-hopem oraz tańcem. Obiektem, który mógł pomieścić tak wielką rzeszę zainteresowanych, była Hala Sportowo-Widowiskowa „Rondo"

tekst Sławomir „Blow" Wiśniewski
foto Sebastian Kałużny

Od godziny 14:00 ochrona zaczęła wpuszczać tancerzy z grup uczestniczących w zawodach. Dwie godziny później nastąpiło otwarcie drzwi zarówno dla ludzi interesujących się tańcem, jak i osób, które przyszły na koncerty znanych grup, stanowiące dodatkową atrakcję. Wielu miłośników parkietowych wyczynów już po wejściu na halę zaczęło prezentować swoje możliwości i wspólnie bawić się, tworząc kółeczka, w których można było zaobserwować wiele różnych styli. Już od tej chwili nie liczyło się nic, tylko parkiet i muzyka.

O godzinie 17:00 nastąpiło oficjalne powitanie wszystkich obecnych na tej imprezie. Chwilę później prezentacja sędziów i DJ'ów, która była bardzo efektownym wstępem. Całość prowadził O.S.T.R. i znów udowodnił, że potrafi oddać odpowiedni klimat prowadzonej przez siebie imprezy poprzez nieprzeciętne freestyle. Ponadto w tym roku swoje umiejętności zaprezentowali DJ Twister i DJ Domel. Następnie pokaz jury, Sonica z Natural Effects (Dania), człowieka niewymagającego specjalnie przedstawiania, ponieważ każdy, kto choć trochę interesuje się breakiem, zna go dobrze i wie, na co go stać (4. miejsce na jednej z najbardziej prestiżowych imprez breakowych – Redbull BC One i 1. miejsce w Ultimate B-boy Session 98). W odpowiedni sposób zaprezentował swoje umiejętności, bo jego taniec jest naprawdę na wysokim poziomie. Kolejną osobą tańczącą na scenie był Crazy B. z ex-grupy Flying Steps, a po nim Hawk z Fresh'n'Attack. Są to ludzie, którzy tańczą już kilkanaście lat i wiedzą dobrze, co jest najważniejsze w tańcu. Po ich prezentacji O.S.T.R. wykorzystując chwilę przerwy przed rozpoczęciem prezentacji grup swym freestyle'em rozgrzał publiczność.

Nareszcie przyszła pora na występy grup. Podzielone one były na 4 bloki po 4 grupy. Pomiędzy każdym odbywały się przerwy. Czas występu nie mógł przekroczyć sześciu minut (w przeciwnym przypadku odejmowano punkty). W grupie mogło wystąpić maksymalnie dziesięciu tancerzy. Blok A to pierwszy blok z grupami. Jako pierwsza wystąpiła ekipa APS z Bolesławca. Prezentacja opierała się głównie na wyjściach solowych i pojawił tylko jeden element wspólnej choreografii i to w słabym wykonaniu. Zbyt duży chaos i bardzo słabe przygotowanie przyczyniło się do niskiej oceny grupy. Kolejny skład to ISS aka Jamajka ze Szczytna. Tutaj już dało się zauważyć więcej choreografii, jak zwykle mała b-girl zrobiła na wszystkich wielkie wrażenie. Jeden z członków grupy wykonał bańkę mając ją na sobie zawieszoną, co wzbudziło wielkie owacje. Następnie wystąpili łodzianie z Sonic Force. Podczas ich show było widać dużo wspólnych układów i praktycznie wszystkie elementy breaka i electro, a także zawarli w nim dużo dynamicznej muzyki, co było dla nich wielkim plusem. Kolejny skład o nazwie Light Style Crew zrobił swoje show wykorzystując muzykę poważną, jednak słaba choreografia z pomyłkami i bałaganem na scenie nie zrobiła dobrego wrażenia. Po prezentacji tych grup nastąpiła przerwa, podczas której na scenie dała krótki koncert ekipa z Konina, S. P. T.

Blok B – cztery kolejne zespoły. Champion Style – w ich występie znalazł się krótki układ top rockowy, duet locking, kilka różnorodnych solówek, jednakże brak było ustawień, a cały układ był bardzo słaby. Tuż po nich na scenie wystąpiła ekipa Crazy Twisting Crew z Łomży. Jak wiadomo, oni zawsze mieli ciekawe i w miarę dopracowane show i tak było i tym razem. W ich choreografii było zawartych dużo różnorodnych układów i pokazali prawie wszystkie elementy breaka, jednak brakowało im dobrych power moves. Mimo wszystko ich prezentacja była całkiem ciekawa. Następna ekipa to Conflict Zone z Mysłowic, która zaprezentowała się bardzo ciekawie w dynamicznej choreografii ze wszystkimi elementami breaka. To był dobry występ. Potem przyszedł czas na Dropsy Squad z Radomska. Ich prezentacja była słaba – brak ustawień, było widać niepewność podczas wspólnych układów, a jedynie w miarę dobre power moves i dobre freeze'y.

Po krótkiej przerwie kolej na blok C. Pierwszą w tym bloku była ekipa z Polic, Ass Kickers. Ich układ zawierał również wszystko, co jest istotne: dobry power move, top rocki oraz foot work, lecz było widać brak pewności, pomyłki w układach i brak ustawień, co wpłynęło na ich ocenę. Po nich przyszła pora na Azizi z Rybnika. Tę grupę również wszyscy dobrze znają. To zdobywcy

1. miejsca na BOTY Polska w 2003 roku. Układ rozpoczęli od solówki Cimka, który wykonał sporą ilość air twistów do wolnej muzyki, później po kolei każdy b-boy z grupy pokazał ciekawe top rocki i foot worki. Niestety, chyba i tutaj każdy obecny na hali spodziewał się czegoś więcej od chłopaków ze Śląska, jeżeli chodzi o choreografię, wspólne układy i ustawienia. WHSB z Białegostoku to – jak się okazało – najciekawszy układ tego wieczoru i jedyne, co można im zarzucić, to że brakuje im dobrych power moves. To było bardzo ciekawe show, brawo! Następnie na scenie pojawiła się grupa z Siedlec, Spasiba Breakers. W przeciwieństwie do poprzedniej formacji widać było, że włożyli mały wysiłek we wspólny trening, a brak wspólnej choreografii okazał się niezbyt dobrym rozwiązaniem. W przerwie zagrał krótki koncert O.S.T.R. z Tabasco i DJ'em Haemem.

Wreszcie blok D – ostatni tego wieczoru. Cztery formacje, które były w finale ubiegłorocznej edycji BOTY Polska. Jako pierwsza w tym bloku wystąpiła N.A.S.A z Koszalina. Tutaj oczywiście można było się spodziewać jak zawsze ciekawego układu z wieloma elementami – electro, powerami, top rockami i foot workiem. Było jednak inaczej. Trochę niedociągnięć i potknięć podczas solówek przesądziło o wyniku. Po nich swoje umiejętności zaprezentowała ekipa z Włocławka, Crazy Squad. Stanęli na wysokości zadania i pokazali, co potrafią, czyli dobrze dopracowane show na wysokim poziomie z wszystkimi elementami, które należy wykonać podczas dobrej prezentacji. Kolejna ekipa to Ready To Battle. Ich układ również zawierał wszystko to, co powinno się zawrzeć w show. Był dobry, ale z małymi potknięciami podczas kilku wyjść. Ostatnią grupą prezentującą się na scenie była Nontoper Mielonka – zwycięzcy ubiegłorocznej edycji BOTY Polska. Tutaj nikogo nie zaskoczyło, że można było zobaczyć b-boying na wysokim poziomie. Od foot worków poprzez elektro do power moves.

Po ostatniej prezentacji tego bloku nastąpiła przerwa, podczas której zagrał świetny koncert Kaliber 44, a jury udało się na naradę, gdzie wyłoniono grupy wchodzące do finału. Jak się okazało, zarządzono dodatkową walkę o wejście do finału pomiędzy WHSB a RTB. Nastąpiła więc siedmiominutowa dogrywka, w której było naprawdę dużo dobrego tańca z jednej, jak i z drugiej strony. Walka ta zakończyła się zwycięstwem RTB. W finale znalazły się następujące grupy: Azizi, Nontoper Mielonka, Ready To Battle i Crazy Squad.

Pierwsza walka półfinałowa odbyła się między chłopakami z Rybnika i Włocławka. Była to kolejna konfrontacja tych jakże różnych pod względem stylu tańca grup. Ze strony Azizi dużo zabawy, top rocków, footworków i dobrego flow, a z drugiej strony dobre power moves, freezy, wspólne układy. Rok wcześniej walka o 3. miejsce między tymi grupami nie rozstrzygnęła się, ponieważ Azizi zeszli ze sceny... W tym roku jednak walka się odbyła i była naprawdę zacięta. Grupa z Włocławka okazała się górą i to do niej należała wygrana. Druga para półfinałowa to Ready To Battle vs. Nontoper Mielonka – para ubiegłorocznych finalistów stanęła do rewanżu. Walka naprawdę na wysokim poziomie. Można było zobaczyć wszystkie elementy breaka i to w najlepszym polskim wydaniu. Z jednej i z drugiej strony mieliśmy konkretne odpowiedzi na każde wyjście przeciwnika. Powery – tutaj ciekawa była walka Rafsona z RTB z Gumą z NTM – maximum czadu!!! No i na koniec zabrakło czasu na walkę na electro między Stanleyem a Kozą, a to mogłoby być dobre starcie. Jak się okazało, dla wielu osób zebranych w hali była to najlepsza walka tych zawodów. Wygrała ją grupa Ready To Battle, rewanżując się za zeszłoroczne finały.

Po przerwie odbyła się walka pomiędzy Azizi i Nontoper Mielonką – te dwie grupy przegrały walki półfinałowe, więc spotkały się w „małym finale". Dla wielu osób było to zaskoczeniem, ale tak ostatecznie zadecydowało jury. Walka rozpoczęła się całkiem spokojnie i bez spięć, jednak z upływem czasu b-boye z Azizi zaczęli lekceważyć przeciwników i sędziów. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie znają tylko Azizi. Niepotrzebne były gesty do Sonica, który jest przecież świetnym tancerzem i udowodnił to nie tylko Azizi oryginalnością ruchów oraz własnymi pomysłami. Brak szacunku nie tylko do jury, ale i tancerzy o światowej renomie i wielkim talencie, na których większość z nas wzorowała się w początkach swej przygody z tańcem, na pewno jest rzeczą bardzo złą i pokazuje chłopaków z Azizi w bardzo złym świetle. NTM próbowali podtrzymać tę bitwę finałową, ale tancerze z Rybnika już za bardzo nie mieli ochoty tańczyć (może przez Sonica:)) i wychodzili od niechcenia na parkiet. Taka atmosfera towarzyszyła wszystkim do końca tej bitwy.

Walka o 1. miejsce – Ready To Battle vs. Crazy Squad. To też już kolejna konfrontacja tych dwóch grup. Ekipy te, jak wiadomo, posiadają wielki zasób możliwości. Dużo dobrych numerów, power moves na bardzo wysokim poziomie, wspólne układy to rzeczy, które wprowadzały prawdziwą b-boyową atmosferę. Niemniej obie grupy potrafiły nawiązać walkę na każdy element breaka. Końcówka bitwy to typowa, jak przystało na breakdance, walka na power moves, których nigdy za dużo.

Po tych potyczkach nastąpiła ostatnia już przerwa tego wieczoru i koncert warszawskiego składu Hemp Gru. Następnie przyszła kolej na ogłoszenie wyników. Jak można było się spodziewać, 3. miejsce przypadło NTM, ale wytypowanie zwycięzcy całej imprezy było bardzo trudne. Większa część publiki typowała Ready To Battle. Jednak decyzja należy do znającego się na rzeczy jury i to Crazy Squad wygrało BOTY Polska 2005.

Wyniki Battle Of The Year Polska 2005:

01. Crazy Squad
02. Ready To Battle
03. Nontoper Mielonka
04. Azizi.

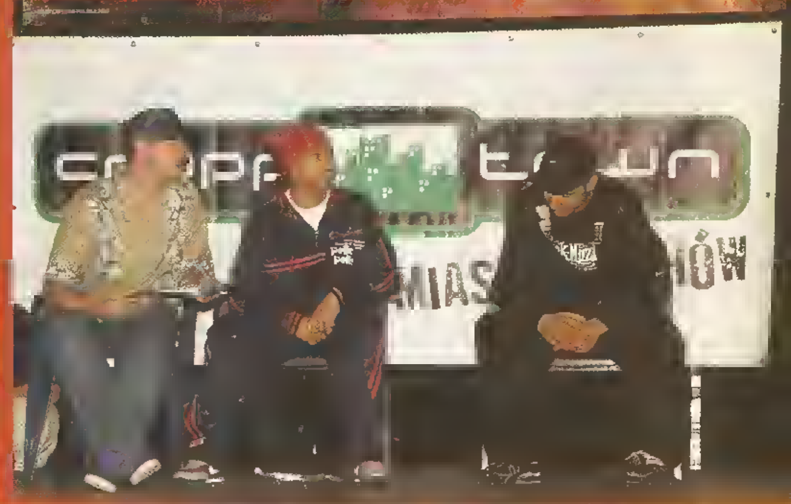
Po wręczeniu dyplomów, pucharów i nagród wszyscy opuścili halę i część tancerzy udała się na after party, a inni na dworzec, skąd ruszyli do domów. Podsumowując tegoroczne BOTY można stwierdzić, że impreza była udana i poza pewnymi wyjątkami przebiegła całkiem spokojnie. Wielkie podziękowania dla organizatorów za wyrozumiałość, pomoc i poświęcenie na rzecz tancerzy.

Pozdrowienia dla wszystkich uczestników, tancerzy obecnych na BOTY oraz wszystkich fanów b-boyingu.





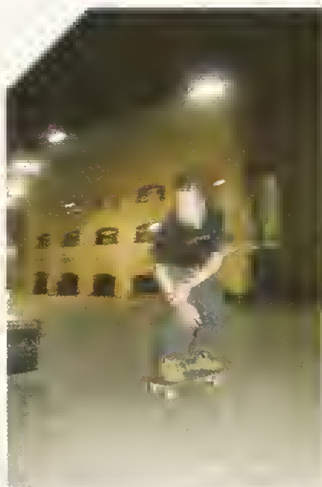




trick miesiąca

Eryk Gaj/blunt slide to fakie/ MACBA Barcelona

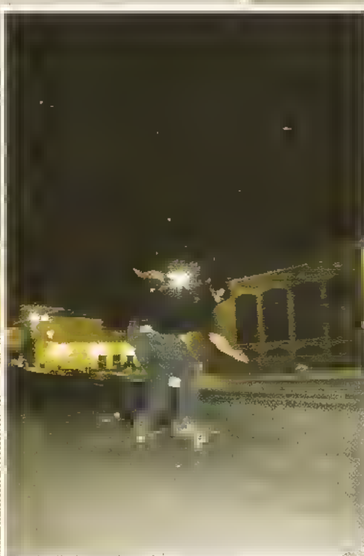
foto: Wzrr










toy story
czyli o Polsce raz jeszcze...

Tym razem będzie o polskich imprezach, a raczej o sposobie ich organizowania. Rzecz postanowiłem napisać po obejrzeniu ostatnich zawodów Red Bulla i kilku deskorolkowych kontestów w minionym roku (sprawa nie dotyczy Mentor Skateboarding Session).

Na hasło „impreza" w Polsce od razu na myśl nasuwa się wódka. Czegokolwiek by impreza nie dotyczyła, zawsze jest to samo, liczy się tylko możliwość (darmowego najlepiej) narżnięcia się do upadłego. Czy to zawody snowboardowe, imieniny teścia, koncert, odprawa z pracy, zawsze pod koniec pojawić musi się butelka wypełniona przezroczystym płynem i czterdziestoma procentami.

Po tym nic nie mówiącym wstępie chciałbym powiedzieć, że niestety kilkakrotnie już w swoim życiu zostałem straszliwie oszukany przez organizatorów różnego rodzaju imprez skate'n'snow. Było ostatnio kilka wydarzeń, które wcześniej reklamowano jako niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju. Miały to być imprezy albo maksymalnie komercyjne, ale za to idealnie wyposażone dzięki pieniądzom sponsora, albo imprezy klimatyczne, bez dużego budżetu, ale za to robione od serca. W 99% wypadków zawsze zamiast obiecanych wypasów mieliśmy do czynienia z cienką rozrzadą, której do imprezy na światowym poziomie daleko.

Po prostu w Polsce wszystko robi się od drugiej strony. W naszym kraju nie tak jak w innych liczą się pozory. U nas ten jest gościem, kto ma coś firmowego, najistotniejszą rzeczą jest marka samochodu. Polacy, co by nie mówić, są narodem prostaczków, którzy lubią chwalić się swoimi „zajebistymi" rzeczami. Jak więc wygląda polska organizacja od drugiej strony? Ano tak: zacznę od przykładu. Ponieważ polskie skejciki są zbyt dużymi ofiarami, żeby sobie coś samemu zorganizować, zwykle rzeczy takie robione są przez ludzi, którzy nie mają pojęcia o imprezach skate'n'snow. Człowiek taki ma za to pieniądze i (czasem dobre) chęci do zrobienia jakiejś imprezy. Dobra wola nie zawsze wystarcza, bo z reguły delikwent taki (mimo że ma bardzo dużo pieniędzy do wydania) wynajmuje po taniości beznadziejny skatepark od jednej z pseudo firm trudniących się tym rzemiosłem w Polsce i resztę pieniędzy pakuje w rzeczy typu kolorowe bilety, ocieplany bufet, podgrzewana podłoga czy złote dywany. Tak było chociażby z niesławną Jutrzenką. Za cały namiot i różne dziwne konstrukcje w rodzaju dróżki dla rolek, szatni, bufetów i im podobnych można było zbudować tysiąc razy lepszy skatepark. Ale nie, ci, którzy budowali „wrotkowisko", chcieli, aby było ono „najlepsze w Polsce". Miało to być coś, czym mogliby się pochwalić swoim kolegom radnym z sąsiedniej gminy. Przecież żaden inny radny nie zazdrościłby im zajebistej piramidy czy poręczy, ale hasło „duży, wielofunkcyjny obiekt przeznaczony do jazdy na rolkach" z różnymi udogodnieniami wywoływało ukłucie zazdrości u niejednego.

Nie inaczej rzecz się miała z naszym nieszczęsnym Red Bullem. Niech mi nikt nie mówi, że jest to firma, której zależy na snowboardzie. Zależeć to może im zależy, ale na konsumentach swojego napoju, bo w przeciwnym razie nie zrobiliby takiego czegoś. Jeżeli czuć tam było atmosferę snowboardingu i czystej zajawki wśród dzikiego tłumu przypadkowych przechodniów, to znaczy, że nie czułem jej ani trochę. Skocznię i snowpark też zbudowano i to pewnie największe w całej Polsce (a co, najlepsi byli!!!), tyle że na tym najlepszym torze w Polsce nie chciał jeździć żaden z przybyłych. Tylko o tym pewnie nikt nie będzie mówił, pozostanie fakt, że mieliśmy przez chwilę prawdziwą skocznię. Szkoda tylko, że zabrakło Małysza, który by z niej skoczył.

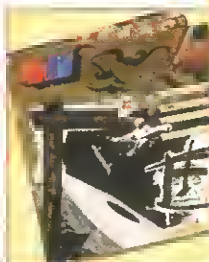
Polska jest krajem, gdzie zamiast dobrej organizacji na zawodach załatwia się jako telebim super plazmowy wyświetlacz, bo tak nakazuje prestiż. W rodzimym „biznesie" jest przecież niepisane prawo, że „dobre imprezy" muszą mieć tę plazmę, więc olać skatepark (skejciki i tak się zjawią, bo przecież nigdzie indziej tego nie ma), ważne, żeby popisy na kiepskim torze były oglądane na wielkim monitorze.

Organizatorzy zawsze jednak mają jednego asa w rękawie dla niezadowolonych startujących. Na takich bezczelnych typów czeka (poza samymi zainteresowanymi, dla których najbardziej liczy się snowpark czy skatepark) główna atrakcja wszelkiego rodzaju zawodów, czyli AFTER PARTY. Polak lubi wypić, więc tak naprawdę tylko to się liczy. To na noc organizatorzy zostawiają największe sumy pieniędzy. Żeby gość był zadowolony – musi być upity i to najlepiej za darmo. Później każdy pamięta zawody nie z perspektywy startującego, tylko tańczącego po wypiciu morza alkoholu. Taka już jest nasza rzeczywistość. Nie wiem, czy to się kiedykolwiek zmieni i na zawody snowboardowe w Warszawie średni zjadacz chleba spojrzy jak na możliwość obejrzenia zajebistych ewolucji, a nie okazję do darmowego zalania pały (choć to drugie również nie jest takie złe – ważne są zachowane proporcje między jednym a drugim).

tOi Oi

total chaos

recenzje sk8



411 #68

Numer 68, czy raczej pierwszy w nowej formule, przyniósł wiele zmian, a przynajmniej tak głoszą twórcy. Ja oglądając film zbyt wielu zmian nie zauważyłem. Nadal zachowana została nudnawa formuła video magazynu, wzbogacono ją jednak o grafiki różnych artystów. Każdy numer będzie miał teraz oprawę graficzną robioną przez innego artystę, w 68 jest to Dave Kinsey. Żeby wokół nowej formuły zrobić mały szum, zaproszono do tego numeru znanych skaterów, takich jak Daewon Song (triple flip przez gap czy fakie double flip sw. nose manual), Reese Forbes, Enrique Lorenzo (m. in. sw. nose blunt slide na railu), Danny Montoya. Do płyty dołączono masę gadżetów, takich jak plakaty czy papierowy zin. Czy rzeczywiście będzie to rewolucja, czas pokaże... **pc skale**



Fourstar promo

Ten krótki filmik przedstawia, czym jest skateboarding. Nie jest to zwykły film, jakich wiele. Przede wszystkim, nie składa się z samych trików, tylko pokazuje, jak wygląda dzień skatera. Mamy więc spotkania z kolegami, wspólną jazdę, ale też takie rzeczy, jak przygotowania spotu do jazdy, ucieczki z ochroniarzami i wreszcie wygłupy podstarzałych skejcików. Filmik ten odświeża pamięć tym, którzy zapomnieli, że skateboarding to przyjemność w najczystszej postaci. Na próżno szukać w tym video wyjebanych ewolucji, mimo że występują w nim czołowi skaterzy świata (Koston, P. J. Ladd, Gonzales...). Oglądamy ich, jakby byli zwykłą, dobrze bawiącą się ekipą. Nad produkcją tego promo czuwał sam Spike Jonze, więc pod względem wizualnym też nie ma się do czego przyczepić. Bardzo fajne video. Przekonajcie się, jak wygląda skateboarding. Deskorolka to nie tylko triki. **t0i 0i**



Element „Elementality"

Firma, która nosi obecnie nazwę Element, nijak się ma do brandu o tej samej nazwie, który przez wiele lat był jednym z bardziej zajawkowych w branży. W pewnym momencie został on sprzedany obcemu kapitałowi i nowy właściciel zmienił oblicze firmy. Widać to wyraźnie na nowo wydanym filmie „Elementality". Jest on całkowicie bez wyrazu, jeśli chodzi o skateboarding, zamiast tego ogromną wagę twórcy filmu przyłożyli do wstawek graficznych, które stoją na bardzo wysokim poziomie. Zdecydowanie najfajniejszy jest wspólny przejazd Jake'a Ruppa i Tosha. Jake dużo kombinuje z miejscówkami, robi proste, klasyczne triki – jednak wykonane perfekcyjnie (nollie przez barierkę na „Fali" w Barcelonie). Tosh zaś atakuje wielkie rzeczy, takie jak schody i raile. Jest to bardzo przyjemna dla oka część, pełen chill. Reszta przejazdów naprawdę nie powala, są one bardzo dobre, ale nie sprawiają, że chce się od razu wyjść na deskę. O zawał serca i wielką frustrację może przyprawić ostatni przejazd jedenastoletniego chyba Nyjaha Houstona. Ten mały dreadlockowiec jeździ lepiej niż wszyscy prosi razem wzięci. Aż boję się pomyśleć, co będzie się działo, gdy ten malolat trochę podrośnie. Miejmy nadzieję, że poprawi mu się trochę styl. Specjalnie nie napisałem nic na temat Bama, bo jego przejazd jest wielkim zawodem, myślałem, że odejdzie on przynajmniej na chwilę od swojej jackassowej jazdy... **t0i 0i**



Filmbot files

Jest to kolejny filmik niezależny, który od razu po ukazaniu się spowodował małe zamieszanie. Jak zwykle w tego typu produkcjach przedstawieni są newcomerzy przemieszani ze starymi wyjadaczami. Cieszy fakt, że pierwszy przejazd (i do tego według mnie najlepszy w filmie) ma posiadający polskie nazwisko Marty Murawski. Nasz ziomek pokazuje bardzo wszechstronne skillsy, dzięki którym już niedługo znajdzie się pewnie w jakimś poważnym teamie, np. fakie flip, fakie fs. 5-0 shove it out na niekończącym się murku. Solidny part ma też koleś o japońsko brzmiącym nazwisku, Derek Fukuhara, który wznosi techniczną deskorolkę na wyższy pułap (pop shove it croocked i varial heelflip nose grind na wysokim railu). Bardzo fajne są dwa montaże: Hellrose i Dark Star. Chłopaki z tych firm jeżdżą bardzo charakterystycznie, więc wiadomo, czego się po nich spodziewać. Dodam tylko, że nie zawodzą... Film opatrzony został bardzo fajnymi grafikami, które budują klimat. Nie jest to może nic na miarę Oscara, ale na pewno dostarczy Wam dużo zajawki na deskę. **t0i 0i**



Popwar teaser

Popwar wydaje już drugą zapowiedź (tym razem jest ona długa, trwa kilkanaście minut) filmu, który miał się ukazać jakiś czas temu. Szczerze mówiąc, to zaczynam mieć wątpliwości, czy w ogóle ujrzy on światło dzienne. No, chyba że chcą nagrać całkiem nowy materiał. To, co pokazali światu jako drugi teaser, zadowoli nawet najwybredniejszego fana deskorolki. Jest to 100 procent ulicznego skateboardingu. Team Popwar wie, jak wykorzystywać elementy miejskiej architektury. Mój faworyt Cairo Foster ma cały czas takiego samego popa, jak miał, a odwagi wcale mu nie ubyło. Reszta teamu też nie zawodzi (szczególnie Jon Newport i nowe nabytki firmy: Aaron Johnson, Adam Crew i Dennis Durant). Właściwie to każdy z nich ma bardzo solidny mini part. Dla Polaczków miłą wieścią jest to, że Cairo i Kenny Read mają nagrywki z Polski. Szczególnie pan Foster ma powód do dumy – ollie transfer na 50/50 na drugim tamaniu poręczy. Czekając na pełnometrażowe video z czystym sumieniem polecam Wam ten teaser. **pc skale**

gadżety

deskorolki FRONT

Front skateboards to marka stworzona przez Dominika Włodarkiewicza. Do teamu zaprosił on elitę polskiej deskorolki: Eryka Gaja, Tomka Kotrycha, Jacka Pawłowskiego, Tomka Dworzaka i Karola Furmańczyka. Deski, które właśnie widzicie, są dostępne w różnych szerokościach. Trzeba było trochę na nie poczekać, ale mówię Wam, warto było. Żeby spełnić oczekiwania polskich skejcików, musiały one być wyprodukowane z klonu kanadyjskiego, dlatego są tak samo mocne, jak każda amerykańska deska. Polecamy gorąco ten produkt.



total chaos

Karol furmańczyk

nowa fala skateboardingu

Karol jest reprezentantem nowej polskiej młodej gwardii. Jak przystało na nową falę, jest on bardzo wszechstronny. Doskonale czuje się w każdych warunkach: w skateparku, na schodach, ale przede wszystkim jego specjalnością są murki i rurki

rozmawiał tOi Oi
foto Wojtek Antonów / WZRR

Początki?
Zacząłem jeździć, gdy miałem sześć lat, wtedy ojciec kupił mi deskorolkę w Szwecji, teraz mam dwadzieścia i cały czas mam ochotę jeździć dalej. Na początku oczywiście nie byłem w to tak zaangażowany jak teraz, grałem dużo w kosza, jeździłem na rolkach. Wtedy w Parku rządziła ekipa Bródno Brigade, w której byli najlepsi skaterzy z mojego osiedla. W tej chwili oni już nie zajmują się tym tematem. Jedynym, który jeszcze jeździ, jest Steve.
Jak powstali Bródno Beje?
To jest nasza ekipa z Bródna. Są tam: Kiełbiu, Jurek, Heca, Makro, Rudu, Majcher, Chru, Sławek, czyli Steve, no i ja. Jest z nami też Pablo, który teraz mieszka w Bielsku i prowadzi portal Flip. Nazwa Bródno Beje powstała trzy lata temu. Wszystko wzięło się z głupoty, przezywaliśmy tak kiedyś małolatów, którzy nie wiedzieli, co to znaczy. Tłumaczyliśmy im, że beje to są rośliny na drzewie.. Z czasem nazwa ta przylgnęła do nas. Lubimy wypić sobie absynt, jesteśmy bejami z Bródna.
Czemu trzymacie się raczej swojego osiedla i rzadko można was spotkać w Centrum?
Po prostu za długo się jeździ autobusem do Śródmieścia i moim kolegom często się nie chce dupy ruszać i wolą zostać na Bródnie. Nie opłaca się nam jechać tyle czasu i być wyrzuconym z każdej miejscówki, jak to teraz jest w Warszawie. A w Parku u nas na osiedlu jest wszystko, czego nam trzeba. Są rurki, schody, murki. Jedno z lepszych miejsc w Polsce. Nie mamy tam żadnych problemów z przechodniami i nie ma zagrożenia, że ktoś przyjedzie i nas wyrzuci.
Park ten został chyba solidnie przebudowany?
Tak, mieliśmy dobrych poprzedników. Zaczęło się od tego, że Steve z kolegami z Bródno Brigade przynieśli sobie skatepark do Parku, to było bardzo dawno temu i tych przeszkód już nie ma. My postanowiliśmy coś dobudować i tak się zaczęła produkcja rurek... Oprócz tego, że skaterzy zmieniali Park, w pewnym momencie władze gminy postanowiły go przebudować. Teraz nie wygląda on jak wtedy, nie ma wielu murków, kiedyś był tam też double set.
Jaka jest, według Ciebie, idealna miejscówka?
Tam, gdzie są schody, murki i poręcze. Wszystko to mam u siebie w Par-







kick flip nose slide
Żoliborz Warszawa

5-0 grind
Barcelona











fs. kick flip
Cytadela Warszawa

ku, zmieniłbym tam tylko nawierzchnię. Lubię też miejsca na jeden trik, takie, na których normalnie się nie jeździ. Przychodzi się z kamerą, nagrywa numer i odchodzi się szukać następnego miejsca. To jest spoko.

Czy masz jeszcze jakieś miejsca w Twojej okolicy, które mógłbyś polecić?

Są jeszcze banki na Bródnie. Znalazłem je zupełnie przypadkowo. Kiedyś interesowałem się więcej graffiti i kolega zaprowadził mnie tam, żeby zobaczyć jakieś wrzuty. Okazało się, że był tam pusty zbiornik na wodę. Na początku panował straszny syf, ale trochę posprzątliśmy i dało się jeździć.

Jak to się stało, że nagraliście film „Bródno Beje"?

To jest już nasze czwarte z kolei video. Pierwsze trzy były dużo mniej profesjonalne niż ostatni. Wszystko zaczęło się od Pabla, który zaczął nagrywać, bo miał kamerę. Później, jak Pablo wyjechał, Jurek bardziej się zajarał nagrywaniem, kupił sobie kamerę i dobre obiektywy do niej. Tak powstali „Bródno Beje". Materiał zbierał się, kiedy nagrywaliśmy – nie mieliśmy w planach filmu, po prostu chcieliśmy mieć nagrane triki.

Jesteś zadowolony ze swojego przejazdu?

Wtedy, jak się ukazał, uważałem, że był w miarę spoko, ale teraz chciałbym mieć coś nowego, innego. Może uda mi się to w następnym filmie, który nagrywamy z Jurkiem już od roku. Ale to jeszcze trochę potrwa. Wiadomo, jak to jest z nagrywkami, jak uda mi się zrobić sekwencję, to jestem zadowolony, ale po dwóch tygodniach stwierdzam, że ona jest cienka. Jurek poza tym jest bardzo zapracowany, robi film dla Pogo. Myślę, że nowa produkcja „Miasto Bejów" będzie za jakiś rok.

Jak wyglądają prace nad filmem Mality?

Musiałbyś zapytać Kubę Perzynę o to (śmiech). Jeśli chodzi o mnie, to nagrałem kilka sekwencji i trików.

Czy uważasz się za „contest skatera"?

Lubię jeździć na zawody, bo zawsze będą tam znajomi z innych miast. Zawsze znajdzie się okazja do melanżu z nimi.

A czy publika nakręca Cię do robienia lepszych trików, z reguły dobrze wypadasz na zawodach?

Tak, jednak robię z reguły obcykane rzeczy. Ale jeżdżąc na treningach jaram się strasznie, bo wtedy najwięcej wychodzi mi nowych trików. Jeśli chodzi o to, to lubię zawody. Jeśli chodzi o miejsce jazdy, to zawsze wolę street od skateparku.

Co sądzisz o sponsoringu?

Jest on bardzo ważny, bez niego nie mógłbym się rozwijać.

Jak to się stało, że znalazłeś sponsora?

Bardzo dawno temu zrobiłem nawet demo, które wysłałem do jednej firmy, ale cała współpraca okazała się porażką. Dwa lata temu zadzwonił do mnie Rzeszot, który jeździł dla Mality, czy nie chcę być w tym teamie. Oczywiście się zgodziłem. Później przez jakiś czas byłem w Lando i Mitt, ale teraz dogadałem się z dystrybucją Altex i jeżdżę dla Front, Bones i Osiris.

Gdzie byłeś poza Polską na desce?

Byłem w Pradze, Berlinie i niedawno w Barcelonie. Toury są zajebiste, bo poznaje się wtedy dobrze kumpli z teamu, szczególnie, jeśli są z innych miast. Poza tym, na nowych miejscach mam dużo większą zajawkę, żeby robić lepsze triki, to jest normalne.

Jakie masz wspomnienia z ostatniego wyjazdu do Barcelony?

Przed przylotem myślałem, że jest tam inaczej, gorzej. Na żywo okazało się wszystko na maxa kozackie. Dwa pierwsze dni musiałem się oswoić z miastem. Przez ten czas byłem w szoku, tyle ludzi, dużo złodziei, na miejscówkach deskorolkowych pełno żbików, musiałem się z tym oswoić. Później wkręciłem się w ten klimat i nawet zacząłem z nimi gadać (śmiech).

Co Ci się podoba w deskorolce?

Lubię szlifować triki. Nie uczę się za bardzo nowych sztuczek, wolę dopracować jeden trik. Czasem się zdarza, że uda się zrobić coś nowego, ale to jest rzadkość.

Co Cię najbardziej motywuje do jazdy?

Dobry rap w słuchawkach i koledzy. Szczególnie to drugie, nie lubię jeździć sam, z ziomkiem zawsze fajnie się jeździ. Jurek, jak nagrywa, zawsze mnie jakoś zmotywuje. Kiedyś bardzo nakręcały mnie filmy deskorolkowe, teraz już nie tak mocno, bo jest ich za dużo i każdy jest lepszy od poprzedniego.

Pozdrowienia.

Chciałbym pozdrowić Mamę, Tatę, Siostrę Klarę, wszystkich bliskich... Bródno Bejów, Aritów, Poznań Zoo, White Cross, Absynt Team, Dsk Crew, Kamuflage Team, sponsorów, moją obecną klasę, Jawora, Kosmosa, Izkę, Woisę, Cichaczu, Siena, Waleka, Miriam, Olo grchw, Thora, Toosie, Świętego, Białego, Skrobana, Helenę, Hawka, Rzeszota, Stonika, Kaczora, Benka, Boxera, Dorawę, Monikę, Magdę (rydlowa), Marcelinę i wszystkich tych, o których zapomniałem... PEACE... G-UNIT HOLLA.

Karol furmańczyk



5-0 pod górę 360 shove it out
Barcelona



Backlip. Blabac photo.



barcelona

fenix malita tour

Nową świecką tradycją jest już, że Polaczki z początkiem wiosny udają się do Barcelony, by tam poznawać uroki wielkiego świata deskorolki. Tę piękną sprawę zapoczątkował wyjazd sprzed dwóch lat (o którym mogliście oczywiście przeczytać w „Ślizgu"), rok później była ona kontynuowana, a w tym roku wyprawa przeżyła prawdziwą rewolucję

tekst tOi Oi
foto Wojtek Antonów / WZRR

Oficjalnie cala sprawa kryła się za dwiema firmami – Malita i Fenix Atletico. To one zdecydowały się wysłać swoich teamriderów (Gutka, Tomka Kotrycha, Benka Kojło, Pawła Przybyła, Karola Furmańczyka, Eryka Gaja, Łukasza Rzeszotka i Wojtka Jaworskiego), żeby razem z czołówką europejskiej deskorolki w promieniach słonecznych atakowali najlepsze miejscówki świata. Wieść o tej wyprawie obeszła całą Polskę i dlatego do grupki dołączyło wielu niezrzeszonych z wymienionymi firmami ludzi, którzy wsparli swoimi osobami wyjazd. Dzięki temu z Polski poleciało do stolicy Katalonii ponad dwadzieścia osób. Gdybyśmy zdecydowali się przejąć i porwać samolot, zrobilibyśmy to bez trudu. Ponieważ, jak już wspomniałem wcześniej, relacjonowaliśmy dotychczasowe dwa toury w Barcelonie, tym razem nie opiszę Wam chronologicznie, co się zdarzyło i gdzie byliśmy, bo chcąc nie chcąc musiałbym się trochę powtarzać. Skupię się zatem tylko na pewnych wybranych przeze mnie aspektach wycieczki, które subiektywnie uznam za warte wzmianki.

◆ Samolot

W zasadzie to nic spektakularnego w czasie lotu się nie wydarzyło, to znaczy obyło się bez niespodziewanych zdarzeń, ale w czasie podróży do Barcelony byliśmy oczywiście najgłośniejszą grupą w samolocie. Każdy uśmiech stewardess (były to Węgierki) był nagradzany gromkimi brawami i komentarzami po polsku. Wpadliśmy też w kilka turbulencji, po których niejeden miał zieloną twarz i odmawiał w duchu paciorek. Natomiast w drodze powrotnej trafiliśmy na liczniejszą od nas (!!!) grupę Hiszpanów (była to chyba grupa studencka albo oaza), która darła mordę przez cały lot. Przekrzyczeli nawet buńczuczną ekipę Polaczków!!!

◆ Hotel

Tak liczna grupa siłą rzeczy musiała opanować całą noclegownię. Szczęśliwie znaleźliśmy hotel dla wszystkich polskich głów i miejsce to od tej pory stało się centrum polskim w Barcelonie. Inni mieszkańcy hotelu się nie liczyli, to my byliśmy tam panami. Zajmowaliśmy łazienki, toalety, przedpokoje, słowem – obsługa, a szczególnie pan w recepcji, miała z nami masę kłopotu. Niewątpliwym plusem naszej kwatery była jej lokalizacja – mieliśmy dosłownie rzut beretem od wielu znanych spotów (ale o tym w dalszej części tekstu).

◆ La Rambla i życie nocne Barcelony

Rambla jest najbardziej znaną ulicą w stolicy Katalonii. Pod tą nazwa kryje się bardzo długi pasaż, przy którym można znaleźć wszystko – od dyskotek, przez tanie hotele, dziwki, po wszystkie używki. W ciągu dnia kwitnie tam handel i pełno jest tzw. „zabawiaczy przechodniów". Pod tą nazwą kryją się różne freaki, którzy są np. „żywymi rzeźbami" (widziałem Che Guevarę, Gagarina i odciętą głowę podaną na talerzu) czy też byłymi piłkarzami Barcelony, którzy mimo podeszłego wieku robią z piłką prawdziwe cuda. Dzięki takim









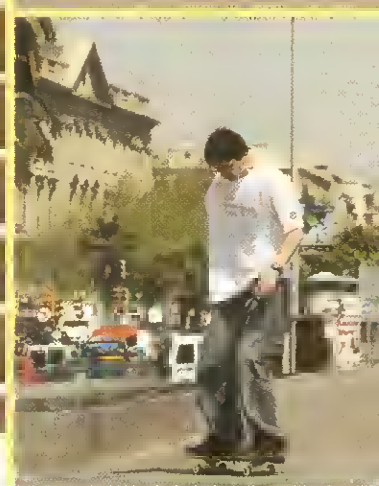


Nowy nabytek Fenixa, Krzysik Poskrobko flip nose slide w Porcie („Pier 7")

Eryk Gaj
croocked grind na bardzo wysokim murku







osobom ulica ta staje się bardzo barwnym i ciekawym miejscem. Ciężko to opisać – trzeba po prostu zobaczyć. Nocą Rambla zamienia się przede wszystkim w... sklep z browarami. Już drugiego dnia miałem ochotę strzelać do kolejnych ludzi proponujących kupno piwa. Nie można było dosłownie przejść pięciu metrów, by uśmiechnięty Pakistańczyk z czteropakiem puszek w ręku nie zagadnął „Du ju lont bir?". My, Polaczki, oczywiście mieliśmy już własne, tylko że kupione w sklepie kilka razy taniej. Wieczorem na Rambla prawie tyle samo, co akwizytorów drogiego browaru, było tzw. „naganiaczy". Po przejściu stu metrów miało się całą książeczkę zaproszeń do klubów. Ludzie ci niemalże przewracali się przed nami, żeby dać ulotkę. My oczywiście braliśmy je, a potem sprawdzaliśmy, ile wart jest dany lokal. Najbardziej zapamiętałem klub, gdzie ochroniarzem był Rusek, który bardzo się zajarał, że ktoś z nas mówi po rosyjsku i wpuścił nas od razu do środka bez zbędnych ceregieli. Jeśli szukacie w Barcelonie nocnych wrażeń, to na pewno je znajdziecie, bądźcie tego pewni.

Kontuzje

Niestety, jest to nieodłączny element skateboardingu. Każdy, kto jeździ, wie o tym. Najgorzej jest, gdy przytrafiają się one na wymarzonym wyjeździe i to na samym początku. Bólu tego doświadczyło dwóch ziomów z Mality. Wojtek Jaworski i Łukasz Rzeszotek od pierwszego dnia wyjazdu poszli na chorobowe.

Zagraniczne teamy

Dla kibiców skateboardingu, czyli tych, którzy wolą patrzeć niż jeździć, Barcelona oferowała wiele wrażeń. W czasie, kiedy tam byliśmy, w stolicy Katalonii gościło około kilkunastu teamów. Były m.in. następujące ekipy: E's (McCrank, Justin Eldridge, Rodrigo, Cale Nuske, Javier Sarmiento), Toy Machine (Templeton, Austin Stephens, Billy Marks), Lakai (Cairo Foster, Brandon Biebel, Marc Johnson), Hellrose (Don Nguyen, Paul Otvos, D. J. Chaves), Stereo (Olly Tod, Benny Fairfax). Sami widzicie, że było na kogo patrzeć. Jednak deskorolkowi kibice mogli się czuć trochę zawiedzeni faktem, że prosi, kiedy byli widziani na znanych spotach, raczej nie jeździli. Widać było, że są zmęczeni, przychodzili tam, żeby tylko poczilować, ewentualnie wypić parę zakupionych na Rambla od Pakistańczyków browarów.

Miejscówki

Czyli główny powód naszego wyjazdu. Żadne miasto nie jest tak bogato wyposażone w tego typu sprzęty jak Barcelona. Na ten temat napisano już tyle artykułów, że powstałaby z tego solidna powieść w kilku tomach, dlatego ja ograniczę się tylko do wymienienia spotów, na których byliśmy wraz z krótkim opisem. Na początek miejscówki stare – te, na których już byliśmy.

Parallel. Jest to miejsce wręcz idealne dla Polaczków. Znajdują się tam różnej wysokości platformy, na których można też z powodzeniem grindować. Wszystkie dotychczasowe wyjazdy rozpoczynały się właśnie od tego miejsca. Idealnie nadaje się ono jako miejscówka rozgrzewkowa. Z naszej ekipy największy ślad pozostawił po sobie Tomek Kotrych, wykonując całą serię manuali z różnymi flipowymi zejściami.

MACBA. Miejsce – nie boję się tego napisać – kultowe. Jest to typowa miejscówka dla prosów i lepiej jeżdżących gości, praktycznie nie ma tam uczących się jeździć ludzi. Jeżeli ktoś przychodzi na MACBĘ, to znaczy, że coś sobą reprezentuje. Trzeba przyznać, że jazda tam w dzień może wiązać się z silną presją – każdy jeżdżący jest ciągle obserwowany przez rzeszę siedzących, dlatego wszystkie proste triki po prostu TRZEBA robić. Chyba nie muszę wymieniać, z czego składa się ten spot, myślę, że jest on znany każdemu. W tym roku działał zasłonięty przez ogromną literę, tzw. „średni spadek", czyli murek kończący się wysoko. Kiedy przyjechaliśmy, okazało się, że zasłaniająca go litera została przestawiona i dzięki temu Polaczki mogli zmierzyć się z tą przeszkodą, czego rezultatem było kilka niezłych trików. Próby zrobienia kick flipa z Wielkiej Czwórki (czyli ogromnych schodów niedaleko MACBY) podjął się Krzysiek Poskrobko. Niestety, mimo że kilkakrotnie lądował na desce, nie udało mu się zrobić tego numeru. Próby skończyły się, gdy deska Krzyśka złamała się z hukiem.

Fondo. Miejscówka marzenie dla lubiących banki – jest tam ich mnóstwo. Dodajmy do tego murek marmurowy oraz masę ławek i otrzymacie obraz tego spotu. Miejsce to bardzo przypadło do gustu Gutkowi, który zrobił bs. flipa przez ławkę z bardzo stromego i krótkiego banku. Według mnie, jest to miejsce, które można wykorzystywać na tysiąc różnych sposobów, możliwości są po prostu nieograniczone.



Tomasz Kotrych wykonuje mega stylowy rock and roll to fakie w Porcie, na świeżo dodanym elemencie miejscówki.

Sants. Zdemolowana doszczętnie jedna ze starszych miejscówek w Barcelonie. Mimo swego stanu nadal jest bardzo popularna.

Uniwersytet. Kiedyś była wypasem, w tej chwili ginie w natłoku innych miejscówek.

Port. Miejsce, gdzie jazda grozi mandatem, jednak dla chcącego nic trudnego. Okolice portu stanowią ogromną miejscówkę, niczym plansze z Tony'ego Hawka. W promieniu kilometra leży kilka oddzielnych spotów. Na szczęście wszystkie udało się nam zwiedzić, mimo że patrole krążyły często. Wystarczyło tylko podzielić się na mniejsze grupki. W Porcie w tym roku zbudowano nowy spot, wprost wymarzony dla deskorolki. Była to długa uliczka, na której położono kilkanaście długich, różnej wysokości marmurowych murków. Polacy ochrzcili ten spot „Drugim Pier 7" i tam spędzali najwięcej czasu. Od naszej kwatery dzieliło nas na „Pier 7" dwie minuty drogi, dlatego szybko stało się „naszą miejscówką".

Forum. Ludzie czasem budują takie rzeczy, że gdy się na nie spojrzy, to nie wiadomo, czy mają inne przeznaczenie niż skateboarding. Tak było z miejscem wyglądającym jak wielka kosmiczna stacja, w środku której stało połączenie piramidy z ogromną platformą do manuali. Wiem, że brzmi to dziwnie, ale wyglądało i służyło znakomicie. Wątpię, żeby gdziekolwiek poza Barceloną istniała możliwość pojeżdżenia w czymś takim.

Odwiedziliśmy też miejsce z wysoką platformą schodzącą w dół. Mimo że jest to stary spot, my byliśmy tam pierwszy raz. Znajdował się tam również wysoki murek przy siedmiu schodach, gdzie Furman zrobił 5-0, a Eryk croocked. Najładniejszym trikiem tego dnia był jednak 360 flip Krzyśka Poskrobko z wcześniej wspomnianych siedmiu stopni.

Oprócz tych większych miejscówek w czasie swej bytności w Barcelonie odwiedziliśmy jeszcze całą masę małych, jednotrikowych spotów, których jest tam pełno. Właściwie to całe miasto składa się z mniejszych lub większych miejscówek... Szkoda, że byliśmy tam tylko siedem dni.

red bull monstairs

Jeszcze przed rozpoczęciem Red Bull Monstairs dużo dobrego mówiło się o tej imprezie. Miał to być największy i najlepszy kontest snowboardowy w mieście...

tekst snowman
foto Wojtek Antonów / WZRR

Na liście zaproszonych zawodników zobaczyć można było bardzo znane nazwiska, jak np. Nicholas Droz czy Frederik Austbo. Wszyscy zainteresowani temalem na kilka dni przed zawodami mówili już tylko i wyłącznie o tym. Co i rusz ktoś przyjeżdżał popatrzeć, jak idą prace przy budowie snowparku. Szczególną ciekawość budziła budowa ogromnej skoczni, która miała być największą atrakcją imprezy. Nic dziwnego, że cały polski światek snowboardowy był poruszony wiadomością o imprezie. Zajebiste zeszłoroczne zawody pozwalały patrzeć z optymizmem na te mające się odbyć w kwietniu.

Niestety, organizatorzy musieli zmierzyć się z wieloma trudnościami, które – jak głosi prawo Murphy'ego – muszą się przydarzyć, gdy czegoś się bardzo chce. Pierwszym istotnym problemem było przełożenie terminu Red Bull Monstairs. Z przyczyn obiektywnych organizatorzy zmuszeni zostali do zmiany daty contestu i tym sposobem lista zawodników została okrojona. Większość zagranicznych riderów, którzy mieli kupiony bilet na samolot w pierwszym terminie, nie mogła się dostosować do nowej daty – najpewniej z powodu napiętego kalendarza startów. W związku z tym nie byli w stanie przyjechać później, a kilku przyleciało do Polski, mimo że nie było tego dnia zawodów. Mieli już bowiem kupione bilety, nie mogli ich przełożyć, więc przylecieli sobie do Warszawy na imprezę. Na nieszczęście nie przybyli ci, którzy mieli stanowić o poziomie tych zawodów. O sławach snowboardingu w Warszawie można było zapomnieć. Koniec końców zawody jednak miały się odbyć, a zamiast znanych prosów zaproszono jeśli nie najlepszych, to prezentujących solidny, europejski poziom gości, którzy mieli latać w samym sercu Warszawy na skoczni niczym Małysz na Wielkiej Krokwi. W rezultacie przyjechali snowboarderzy m.in. z Anglii, Austrii, Słowacji i Rosji.



gwiazda brytyjskiego snowboardingu - Tyler C orlton - boardzik na łamanym boksie

Snowpark na zawody był bardzo starannie przygotowany – projektowali go polscy snowboarderzy, natomiast wielką hopę budował spec ściągnięty specjalnie z USA. Tor miał się przedstawiać w ten sposób, że najpierw zawodnicy mieli oddać skok z wielkiej skoczni, za którą czekały na nich z kolei przeszkody jibbowe. Gość z USA po wzniesieniu konstrukcji oddał parę skoków próbnych (w tym zajebistą „teczkę", hehe), po czym okazało się, że jest on jedynym człowiekiem chcącym z niej skakać. Wszyscy startujący stwierdzili, że jest ona źle przygotowana, ma za stromy kąt i w ogóle jest do bani. Budowniczy bardzo się tym zezłościł i zrobił jeszcze parę „teczek", ale nic to nie pomogło. Niestety, skocznia – główna atrakcja Red Bull Monstairs – nie nadawała się do użytku... Zawody postanowiono przeprowadzić tylko na railach i boxach. Nie muszę chyba mówić, jak ten fakt wpłynął zarówno na oglądających, jak i startujących. Zawody straciły na randze przynajmniej z połowę. Poziom jibbingu też nie należał do najwyższych, zaproszono przecież głównie lotników (którzy mieli skakać z hopy), a nie jibberów.

Warto napisać kilka słów o publice. Ponieważ była to impreza darmowa, przyszli tam wszyscy ludzie, którzy mieli tego dnia czas wolny. Byli spacerowicze, lokalni żule, licealiści, zakochane pary, policjanci w cywilu, policjanci w mundurach, słowem wszyscy, tylko nie zajarani snowboardem ludzie. Widzów wiedzących, o co chodzi w tym ślizganiu się, była garstka.

W zawodach był też polski akcent. Dziką kartę wygrał Paweł Cichocki (nie wiem zresztą dlaczego), którego specjalnością nie są na pewno raile, co było widać. Na tle średnio jeżdżących Europejczyków wypadł on blado. Tak naprawdę to całe zawody wypadły blado...



Bartek Gumowy Rusin nose slide

Wyniki Red Bull Monstairs:

1. Hannes Metzler / Austria
2. Tyler Chorlton / Wielka Brytania
3. Manuel Bernert / Austria

dzikie karty:

1. Tomas Hrnciar / Słowacja
2. Matews Pelek / Słowenia
3. Mario Visnap / Estonia
4. Lubomir Zelenay / Słowacja
5. Roman Dlauhy / Czechy
6. Paweł Cichocki / Polska


és

Radek Koźlik na tle Babiej Góry leci po trzecie miejsce

coalition spring camp

korbielów 2005

Można pomyśleć, że jest to niemożliwe, ale jednak organizatorzy Coalition Camp: Tomasz Jawor Jaworski (B-BA) oraz Wojtek Tandecki (Gdańsk) udowodnili, że jednak się da, tylko trzeba chcieć. Lokalizacja mogła być tylko jedna: góra Pilsko koło Korbielowa i otwarty w tym sezonie snowpark „Strefa Śniegu"

tekst Wojtek
foto Marek „Fatty" Prądzyński

Ze śniegiem chłopaki mieli farta, bo po rekordowych opadach w zimie, do maja zostało go całkiem sporo. Dwa tygodnie przed majówką przewieźli poręcze z dolnej części góry na Halę Miziową, tydzień później Jawor usypał hopy i pozostało im się modlić o to, aby wszystko nie spłynęło w słońcu i deszczu. No i się zaczęło!

Majówkę każdy rozpoczął inaczej. Jedni na pieszo na samą górę ok. 1,5 h, inni dżipami do połowy stacji, czyli do Szczawin i dalej z buta. Jeszcze inni końcówkę pokonywali skuterami śnieżnymi. Na górze logowanie w wypaśnym schronisku w stylu alpejskim lub kultowej Goprówce i fantastyczne widoki, jakich mało. Majówka była obliczona na ok. 30 osób, a nie na ponad 100, ale jakoś się zmieściliśmy. Powiem tyle tylko, że duża część podłóg była zajęta. Nie było chyba osoby na campie, której się coś nie podobało, a to przecież bardzo częste zjawisko na polskich zawodach czy obozach (jedyna rzecz, która się nie podobała to fakt, że Jawor schował dzika i zabytkowe narty, które miały pojechać do domu z dropsem i Bronkiem:). Pogoda też dopisała w 100% i każdy wrócił do domu z opalonym nosem. Jeżeli chodzi o warunki jazdy w snowparku, to jak na tę porę roku i na to, w jakim kraju mieszkamy, to nie było się do czego przyczepić. Na dodatek w snowparku stały duże głośniki estradowe, które w znacznej mierze przyczyniły się do poprawienia klimatu panującego w snowparku



W poniedziałek odbyły się zawody. Pierwsza opcja przewidywała zawody na dużej hopce i best trick na boksie, jednakże organizatorzy odeszli od tego pomysłu i wymyślili jam session (każdy miał godzinkę na to, żeby zaprezentować swoje umiejętności i mógł przy tym korzystać z przeszkód rozstawionych w całym snowparku). Wszystkim się taka forma zawodów spodobała, ponieważ nie było w niej żadnej stresówki, tylko jazda na luzie, a przecież o to w tym chodzi.

Wśród chłopców zwyciężył brat Jamaj (Jakub Skrzypkowski). Drugie miejsce zajął Tomek Wolak, natomiast na trzecim wylądował wszystkim już znany Radek Koźlik. Wśród dziewczyn na pierwszym miejscu znalazła się Marcelina Frycz – rozgrzała raile do czerwoności (wysokie pięć dla Marceli!). Maciek Mróz dostał nagrodę publiczności – wykonał trick w stylu człowiek – kula armatnia. Czy ktoś się nudził? Wątpliwe. Była nocna sesja na batucie, jazda za skuterem po wodzie przed schroniskiem i takie nocne balety, jakich jeszcze nikt tam nie widział. Podsumowując wszystko, to była jedna z lepszych imprez tego roku, a jak niektórzy twierdzili, to jedna z najlepszych w historii całego polskiego snowboardingu. Miejmy nadzieje, iż w najbliższym czasie w Polsce będzie odbywało się więcej takich imprez, tzn. organizowanych przez snowboarderów dla snowboarderów. Na razie nie chcę zapeszać, ale w planach jest kolejny Camp na Pilsku, który będzie rozpoczynał następny sezon snowboardowy. Respekt dla wszystkich, którzy tam byli i z nami wino pili!

Na koniec podziękowania: dla dyrektora schroniska, które na szczęście przetrwało po naszym najeździe, dla Grzesia z recepcji za pomoc i cierpliwość, dla Fabra za nawijkę na zawodach, dla Tomka, dyr. GATU za sprzęt grający, dla firmy COALITION, bez której wsparcia ten camp i zawody by się nie odbyły oraz dla firm Hammer, Demon, Smith i Coalition za konkretne nagrody. Masę zdjęć z tego, co się tam działo, będziecie mogli zobaczyć na stronie www.pilsko.info.

bmx
piotr wyszyński

Boya poznałem dzięki stronie internetowej boy.prv.pl. Przyjemna grafika w pastelowych odcieniach brązu kontrastuje z deklaracją „ch.. z rowerem!". Żeby sprawdzić, co też autor miał na myśli, udałem się ze świeżutkiej (acz już zatagowanej) stacji metra Plac Wilsona na daleki Ursynów

tekst i foto Feliks Szewczyk

Na peronie czekał już na mnie Piotrek Wyszyński (Boy). Udaliśmy się na pierwszą ursynowską miejscówkę, już przy stacji metra. Rolę bmx-owego basenu pełni tu stara betonowa fontanna w kształcie spodka. Wody nie widział w niej nikt od dawna. Za to świetnie nadaje się do ćwiczeń ewolucji i tricków. Piotrek zrobił na niej kilka stoosiemdziesiątek, trzystasześćdziesiątek i wysokich x-upów.

Po rozgrzewce przy stacji pojechaliśmy ugasić pragnienie do pobliskiego pawilonu handlowego przy ul. Wiolinowej. Piotrek nie jest zwolennikiem jasnego pełnego ani innych używek. Podczas jazdy liczy się dla niego czysty fun. Jednym słowem – krata browaru owszem, ale po to, żeby zrobić bunny hopa.

Spod sklepu przenieśliśmy się na plac zabaw przy metrze Służew, gdzie spółdzielnia ustawiła kilka konstrukcji, na których można poćwiczyć różne skejtowe akcje. Boy wbił się na minirampę i zrobił kilka przejazdów.

Jego przygoda z rowerem rozpoczęła się od 26-calowych kółek. Potem był epizod z trialem, a od pięciu lat podstawowa zajawka to bmx. Boy ma doświadczenie w zawodach. Najbardziej zadowolony jest z tytułu wicemistrza Polski w zawodach Bródno Racing. Jego ulubione triki to 180/360, a wymarzony to tailwhip. Rowerowe motto: „Nieważne, na czym jeździsz, tylko jak jeździsz!", co razem ze stwierdzeniem przytoczonym na początku, dobrze obrazuje jego stosunek do zajawki bmx i części ludzi jarających się tym tematem, a może raczej „wypasionym" sprzętem. Jeśli jesteście ciekawi, na czym Piotrek jeździ, proszę bardzo. Sprzęt Boya to zmodyfikowany rower do racingu marki Eastern, bez pegów (do grindowania służą pedały), ważący 10 kg. Tyle zdradził właściciel. Niewiele, prawda? Ale ch.... z rowerem!

Mimo groźnie brzmiących deklaracji Piotrek to pozytywny gość. Deklaruje się jako zwolennik streetu i chociaż stolica nie jest bmx-owym rajem, nie narzeka. Twierdzi, że od czasu, kiedy zaczął jeździć, wiele w mieście zmieniło się na lepsze i „jeśli ktoś chce jeździć, to będzie jeździł, a jak mu coś przeszkadza, to i tak nigdy nie będzie dobry".

Dla Boya ważne jest też, z kim jeździ. W tym miejscu – na życzenie – pozdrowienia dla „nocnika".



x-up





bunny

hajd park
jakuza

Pytam naszego gościa, jak go przedstawić. Odpowiedź jest prosta: Kamil „Jakuza" Jaczyński, Wielkie Joł Public & Media Relations Manager. Ludzie mają prawo kojarzyć go jeszcze m.in. z funkcji sędziego na zawodach freestyle'owych, w tym WBW, publikacji w „Hip-hop. pl" i „Bleku", moderacji najsłynniejszego rap forum w Polsce oraz prób rapowych w ramach „Rap Propagandy", wyciąganych mu zawsze przy okazji polemik. Dla nas napisał o nielegalach, z którymi przychodzi mu się stykać w WJ



„Demonstracja własnego ja"

tekst Jakuza
foto Emnezz

Do wytwórni Wielkie Joł codziennie trafia około 5 płyt demonstracyjnych przesyłanych przez amatorskie zespoły liczące na zauważenie swoich umiejętności. Oprócz materiałów nagrywanych przez rodzime składy, zdarzają się płyty nadesłane z zagranicy przez Polaków tam mieszkających, bądź też produkcje obcojęzyczne nagrywane przez cudzoziemców mieszkających u nas. Pełen katalog tego, co obecnie dzieje się zarówno w małych, domowych kabinach, profesjonalnych studiach nagrań, jak i na osiedlach, gdzie wśród chodników, ławek i bloków powstają pierwsze pomysły na rapowe kawałki.

Bez wahania można powiedzieć, że kultura hip-hop jest obecnie najbardziej rozwiniętym ruchem masowym, jaki pojawił się w naszym kraju. Można zaryzykować stwierdzenie, że nie ma miasta czy nawet ulicy, na której nie działa jakiś skład lub wykonawca hip-hopowy. Wszędzie aż tętni kultura uliczna wyrażona poprzez nieskrępowane formy twórczości: od graffiti, przez taniec, po muzykę. Oczywiście w wielu wypadkach radosna twórczość, którą obserwujemy, nie jest najwyższej próby. Bardzo często pozbawiona jakiejkolwiek samokrytyki jest niczym więcej niż tylko żałosną kopią twórczości ze Stanów Zjednoczonych lub Francji (co w praktyce brzmi jeszcze gorzej). W przypadku muzyki różnice poziomu są słyszalne od samego początku. Nie tylko z powodu mniej zaawansowanego sprzętu użytego do zrealizowania materiału, ale także dojrzałości brzmienia, czyli tego czegoś, co stanowi bardzo ważną kartę przetargową dobrego materiału muzycznego. Niestety, nasze rodzime produkcje są często tego pozbawione. Na taki stan rzeczy składa się kilka czynników mających kardynalne znaczenie dla debiutującego zespołu. Przede wszystkim muzyka, podkład lub, jak mawiają inni, bit. W jego przypadku wyjątkowo często brakuje polotu, fantazji i co najważniejsze oryginalnego brzmienia. Najczęściej popełnianymi błędami są nieprzemyślane i źle skomponowane linie melodyczne oraz dobór sampli (wiem, że na ten temat wiele już powiedziano i napisano, lecz nadal, nawet w utworach zespołów wydających legalne produkcje, pojawiają się straszne błędy). Po drugie, teksty, które prezentują raperzy, brzmią, jakby powstawały w strasznych bólach. Męczące jest słuchanie MC, który ma wyraźny problem z wyartykułowaniem własnych myśli, a jedyną rzeczą, którą ma do powiedzenia, jest powtarzające się tysiąc razy słowo „kurwa", bądź inny szalenie wydumany tekst. Inni odpływają w klimaty imprezowe, a efekt tego to bzdurne bragga traktujące o wymyślonych przygodach erotyczno-alkoholowych. Byłoby to jeszcze znośne, gdyby nie materiały foto dołączone do materiału demo. I tak właśnie dotarliśmy do punku trzeciego, mianowicie wizerunku wykonawców. Niektórzy od razu przeciwstawią się takiej kategorii oceniania, lecz rynek rządzi się zupełnie innymi prawami. Wizerunek wykonawcy jest bardzo ważnym elementem dla odniesienia sukcesu. Oczywiście nie twierdzę, że ma być to wykreowany image, który w żaden sposób nie jest adekwatny do autentycznego klimatu reprezentowanego przez artystę. Podstawą jest znalezienie tzw. „patentu na siebie". Może brzmi to banalnie, ale trzeba o tym pamiętać również w momencie nazywania swojego materiału. Ksywa i tytuł płyty wiele mówią o człowieku. Uwierzcie mi, że nazwy zdarzają się naprawdę dziwne. Jedne są takie, że można turlać się ze śmiechu, inne powodują rozpacz z głupoty autorów. Przez wrodzoną dyplomację nie będę tu podawał konkretnych nazw, ale ci, o których mowa, powinni sami się domyśleć. (Trzeba trochę ruszyć głową, bo przecież myślenie jest podstawowym wymogiem dla każdego dobrego mistrza mikrofonu).

Oczywiście wizerunek to nie tylko nazwa, wygląd, sesje zdjęciowe czy okładka płyty. To także wszystko to, co można znaleźć o wykonawcy w mediach: Internecie czy prasie drukowanej (jego dokonania, działania na scenie lokalnej, kooperacje z innymi projektami oraz gościnne uczestnictwo na płytach zaprzyjaźnionych wykonawców).

Dobra muzyka, dobry tekst oraz dobry wizerunek to trzy podstawowe warunki, które zapewnią powodzenie. Oczywiście to truizm. Niestety, pomimo, że nie jest to nic odkrywczego, to wiele osób ma problem z zaliczeniem tych trzech podstawowych punktów. Już widzę, jak malkontenci kwestionują kryteria „dobra muzyka" i „dobry tekst". Pamiętajcie jednak, że nie jest to oceniane przez jedną osobę, lecz przez grono mające duże pojęcie o hip-hopie. Wypadkowa ich opinii tworzy dopiero nasze stanowisko na temat jakiegoś konkretnego materiału. Czasem bywa tak, że jednym się podoba, innym zaś nie. Wtedy duże znaczenie ma spotkanie z zespołem, które jest niejako kolejnym ważnym punktem „do zaliczenia". Niby nic strasznego, jednakże do dziś mam przed oczami pewnego już wcale nie młodego chłopaka, który drżącymi dłońmi podawał mi płytę. Był tak zdenerwowany, że w zasadzie nic się od niego nie dowiedziałem. Ani skąd jest, ani co nagrywa ... jak okazało się po odsłuchaniu CD nic straconego. Nie chcielibyście tego słyszeć.

Nie bądźmy jednak takimi pesymistami. Pośród całej góry płyt pojawiają się naprawdę niezłe perełki, które zasługują na zauważenie. Może nie są to nagrania od razu przekonujące do wydania płyty, ale prowokują chociażby do nawiązania współpracy i dania możliwości rozwoju. W Wielkim Joł jesteśmy bardzo otwarci na wszelkie eksperymenty z kręgu tak zwanej muzyki miejskiej. Hip-hop, reggae, dancehall, acid jazz, klimatyczne brzmienia klubowe oraz gorący funk. Wszystko to może mieć swoje miejsce w głowach słuchaczy. Kwestia tylko jak to zostanie im podane. Przede wszystkim, nie należy tracić własnego ja, ale jednocześnie iść z duchem czasu, ewoluować, a nie iść do tyłu, jak to ma miejsce wśród niektórych topowych artystów oblegających pierwsze miejsca przebojów w komercyjnych stacjach radiowych. Nie jest źle, ale mogłoby być lepiej. Tego Wam i sobie życzę. Pokój.

PS. Chcesz wysłać demo? Spoko, oto adres: Wytwórnia Wielkie Joł S.C., ul. Dominikańska 9/1c , 02-736 Warszawa.

SPONSORZY GŁÓWNI:

cropp town

WYZWÓL SWOJĄ ENERGIĘ!





25.06 2005

SZCZECIN HALA SDS

otwarcie hali godz. 16:00 start 17:00

ORGANIZATOR

ELPASO Promocja&wydarzenia

Czech, Estonia, Latvia, Lithuania, Poland, Slovakia

BATTLE OF THE YEAR

NORTH EAST EUROPE 2005

AFTER PARTY SOHO

Ekipy breakdance:

CAMELOT (LV), GANG BREAKERS (LV), SUBMISSION (EST), QUASSIT CREW (SL), CRAZY SQUAD (PL), READY TO BATTLE (PL), NONTOPER MIELONKA (PL), AZIZI (PL) I INNI...

koncerty:

SCRATCH (THE ROOTS)

O.S.T.R. POKAHONTAZ GURAL

DJS: CUT NICE, TWISTER

Rezerwacja biletów i info www.boty.pl Bilety w przedsprzedaży 35 pln





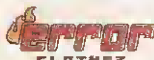
massdnm.com stoprocent



Multikino

Magazyn Hip Hop



















tu kupisz slizg ↘

informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 825 49 07)

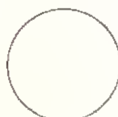
nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:
3 | 6 | 12 miesięcy
PLN PLN PLN



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P | waluta PLN | kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

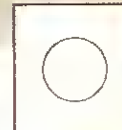
ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłki

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA ODBIORCY

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
STRZELCE OP.
OLESNO

KANGOL adidas DCSHOECOUSA
NIKE möbus PONY
PLAY chmielna 10 | tel. 827 02 88
WARSZAWA www.play24.pl

image
HipHopShop
ul. Jana Kochanowskiego 5/1 77-100 BYTÓW

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

SYSTEM
DYSTRYBUCJA I SPRZEDAŻ HURTOWA AMERYKAŃSKICH PRODUKTÓW:
Deskorolki, Akcesoria, Buty, Odzież
firm: Vans, World, Blind, Girl, Real i inne...
tel/fax: (42) 632 6788

SKATESHOP
ŁÓDŹ PIOTRKOWSKA 81

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

tłusty bas
ubrania płyty gazety
Piastów
ul.Hallera 18
pn.-pt. 11-19
sob. 10-14

TRIK
SNOW SKATE
WARSZAWA C.H.WILEŃSKA UL.TARGOWA72 LOK.105A
TEL/FUCKS 0-22-3316375 SIEDEM DNI W TYGODNIU

↖ tu kupisz slizg

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:
3 6 12 miesięcy
PLN PLN PLN



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

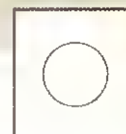
ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne + koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata



ODCINEK DLA ODBIORCY


cropp town

